

# MAREK HŁASKO

NASTĘPNY DO RAJU



Marek Hłasko

# NASTĘPNY DO RAJU

## Gdzie diabeł mówi dobranoc

Gęsty śnieg padał już od czterech dni. Zmniejszał prawie do zera widoczność i natychmiast zasypywał wszelkie ślady: kroki, tropy, odciski protektorów – wszystko umierało natychmiast, zmiecione wielką białą łapą. Ludzie, którzy szli gęsiego wschodnią przełęczą Wężowego Jaru, potykając się i wpadając na siebie, już od wielu godzin na próżno wytrzeszczali oczy, starając się dostrzec cokolwiek w dolinie. Byli zmęczeni i zziębnięci; śnieg oblepił ich buty wielkimi bryłami i zdawało im się, że każdym krokiem ciągną za sobą tony; klątwy ich brzmiały tak słabo, iż po jakimś czasie zaprzestali – nie dawało im to żadnej satysfakcji. Szli w milczeniu kołysani znużeniem i wiatrem. Szarzało już, kiedy przystanęli.

– Marna historia – powiedział Warszawiak. Zdjął czapkę z głowy i otrzepywał ją przez chwilę o kolano. Teraz, bez nakrycia głowy, wyglądał o wiele młodziej; miał cwaniacką twarz, szerokie usta i długie, w kant na karku przystrzyżone włosy, które trzymały mu się kupy niepojętym cudem. Założył z powrotem czapkę i przytknięciem przesunął ją na tył. – Marna historia – powtórzył. Przysiadł na pniu i wyciągnął swobodnie nogi. – Nie znajdziemy go dzisiaj. Za godzinę będzie już ciemno. W taki dzień można się klepać po tyłku, a nie szukać wozu.

Wyjął paczkę papierosów i podał dwom pozostałym; przemiękły i nie chciały się palić. Ssali przez chwilę mokry tytoń, klnąc i marnując zapalki, potem odrzucili je w śnieg; zniknęły prawie natychmiast.

– Nic z tego nie będzie – powiedział Warszawiak.

– Jeśli nie znajdziemy go dzisiaj – rzeki Orsaczek – do jutra zostaną z niego kosteczki. Wilki rozciągną go w nocy.

– I tak pošlemy go wdowie w puszcze od konserw – powiedział Dziewiątka Skrzywił się; grymas nadal jego ciemnej twarzy wyraz przebiegłości. – Będzie go musiała pompką od roweru pakować do trumny. Ten, który zwał się dwa tygodnie temu na przełazie, był potem jak mały karzełek. Nawet chyba wagi mu ubyło.

– Jedziemy do domu – powiedział Warszawiak. Wstał gwałtownie. – Do cholery z tym wszystkim. Przyjechałem tutaj, żeby wozić drzewo, a nie po to, żeby bawić się w grabarza Chowałem już tu dwóch truposzów, trzeci może mi przynieść pecha.

– Może sam nim zostaniesz? Wtedy nie będziesz miał kłopotów.

– Spójrzcie tam dobrze w dół – odezwał się nagle Orsaczek. – Czy to czasem nie on?

Wszyscy trzej położyli się na skraju przepaści. Kilkadziesiąt metrów pod nimi, między kępą uschłych drzew, leżały szczątki samochodu. Wiatr szedł doliną i zdmuchnął na chwilę śnieg z kupy żelastwa Widzieli pogiętą ramę, potrzaskane dyferencjały, a nieco dalej kola które oberwały się z piast. Potem wiatr odleciał jak ptak i w ciągu krótkiej chwili wszystko zniknęło pod śniegiem. Powstali; Dziewiątka uśmiechnął się szyderczo.

– Zdrowo się przejechał – powiedział Warszawiak.

– Tak myślisz?

– Trudno się domyślić?

– Ty, Warszawiak!

– No?

– Co byś chciał powiedzieć w takiej chwili?

– Kiedy co?

– Kiedy będziesz frunął.

– Ja?

– Ty.

Warszawiak spojrział na niego krótko.

– Pocałujcie mnie wszyscy w dupę – rzekł.

Dziewiątka zaśmiał się sucho.

– Wymyśl sobie coś innego – powiedział. Poklepał Warszawiaka po policzku. – Wymyśl sobie koniecznie coś innego.

– Bo?

– Nie zdążysz, synu. To musi iść galopem jak numer z prawiczkami. Raz-dwa i koniec krzyku.

– Idź do diabła – powiedział Warszawiak. Stał na szeroko rozstawionych nogach i patrzył spode łba na Dziewiątkę. – Idź do diabła.

– Tu wszędzie mieszka diabeł – powiedział Orsaczek. – Niech szlag trafi taką robotę. W zeszłym miesiącu były trzy kraksy, w tym – nie ma jeszcze połowy – a już dwie. Trupek na tydzień. Gdyby nie to, że przychodzą dzisiaj te nowe wozy, rzuciłbym to wszystko do cholery...

– Zdenerwował się nagle i odwrócił ku nim. – Bierzemy go czy nie?

– Skocz z Warszawiakiem po pudło – powiedział Dziewiątka. Ziewnął; błysnęły jego białe zęby. – Ja zostanę tutaj i podgrzeję Orsaczkowi karter. Musimy go wyciągnąć kabestanem Warszawiaka. Nie chce mi się łązić. Idźcie już, dzieci. Inaczej będziemy się pieprzyć do rana w tej mazi.

Znów ziewnął.

– Spać ci się chce, co? – zjadliwie spytał Orsaczek. – Wczoraj schlałeś się jak bela. Dzisiaj pewnie zrobisz to samo. Dobranoc.

– Dobranoc? – powtórzył Dziewiątka jakby ze zdumieniem. – Dobranoc? – Roześmiał się nagle i zatoczył szerokie koło ręką. – Te góry, te przepaście, to wszystko... Tu nawet spać nie można spokojnie. Każdej nocy śni mi się, że lecę na łeb na szyję. Śni mi się mój pokiereszowany kadłubek i wasze głupie mordy nad nim. Kiedy budzę się rano, jestem zlany potem jak ruda mysz. Ciągle tylko kombinuję: kiedy polecę?, jak polecę?, jak będę potem wyglądać? – Kopnął ze wściekłością jakiś przymarznięty kamień i syknął z bólu; noga jego odskoczyła jak miot od szyny. – Kiedyś spałem inaczej – powiedział.

– Jak kamień, jak niedźwiedź. Mogłeś mi strzelać nad łbem i na tym samym łóżku obracać zadrutowaną prawiczkę. Tutaj śnię strachem. Diabeł tylko tutaj może spać spokojnie. On jeden. – Strzepnął śnieg ze swoich ciemnych, kudłatych włosów i z błazeńskim gestem skłonił się nad przepaścią. – Dobranoc – powiedział. – Dobranoc, kurwa wasza mać. Dobranoc, diable.

– To był najlepszy wóz – powiedział Orsaczek. Wciąż jeszcze pochylał się nad nisko leżącymi szczątkami. – To był najlepszy wóz.

Odeszli. Dziewiątka ściągnął portki i wypiął tyłek niezrażony lodowatym wiatrem.

## Nieboszczycy

Wóz, pozostawiony przez nich godzinę temu na szosie, tracił już zarysy jak spuchnięta twarz człowieka, którego przez tydzień bolały zęby. Na plandecę rozpiętej nad kabiną warstwa śniegu utworzyła grubą kożuch; Warszawiak, wchodząc do środka, rąbnął w plandekę pięścią i śnieg sfrunął. Oliwa w karterze już zgęstniała na smar i Warszawiak na próżno przyciskał starter; silnik nie chciał przerzucić i automat startera wył rozpaczliwie. Warszawiak kopał przez chwilę akcelerator, potem zaklął wściekle i rzucił Orsaczkowi korbę.

– Kręć – warknął. Oparł się plecami o siedzenie i znów wdeptał nogą rozrusznik. Przednia szyba oblepiona była śniegiem i nie widział twarzy mocującego się z silnikiem Orsaczka; przez śnieg i wiatr dochodziły słabo jego klątwy.

– Sprzęgło – ryknął Orsaczek. – Wciśnij sprzęgło!

– Myślisz, że nie wiem o tym? Kretynie...

Silnik zaskoczył w końcu. Krztusząc się i parszcząc, przechodził powoli na duże obroty. Orsaczek rzucił korbę pod nogi Warszawiaka i usiadł obok niego. Ocierał mokre czoło rękawem.

– Opuść szybę – powiedział Warszawiak. – Śnieg zalepia.

– Nie mogłeś jej wysmarować denaturatem?

– Dziewiątka z tamtym drugim wychłali. Specjalnie do tego skombinowali maskę gazową: cedzą przez filtr i zaprawiają sokiem. Opuść, mówię ci. Jak rozwalimy mordy, będziemy przynajmniej wiedzieli o co.

Włączył powoli lewarek biegu. Wchodził opornie i kiedy już ruszył, ostrożnie, po milimetrze odpuszczając pedał sprzęgła, aby nie spalić tarczy – z trudem udało mu się wrzucić na dwójkę. Przycisnął akcelerator prawie do deski; silnik pracował teraz na pełnych obrotach i wszystkie tryby dyferencjałów, skrzynki biegów i duplikatora wyły potępieńczo. Kiedy znów wycisnął sprzęgło, wrzask się urwał; wóz płynął teraz szybko, rozdmuchując ciszę gór swoim potężnym basem.

– Rozsypią się któregoś dnia – powiedział Orsaczek.

– No to co?

– Lubię ich głos – powiedział Orsaczek. – Jeździłem już na różnych, ale żaden inny wóz nie ma takiego gangu jak džems. Tak jakby niedźwiedź siedział w silniku. Warszawiak, słuchaj!

– No?

– Jak się nazywają te nowe wozy?

– Jeszcze ich nie ma.

– Przyjdą dzisiaj. Powinny być już przed wieczorem. No więc?

– Latil.

– Latil... – powtórzył Orsaczek. Uśmiechnął się. – Jak myślisz, będą dobrze chodzić?

– Diabli wiedzą. Nie widziałem ich jeszcze.

– Podobno są czerwone.

– Co za różnica: czerwone, niebieskie czy zielone?

– Lubię ładne wozy – powiedział Orsaczek z utajonym wyrzutem w głosie. Westchnął. – Mój džems wygląda jak stara prostytutka na urlopie – powiedział. – Łatam go jak mogę, ale wstydm mi już na nim jeździć.

Umilkł. Oparł się wygodnie i spod przymkniętych powiek obserwował umykającą szosę. Kiedy zjeżdżali niżej, nie widział nic – wszystko było bielą: niebo, góry, lasy i ziemia. I tylko wtedy, kiedy pięli się wzwyż, widać było granatowe, omiecione ze śniegu korony drzew; chwiały się pełne szumu i wiatru. Wiatr był wrogiem: wyskakiwał nagle, sypał w oczy śniegiem, mroził ręce do tego stopnia, iż stawały się jak dwa kołki – bez czucia i precyzji; z nich wszystkich jeden tylko Warszawiak potrafił jeździć, trzymając kierownicę kolanem lewej nogi; tym, którzy patrzyli na to z boku, cierpły zęby. Pędzili szosą jak dudniący, ciemny pocisk. Strzałka szybkościomierza drżała tuż przed cyfrą pięćdziesiąt. Orsaczek uniósł wyżej powieki.

– Pięćdziesiąt mil – powiedział. – Przeszło osiemdziesiąt kilometrów. Dokładnie: osiemdziesiąt cztery. Będziesz miał lekką śmierć, Warszawiak. Szybko jeździsz.

– Nie byłbym tutaj inaczej.

– Dlaczego?

– Rozpieprzyłem autobus razem z pasażerami – wyjaśnił Warszawiak. Uśmiechnął się. – Było na co popatrzeć, mówię ci. Zwaliłem wszystko na hamulce, sam wyskoczyłem, ale z pudła i łebków marmolada; ładowali ich w trumny jak smar. Potem nie chcieli mnie nigdzie przyjąć. Kręciłem trochę u prywatnego taksówkarza. Raz wziąłem dziwkę i pojechałem za miasto. Noc, las, księżyc i milicja drogowa. Zwiewałem, jak tylko mogłem, ale na zakręcie rąbnęła mi guma. Władowali się na mnie; mnie się nic nie stało, ale ciała tak się pomieszały, że nawet doktorzy nie mogli odróżnić, gdzie dziewczyna, gdzie wóz i gdzie milicja. Gospodarz mnie zaskarżył i musiałem drapnąć tutaj... – Westchnął; brawurowo przeleciał przez zakręt, potem powiedział: – Wszystko ta cholerna szybka jazda. Jak mam tylko kawałek wozu i drogę, nie mogę się powstrzymać. Mówię do siebie: Wszawisz. Żyjesz jak menda, poruszasz się jak menda, kradniesz jak menda, kochasz mendy i jak menda. Przynajmniej na wozie czuj się człowiekiem... – Poklepał Orsaczka po ramieniu. – Rozwalam jedno pudło po drugim – oświadczył pogodnie.

– Nie żal ci wozów?

Wzruszył ramionami.

– Kto mnie żałuje? Gdzie życie? Gdzie młode lata? Siedzę tutaj, daleko od Warszawy, od ludzi, od miasta. Jedyna dziwka, która myje tyłek chociaż raz na miesiąc, mieszka o pięćdziesiąt kilometrów stąd i żyje ze wszystkimi kolejarzami z powiatu. Tylko drzewo, droga i wilki.

– A jednak szkoda wozu – mruknął Orsaczek. – Wózek to piękna rzecz. Mówię ci: szkoda.

– Tylko życia szkoda.

Zbliżali się do zakrętu; mignęła już pierwsza tablica. Warszawiak nie zdejmował nogi z akceleratora. Patrzył przed siebie zimnymi oczyma, w których nikt nigdy nie dostrzegł strachu lub wściekłości. Nie zwolnił nawet wtedy, kiedy poczęli mijać białe kamienne słupy. Orsaczek złapał się rękami za siedzenie i wbił nogi w deskę. Wszystko trwało sekundę; kiedy wóz był już w środku łuku, Warszawiak uniósł nieco nogę z akceleratora, by potem przycisnąć ją gwałtowniej. Przelecieli z wyciem dyferencjałów, lecz jak po szynach – wóz nie zboczył ani na milimetr. Potem kierownica odbiła i znów lecieli prosto. Orsaczek mruknął:

– Szczęść Boże!

Zjechali niżej. Śnieg walił tak gęsty, że Warszawiak musiał zwolnić. Wychylił głowę z kabiny i zobaczył stojącego na środku szosy Dziewiątkę. Wyrzucił bieg na luz i zahamował tuż przy nim. Wyskoczyli; Warszawiak wdrapał się na pakę, zrzucił stamtąd kłęb sznurów, łańcuchy i olbrzymią skrzynię. Dziewiątka kopnęła ją i zapytała:

– Widły wzięłeś?

– Zapomniałem, psiakrew!

Dziewiątka oparł nogę na skrzyni i przez chwilę patrzył w koniec swego buta. Potem oświadczył:

- Nie będę ładował tej galarety gołymi rękami.
- Nie?
- Nie.

Popatrzyli na siebie. W czarnych oczach Dziewiątki gotowała się złość; oczy Warszawiaka pozostały przezroczyście, jakby ze szkła.

– Jak chcesz, Dziewiątko – powiedział Warszawiak. Był wyższy o prawie całą głowę od Dziewiątki i musiał się pochylić ku jego twarzy. Wysoki, chudy, stał z rękami w kieszeniach i kołysał się jak wahadło, zgrabnie przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę. – Jak chcesz. Ale jeśli ciebie to spotka, nie ruszę palcem i zostaniesz wysrany przez wilki.

Odwrócił się. Podeszedł do skrzyni i zepchnął ją kopniakiem na dół; poleciała z hukiem, kurząc śniegiem. Potem przywiązał sznur do samochodu. Sprawdził węzły, szarpiąc je ciężarem całego ciała, a kiedy zacisnęły się już ze skrzypem – koniec sznura zrzucił w dół.

– Dawaj rękawice – powiedział do Orsaczka. – I smar, dużo smaru.

Orsaczek rzucił mu z wozu grube szoferskie rękawice. Nałożył je i począł smarować gęstym żółtym smarem. Kiedy skończył już pracę i odstawił puszkę, podeszedł do niego Dziewiątko.

– Idę z tobą – powiedział. – A za to, coś powiedział, pogadamy jeszcze.

Wisielei już nad przepaścią. Pierwszy schodził Warszawiak, o parę metrów zanim, jak ogromny pająk, machał nogami Dziewiątko.

– Gdzie pogadamy, Dziewiątko? – krzyknął Warszawiak.

Echo w dolinie powtórzyło ostatnie słowa.

– W piekle! – krzyknął tamten.

– Dlaczego?

– To najlepsze miejsce dla nas.

– Tak myślisz?

– Jestem pewien.

– Dlaczego mamy iść do piekła?

– W niebie na pewno są samochody! – krzyknął Dziewiątko. – Rady zakładowe. Personalnicy. Składki. I takie zaszranie gór... Po tych wszystkich historiach tutaj wolę się trzymać z daleka od wysokości.

– Wczoraj opyliłeś na lewo dziesięć kubików. Może dlatego mówisz o piekle?

– W zeszłym tygodniu ty opyliłeś przeszło trzydzieści, synu! Zapomniałeś już o tym?

– Stul lepiej mordę! Tam na górze wszystko słychać.

– On też kradnie.

– Kombinuje – powiedział urażonym tonem Warszawiak.

Dziewiątko nie dosłyszał tego. Ryczał z góry:

– Nigdy się nie skończy ta dziura?

– Już niedaleko. Uważaj, kamień tu wystaje...

Stanęli właśnie na ziemi. Byli zgrzani; pot zlewał im włosy. Musieli przysiąc na chwilę; wędrówka po sznurze wyczerpała ich. Dziewiątko udało się wygrzebać skądś suchego papierosa i wypalili go na spójkę. Potem uwiązali skrzynkę na sznurku i ciągnąc ją po śniegu, doczołgali do szczątków samochodu.

– Jest – powiedział Warszawiak. – Tam.

Człowiek leżał obok. Twarz miał zmiądzoną. Krew skrzepła na mrozie i nie widać było ani oczu, ani ust. Kiedy odwrócili go na bok, ujrzeli, że czaszkę ma zmiądzoną, a kończyny wszystkie tak powykręcane, jakby go ktoś rozmontował, a potem złożył z powrotem w sposób śmiesznie złośliwy. Przypominał laleczkę, która dostała się w ręce ciekawego dziecka. Odwrócili głowy.

– Peklujemy go – powiedział Dziewiątko. – Dawaj pudło.

Warszawiak przysunął skrzynkę, odszarpnął wieko i z jej wnętrza wyjął parę gwoździ. Włożyli zwłoki, potem przybili wieko, waląc w gwoździe kawałkiem złamanej piasty. Odetchnęli.

– Szkoda go – powiedział Warszawiak.

– Dobry był, fakt.

– Miał swoje szusy.

– Durniu! Mówię o jego dzemisie.

– Pompę miał słabą, ale chodził.

– Można było podłożyć fibrową wkładkę i latać. Ja swoją pompę w ten sposób podszykowałem i jest w porządku. Dawaj, ciągniemy go. Potem będziemy wracać po nocy.

Chwycili sznurek i poczęli ciągnąć skrzynię. W niektórych miejscach nogi ich zapadały się po kolana.

– Taka owaka jego mać! – dyszał Dziewiątka; oczy mu szcerwieniwały. – Żeby go szlag trafił...

– Już go trafił – warknął Warszawiak. – Stul mordę i ciągnij...

Uciągnęli kilkadziesiąt metrów – pochyleni i dyszący ochryple. Nagle Dziewiątka powiedział:

– Zaczekaj!

Rzucił sznurek i puścił się pędem w kierunku samochodu. Po chwili wrócił.

– W porządku – rzeki. – Idziemy.

– Co tam rąbnąłeś?

– Tam? Nie ma nic do rąbnienia. Kupa szmelcu i zelówki, mój drogi. Wziąłem tylko Pawełka.

Odchylił pazuchę: błysnęła nagle ludzka spreparowana czaszka. Dziewiątka przytknął kościotrupa w szczękę.

– Przynosi szczęście, Warszawiak – oświadczył. – Jeździł z Pawełkiem; bolcem go zahaczył do błotnika. Mówię ci, Warszawiak: maskotka z krakusy to fart.

– Myślisz?

– Przekonasz się.

Znów szli pochyleni z twarzami wystawionymi na wiatr. Sznur wrzynał im się w ramiona, skrzynia co chwila zapadała w śnieg. Sapali. Dziewiątka spojrział na Warszawiaka z boku i parsknął śmiechem: Warszawiak wysunął na wierzch prawie cały język.

– Czego ryczysz?

– Z ciebie. Wyglądasz, jakbyś srał złotem.

– Obchodzi cię to?

– Nie, mój drogi – powiedział Dziewiątka. – Tego w pudle też nie. Chyba pierwszy raz od dzieciństwa jedzie sankami. Powinien być zadowolony. Jak myślisz?

– Przekonasz się, jak ciebie będziemy ciągnąć.

Dziewiątka przystanął.

– Mylisz się, przyjacielu! – Uroczystym ruchem podniósł rękę do góry. – Dziewiątka rozpieprzy się honorowo – powiedział. – O nie, synu! Ze mną nie będziecie mieli kłopotu. Jeśli co po mnie zostanie, to tylko długi w knajpach. Mężczyzna tak powinien umierać. Ciągnij!

Orsaczek obserwował ich z góry. Kiedy umocowali już skrzynię sznurami, wziął koniec sznura i okutym chwytem przymocował go do liny kabestanu. Puścił w ruch silnik i włączył dźwignię wyciągu. Potem stanął nad przepaścią i obserwował, jak skrzynia, obracając się wokół sznura, idzie powoli w górę. Nie mógł powstrzymać śmiechu, kiedy uświadomił sobie, iż jest to fragment ostatniej drogi nieboszczyka. Pomachał ręką do Dziewiątki i Warszawiaka.

– W porządku! – krzyknął.



– Co on wrzeszczy? – zapytał na dole Dziewiątka; dostał kiedyś potężnie w ucho i słyszał słabiej.

– Że w porządku.

– Ummm...

Orsaczek wyciągnął skrzynię i odczepił od niej sznur. Potem przymocował do bębna wyciągowego drugi sznur i wyciągnął na nim Warszawiaka. Dziewiątka oczekiwał swojej kolejki na dole.

~ Czeka! – powiedział Orsaczek do Warszawiaka. – Ja go teraz urządzę.

– Co chcesz mu zrobić?

– Zobaczysz.

Rzucił linę w dół: Dziewiątka oplątał się nią. Orsaczek włączył dźwig i patrzył, jak tamten – niby ogromny pajak – unosi się w górę. Kiedy był już w połowie drogi, Orsaczek wstrzymał silnik. Pochylił się nad przepaścią.

– Ty, Dziewiątka! – krzyknął.

– Co jest?

– Kiedy mi oddasz te pięć kawałków?

– Ciągnij do góry, bydlaku.

Orsaczek włączył dźwignię i przycisnął gaz; Dziewiątka ruszył w górę jak wystrzelony z procy, lecz po chwili Orsaczek, nie zmniejszając obrotów silnika, włączył dźwignię na przeciwną pozycję i Dziewiątka leciał teraz na łeb na szyję w dół. Potem zatrzymał bęben gwałtownym szarpnięciem i Dziewiątka znów zawisł nieruchomo.

– Daj mu spokój – powiedział Warszawiak.

– Niech mi odda forszę – warknął Orsaczek. – Ty sam wiesz, że forsa mi jest potrzebna.

Pochylił się w dół.

– No jak, oddasz?

– Ciągniesz czy nie?

– Najpierw powiedz: kiedy?

– Na najbliższą wypłatę.

– Słowo honoru?

– Ciągnij, chamie!

– Oddasz?

– Tak.

– Słowo?

– Słowo honoru.

– W porządku – z satysfakcją stwierdził Orsaczek. Włączył silnik na pełen gaz. Po chwili Dziewiątka był na górze.

– Nie leżałeś już dawno w szpitalu – powiedział do Orsaczka. – Ale nie minie cię to chyba.

Władowali skrzynię na samochód Orsaczka i przywiązali ją sznurami do ramy. Potem Warszawiak spod siedzenia wyciągnął butelkę i podał ją Dziewiątce.

– Stypka jak złoto – powiedział Dziewiątka. Skinął głową Warszawiakowi. – Za twoje zdrowie, dziecko.

Potężnym łykiem opróżnił ćwierć butelki. Westchnął, jego ciemne oczy przysłoniła mgła. Młaskał chwilę smakowicie, potem oddał butelkę Warszawiakowi.

– Rozwijaj się – rzekł.

Warszawiak pił wolno. Grdyka na jego chudej szyi chodziła miarowo. Płyn był lodowaty i tym dotkliwiej raził gardło. Dokończyli; Warszawiak chciał rzucić butelkę w przepaść, lecz Orsaczek wyrwał mu ją z ręki.

– Czeka.

– Przyda się, co? – powiedział Dziewiątka, patrząc na niego krzywo. – Można sprzedać za dwie dychy. Tysiąc butelek dwadzieścia kawałków. Gówniarz.

– Nie mieszaj się... – zaczął Orsaczek, lecz Warszawiak przerwał mu nagle:

– Cicho! Słyszycie?

Wskazał ręką na zakręt. Odwrócili głowy – z daleka w białej ciszy zimowego przedwieczoru – coraz głośniejsze i wyraźniejsze dobiegało głucho dudnienie silników. Ich głos odbijał się z wielokrotnym echem o ściany wąwozów i aż tutaj czuć było drganie rzadkiego powietrza i dygot ziemi. Głos narastał i odnosili wrażenie, jakby zbliżał się ku nim olbrzymi owad.

– Jadą – powiedział Warszawiak. Wsunął do przodu swój długi nos i węszył nim chciwie. – To nowe wozy dla nas. – W jego zimnych oczach zapaliło się nagle jadowite światło. Zerwał czapkę z głowy i z wściekłością cisnął ją o ziemię. – Niech ich cholera weźmie – powiedział. – Teraz, jak połowę ludzi szlag trafił.

– Fraszka, synu – powiedział Dziewiątka. Uśmiechnął się. – Najważniejsze, że już są. Może nareszcie będzie można coś zarobić.

– Daj Boże – mruknął Orsaczek.

– Ty się tylko o to troszczysz, bydlaku.

– A o co mam się troszczyć? Jeśli będzie czerwony, to ja go biorę.

Głos zbliżał się coraz bardziej.

– Co jest? – powiedział Warszawiak. Jeszcze bardziej do przodu wysunął swój nos. – To nie nasze wozy chyba. Tamte miały być diesle, a ja wyraźnie słyszę džemsa.

I nagle głos się urwał. Zapadła cisza. Spojrzeli na siebie zdumieni. Czekali chwilę w milczeniu, lecz cisza zastygła na dobre. Górą, nad ciemnymi już i bezkształtnymi w tej chwili lasami, biegł wiatr, i wszystko, co było między niebem a ziemią, stało się nagle szumem; szumem, przez który nie przebijał żaden inny odgłos. Wężowy Jar napełnił się ciemnością, nie było już widać szczątków samochodu ani s trzaskanych drzew. Między lodowatymi chmurami płynął ostry księżyc. Ziemia stężała; wiatry uniosły się nagle i mknęły szlakami gwiazd.

– Co jest, do cholery? – wybuchnął nagle Dziewiątka. – Kamfora czy co?

– Może skręcili? – rzekł Orsaczek.

– W niebo chyba... Pięć kilometrów w dół nie ma żadnej drogi. Musiało mu się coś stać.

Warszawiak wszedł do swego wozu.

– Siadajcie – warknął. – Podjedziemy tam, to niedaleko.

Wskakiwali już w biegu. Popędził w dół jak huragan; przy zmianie biegów nie zdejmował nawet nogi z akceleratora. Dyferencjały wyły, kiedy przelatował przez zakręty. Kłął; Dziewiątka jadący na stopniu skulił się jak kot. Włączył reflektory; kiedy podjeżdżał w górę, światło ich nikło wśród gwiazd. Potem wydostał się na długi spadek i wtedy wszyscy zobaczyli stojący w dole samochód; maskę miał otwartą, a w silniku grzebał człowiek.

– Dżems – powiedział Warszawiak.

Podjechali blisko niego. Warszawiak zatrzymał tak gwałtownie, że Dziewiątka mało nie runął w śnieg. Podskoczyli do kierowcy.

– Co się stało? – szczechnął Warszawiak.

Tamten wyprostował się nad silnikiem.

– Już nic – powiedział. Zamknął maskę i zeskoczył na ziemię. – Dysze się pozatykały. Mogę jechać dalej.

– Dokąd pan leci?

– Do bazy Drzewa.

– To do nas – powiedział Warszawiak. – Oko panu zblednie, jak pan zobaczysz tę bazę.

– Gdzie nowe wozy? – zapytał Dziewiątka.

Kierowca milczał przez chwilę. Nie widzieli jego twarzy. Mrok i mgła zgęstniały tak bardzo, że poruszali się wszyscy niby w ogromnych ilościach ciemnej mlecznej zupy. Orsaczkowi zrobiło się nagle bardzo duszno i szarpnął głowę w górę; stąd, z doliny, nie widać było gwiazd. Tylko wiatr był ten sam i siekł wściekle gorące ich twarze.

– Nie będzie nowych wozów – powiedział kierowca.

## Drogi

Warszawiak zerknął na Dziewiątkę i wydało mu się, że pomimo zmroku i mgły dostrzegł, jak pociemniała twarz tamtego. Dziewiątka schował głowę w ramiona i pochylił się do przodu, jakby miał runąć na kierowcę, który im przywiózł wiadomość. Tylko jeden Orsaczek trwał bez ruchu z rozdziawionymi ustami.

– To po cholere tu przyjechałeś? – wykrztusił wreszcie Dziewiątka. Zabułgotało mu w gardle. Zbliżył się o krok do tamtego.

– Wozić drzewo – powiedział kierowca.

– Drzewo? Drzewo... A trumnę sobie przywiozłeś?

Kierowca wskazał ręką na lasy.

– W razie czego desek starczy.

– Drzewo – znów powtórzył Dziewiątka. – Drzewo... – Skoczył nagle do kierowcy i szarpnął go za ramię. – Chodź! – warknął. – Pokażę ci twoje drzewo...

Pociągnął go za sobą z całej siły i podbiegli prawie do wozu Orsaczka. Dziewiątka ze zręcznością małpy wskoczył na pakę i kopnięciem zrzucił skrzynię; runęła pod nogi kierowcy.

– Masz tu swoje drzewo – powiedział syczącym głosem. – Tamtemu też się zdawało, że potrafi wozić dłużycę na tych trupach. Teraz już tego nie myśli. Możesz go sobie wziąć na pamiątkę i wyrwij stąd, póki ci się jeszcze łeb trzyma na karku.

Umilkł. Oczy lśniły mu dziko.

– Kiedy? – zapytał kierowca.

– Dwa dni temu. Dwa dni szukaliśmy go jak wariaci. Cud, że wilki nie rozciągnęły do tej pory. W zeszłym tygodniu zwałił się jeden facet z sąsiedniej bazy. Szukaliśmy go wszyscy, a kiedy wreszcie znaleźliśmy, nie wiadomo było, jak go wrzucić do trumny, bo prawie całego zżarły. Na Sąd Ostateczny będzie się meldował bez kutasa. Potrzebne ci to?

Pchnął tamtego lekko i podszedł do Warszawiaka; Warszawiak poczuł na twarzy jego gorący, wódką i tytoniem przesycony oddech.

– Jedziemy – powiedział Dziewiątka. Ulokował się w wozie. – Niech Orsaczek odwiezie go do miasta. A tego – wskazał ręką na kierowcę – niech szlag trafi razem z drzewem. Jutro rano zwijamy manatki i chodu. Mam dosyć tych gór.

– Musicie zostać – powiedział kierowca.

– Musimy? – powiedział przeciągłe Warszawiak. Zajrzał w twarz nieznanemu. – Ktoś ty taki, przyjacielu? Nie widzę nawet twojej mordy, a ty mówisz, że muszę tu zostać? Kto nam każe? Ty?

– Ja.

– A ktoś ty taki? Gównu ojca świętego?

– Zamknij pysk – powiedział nieznanemu. – Jeśli chcesz, to ja ci go zamknę. – Chwyił Warszawiaka za przegub dłoni; trwało sekundę i Warszawiak siedział na stopniu swego wozu.

– Przysłali mnie tu, żebym się bujał razem z wami i żebym wam pomagał. Musimy wozić drzewo na tych trupach, dopóki nie przyjdą nowe wozy.

– Kto cię przysłał?

– Partia.

– Aha – powiedział Dziewiątka – Partia cię przysłała To bardzo ładnie. Ale drzewa nie można wozić partią. Drzewo trzeba wozić samochodami. Dobrymi samochodami. Niech ci, którzy przysłali cię tutaj, sami przyjadą i zniosą drzewo na plecach. Tak będzie najlepiej.

Po chwili złości wszyscy nagle umilkli. Warszawiak masował obolały przegub. Orsaczek znów wciągnął skrzynię na pakę. Warszawiak podniósł się ociężale i wszedł do swego wozu.

– W porządku – rzekł do nowego kierowcy. – Teraz jedziemy do bazy. Orsaczek odwiezie Szarlotę i przyjedzie później. Znasz drogę?

– Nie – powiedział nieznajomy.

– Nie szkodzi. Trzymaj się mojego tylnego światła. Jedź zaraz za mną i nie zapalaj reflektorów; biją w śnieg, a potem oczy tak bołą, że nie można sobie znaleźć miejsca. Ja znam drogę na pamięć. Poprowadzę cię. Ja zapalę tylko na chwilę, muszę zawrócić.

Nieznajomy kierowca odszedł. Warszawiak włączył reflektor i począł manewrować. W świetle latarni śnieg przesypywał się jak złoto.

– Dlaczego nie kazałeś mu zapalać świateł? – zapytał Dziewiątka.

Warszawiak nie odpowiedział. Patrzył przed siebie rozszerzonymi oczyma, a jego długi nos jakby się nagle wyostriął.

Dopiero kiedy ruszyli z miejsca, rzekł cicho:

– Przez takiego jednego faceta musiałem wyrywać z Warszawy. Miały przyjść wozy, a przysłali politruka. Ja go skończę.

– Co takiego?

– Skończę go – powtórzył cicho Warszawiak. – Nie chce wracać, to zostanie tu na zawsze.

– Pochylił twarz do Dziewiątki. – Nie lubię cwaniaków, rozumiesz? Widziałem nie takich mocnych, a potem działo się z nimi jakoś dziwnie. – Wychylił się na sekundę do tyłu; widział za sobą pędzący wóz. – Jedzie – powiedział. – Jedzie za moim światłem.

– Uważaj, synu – powiedział dobrotliwie Dziewiątka. Siedział z zamkniętymi oczami i wyglądał jak człowiek, który oddaje się marzeniom. – Uważaj, żebyś się nie znalazł tam, gdzie ja byłem.

Warszawiak zaśmiał się cicho. Położył rękę na trzonie szperacza i wykręcił reflektor do tyłu.

– Cztery miesiące czekaliśmy na te nowe wozy – powiedział cicho. – Cztery miesiące ranek w ranek wyjeżdżałem i nie wiedziałem, czy wrócę do was z powrotem. Przed każdym zakrętem żegnałem się z życiem. Czego człowiek jest pewny, gdy jeździ na trumnie? Trumny. Przez cały czas nie powiedziałem ani słowa. Teraz mam dosyć. Oszukali ludzi, to wystarczy. Wszyscy czekali i każdy myślał: może będzie lepiej, może więcej zarobię? Zamiast tego wszystkiego przysłali kapusia. Módl się za niego.

Powolnym ruchem dopchnął pedał akceleratora, ziemia jęczała. Uśmiechnął się i zacisnął palce na kole kierownicy; całe ciało jego przenikała teraz wibracja wozu. Położył rękę na wyłączniku przednich reflektorów i rozciął na chwilę ciemność, by potem znów pogрузić się w nią, stale zwiększając szybkość. Dziewiątka patrzył na podnoszącą się wskazówkę szybkościomierza.

– Czterdzieści mil – powiedział.

Warszawiak milczał. Patrzył w mrok z czujnością sowy. Wiatr uderzył w nich z boku i plandeka załomotała jak bęben.

– Czterdzieści pięć – powiedział Dziewiątka.

– Jeszcze trochę – rzekł Warszawiak. Docisnął pedał do deski, a kiedy wyczuł opór, wyciągnął nieco dźwignię ssania. Nie słyszeli już teraz ani wiatru, ani tamtego z tyłu. Wszystko głużył potężny bas silnika.

– Zobacz go – powiedział Warszawiak.

Dziewiątka wychylił się.

– Ciągnie – oświadczył. Znów spojrzął na szybkościomierz; zjeżdżali teraz po spadku. – Pięćdziesiąt – powiedział. – Pięćdziesiąt mil, synku. I w dodatku ciemno. Ciemno jak cholera. Jeśli pożyjesz jeszcze trochę, zostaniesz wielkim człowiekiem. Możesz nawet bawić się w politykę. Ty jesteś człowiek do tych rzeczy. Ja go chciałem inaczej, widzisz? – Pokazał Warszawiakowi żyletkę oprawną w ołów. – Ale tak będzie lepiej – rzekł. Umilkł, a po chwili mruknął: – Pięćdziesiąt pięć.

– W porządku – rzekł Warszawiak. Znów się uśmiechnął. – Chwyć no się rękami za siedzenie, Dziewiątka. Zakręt już blisko.

Dziewiątka gwizdnął.

– Teraz?

– Żal ci?

– Przejedź tylko sam.

– On z tyłu nic nie zobaczy. Tu nie ma tablicy. Pójdzie za moim światłem jak ćma.

Wjeżdżali już na zakręt; Dziewiątkę przez chwilę oblał żar. Białe słupy po obu stronach szosy przeleciały w szalonym pędzie, zlewając się w jedną krechę. Warszawiak krzyknął do Dziewiątki:

– Światło!

Dziewiątka szarpnął się do tablicy i przerzucił kontakt. Jadący w tyle człowiek oślepiony został nagle potężnym snopem światła i blask ten wdarł mu się dzikim bólem aż pod czaszkę.

– Gaz! – krzyknął sam do siebie na cały głos. Rozpaczliwym ruchem wdepnął pedał. Przejechał przez zakręt prawymi kołami nad przepaścią, śnieg na boku szosy bryzgnął w górę wściekłą fontanną. Uczepił się kierownicy i całym ciężarem swego ciała ściągnął ją na lewą stronę; walczył teraz z ciężarem pięciu ton. Po chwili jechał już prosto; czuł tylko dotkliwie zimno: to wiatr bijący z boku mroził pot na jego ciele. Zagryzł usta.

Dziewiątka wychylił głowę z kabiny i spojrzął w tył.

– Ciągnie – powiedział. – Ciągnie na swoich światłach. Masz jeszcze coś dla niego?

– Wyłącz szperacza – powiedział Warszawiak. – I nie troszcz się oto.

– Dobrze, synku – rzekł Dziewiątka. Zapalał papierosa i ręce drżały mu z emocji. – Następny skręt masz za jakieś dwa kilometry.

– Ale to jego ostatnie dwa kilometry. Gdyby żył wiecznie, wiecznie by je pamiętał.

Dziewiątka zaśmiał się krótko – zabrzmiało to jak szczeknięcie. Jechali bokiem do wiatru, a kiedy znów osłoniły ich góry i tylko silniki druzgotały ciszę, powiedział:

– Nie kochasz ich, co?

– Nie lubię, jak ktoś ze mnie robi wariata. Jestem większy cwaniak od niego.

– Myślisz?

– Zobaczysz, czy źle myślę.

Dziewiątka spojrzął na niego z boku.

– Ile ty masz lat, Warszawiak?

– Dwadzieścia pięć.

– Jestem starszy od ciebie o piętnastaka – powiedział – ale zaczynasz mi się podobać coraz bardziej. Przedtem tacy jak ty żyli krótko, ale gorąco. Teraz za późno. Ludzie mijają się ze swoim prawdziwym ocaleniem i to jest najsmutniejsze. Uważaj, zakręt... – Wychylił się do tyłu, potem rzeki: – Nic z tego, trzyma się daleko. Reflektorem go nie weźmiesz.

– Zrobię go inaczej – mruknął.

Powoli wyhamował na zakręcie i zatrzymał się w połowie łuku. Włączył wsteczny bieg i czekał, aż nadjedzie tamten.

– Wrzucę go tyłem – wyjaśnił. – On teraz wskoczy na mnie, zaprzyj się nogami. Albo najlepiej wyjdź, Dziewiątka. Ja w razie czego będę skakał.

– Popatrzeć nie kosztuje. Zostanę.

Czekali przez chwilę ze zgaszonymi światłami. Nie słyszeli wiatru ani tamtego; ogarnięci ciszą i mrokiem znajdowali się w samym sercu nocy. Nieznajomy wciąż nie nadjeżdżał. Warszawiak wyskoczył z kabiny.

– Stoi sto metrów w tyle – powiedział. Usiadł za kierownicą. – Zrobię go innym razem – rzekł cicho. – Zrobię go tak na szaro, że jeszcze w piekle będę mu się śnił po nocach.

Ruszył. Znow gnał przez śnieg i mrok. Dziewiątka patrzył na niego z boku i widział, jak drgają ostre jego szczęki. Do bazy dojechali w milczeniu. Warszawiak wyskoczył szybko i nie patrząc na Dziewiątkę, wlaź pod wóz. Odkręcił kurki chłodnicy i bloku. Woda spłynęła, bulgocąc; owionęła ich ciepła para.

– Z tym reflektorem to był głupi przypadek, Dziewiątka – rzekł Warszawiak.

Tamten wzruszył ramionami.

– W porządku – rzekł. – Nigdy nie mówi się o takich rzeczach, synu. Inaczej nie udają się wcale.

– Ta uda się na pewno.

– Ładnie. Idziesz się wytentegować?

– Poczekam na niego.

Dziewiątka odszedł, skrzypiąc ogromnymi butami po śniegu. Warszawiak podniósł głowę do góry. Niebo rozdarte było gwiazdami, płynęły po nim groźne mgły. Kiedy przyjechał tamten, Warszawiak stał na środku podwórza i odlewał się srebrnym lukiem. Nieznajomy podszedł do niego.

– Zapnij portki – rzekł cicho. – Nie wstyd ci przy kobiecie?

Warszawiak drgnął.

– Przy jakiej kobiecie?

– Przy mojej żonie.

Warszawiak szarpnął głową do tyłu. Teraz dopiero zobaczył, że z samochodu wyszła kobieta; tam, w ciemnościach i mgle, nie zauważył jej. Stała na środku białym światłem zalanego podwórza i wobec gór, drzew i nieba wydawała się nieskończenie mała. Warszawiak uczył, że mu od bólu aż zaschło w gardle.

– Dziwnie jeździsz – powiedział nieznajomy.

– Bo? – wykrztusił Warszawiak.

– Masz swoje sposoby.

Milczeli. Kobieta stanęła obok nich. Warszawiak poczuł nagle, jak odeszły go wszystkie siły.

– Gdzie jest ten barak? – zapytał nieznajomy.

– Tam – ochryple powiedział Warszawiak. Uniósł rękę z żelaza i wskazał na dom. Potem ruszyli w milczeniu; ciemni i niezgrabni, oświetleni nieruchomym światłem gwiazd.

## Barak

Izba była mroczna; nowy kierowca i jego żona przystanęli w progu i zmrużyli oczy. Lampa naftowa wisiała na środku sufitu, a mętne koło jej światła robiło wrażenie rozlanej oliwy. Kiedy weszli, Warszawiak podszedł do lampy i podkręcił nieco knot, lecz było to tylko złudzenie; mrok pozostał nieruchomy. Warszawiak zdjął czapkę i watowaną kurtkę; czapkę powiesił, a kurtkę zwinął w kłębek – zastępowała mu poduszkę. Potem upadł ciężko na pryczę i odwrócił głowę do ściany. Za chwilę wszedł Dziewiątka. Zamknął z hałasem drzwi; w mroku błyszczała jego oszroniona głowa i wilcze zęby. Kierowca z żoną wciąż stali w drzwiach.

– Siadajcie – powiedział Dziewiątka Wykonał gościnny gest ręką, a kiedy usiedli, wskazał na kobietę. – Któż to?

– Żona.

– Jechała razem z wami?

– Tak. Dlatego nie mogłem wyminąć tego łamagi – powiedział nowy. Wskazał ręką Warszawiaka, który nie odwrócił się nawet i leżał z twarzą w kurtce. – Słabo jeździ – powiedział. – Nie powinien się pchać w góry, jeśli nie potrafi jeździć ostro. W górach życie kierowcy zależy często od szybkości. – Popatrzył chwilę na Dziewiątkę. – Co o tym sądzisz?

– Jest miody – rzeki Dziewiątka. – Podciągnie się jeszcze. Jeśli będziecie mieli jeszcze raz okazję pojechać we dwóch, przekonasz się, że nie jest taki zły.

Warszawiak uniósł się. Patrzył przez chwilę na nowego, potem znów ułożył się tyłem do nich. Dziewiątka zwrócił się do kobiety:

– Jak się pani podobała podróż, drogie dziecko? – zapytał uprzejmie.

Nie odpowiedziała nic. Dziewiątka czekał przez chwilę, potem westchnął.

– To jest właśnie baza – powiedział. – Nas czterech i ta nora. Do przedwczoraj był piąty, ale już dobija do rajy. Jutro przyjedzie komisja, obejrzy tę kupę szmelcu i na pewno napisze, że kierowca poniósł śmierć z własnej winy. Tak robią za każdym razem. Wozy garażują na dworze. Rano trzeba podgrzewać olej lampą benzynową.

– Teraz będzie nas sześciu – powiedział nowy kierowca Wyciągnął przed siebie nogi; były nadzwyczaj długie i zajmowały kawał izby.

– Przyprowaździłem ze sobą jeszcze jednego – wyjaśnił. – Zostawiłem go w mieście. Powinien już niedługo nadjechać, tankuje benzynę.

– Umilkł. Osadził papierosa w zgryzionej cygarniczkę, potem zwrócił się do Dziewiątki: – Jak do was mówić?

– Dziewiątka.

Uniósł brwi.

– To nazwisko?

Dziewiątka siedział na pryczy i ściągał buty. Kiedy upadły już ze stukiem na ziemię, począł odwijać onuce. A kiedy uporał się wreszcie i z tym, podniósł głowę. Patrzył uważnie w twarz tamtego swymi cygańskimi oczyma.

– Słuchaj, dziecko – rzekł po chwili dobrotliwie – nazywają mnie po prostu Dziewiątka, a ja sam zapomniałem, jak się nazywam naprawdę. Nazywają mnie tak już od dawna. Ale tu są te zasrane góry i nikt tu nie siedzi dla przyjemności. Każdy z musu, dziecko. Siedziałem kiedyś za niewinność w kryminale. Artykuł dwieście dwadzieścia pięć. Wiesz, co to jest?



– Morderstwo.

Dziewiątka skinął głową.

– Zgadza się. Jeśli dodasz do siebie dwa plus dwa, plus pięć, to zrozumiesz, dlaczego nazywają mnie Dziewiątką. A tutaj? To było jedyne miejsce pracy, gdzie się mogłem dostać, i dlatego tylko widzą mnie tutaj twoje piękne oczy. Ten tam – wskazał ręką na Warszawiaka – rozwalił parę samochodów i dekuje się tutaj jak szczur przed właścicielami taksówek. Ten facet, który leży koło pieca, jest w tej chwili śmiertelnie pijany i dogadasz się z nim nie wcześniej jak jutro rano. Najlepszy mechanik, jakiego znasz, ale był już pijany w pięć minut po przyjsciu na świat. Wyrzucili go z piętnastu tysięcy miejsc i dlatego jest tutaj. Orsaczek, który pojechał z truposzem do miasta, machnął jakiejś dziwce dzieciaka i dlatego widzisz go tu. A co tobie się przytrafiło na kamienistej drodze życia?

– Przyjechałem wozić drzewo.

– Ładnie. Ksywki masz w porządku?

– Jak najbardziej.

– I chcesz zostać tutaj?

– Zostanę tutaj.

Dziewiątka podbródkiem wskazał na kobietę.

– Z nią?

– Zostanie ze mną.

– Jak się nazywasz?

– Zabawa.

– Słuchaj, Zabawa. My wszyscy jedziemy jutro rano. Dostaliśmy swoją pralkę, a teraz mamy dość. Kim jest tamten facet, który jedzie tutaj z benzyną?

– Młody. Dobry kierykant.

– Pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt dwa, sto trzysta?

– Nie. Przyjechał tutaj pracować. Mówi, że lubi las. Był kiedyś w partyzantce.

– Jeśli koniecznie chce, żeby go szlag trafił w lesie, to ma okazję jak nigdy. Będziecie wozić we dwóch. Chyba że swoją kobietę nauczysz jeździć nawozie.

– Jeśli będzie trzeba, nauczę ją jeździć na kiju.

– Każdy to potrafi bez ciebie – powiedział Dziewiątka. Rozwalił się wygodnie na pryczy; nogi oparł na ścianie. Gwizdał przez chwilę, potem rzekł z zamkniętymi oczyma: – Jak chcesz, dziecko.

Umilkli.

Lampa kopciła prosto w sufit. Wiatr zerwał się gdzieś od wysokich gór i przez długą chwilę wszystkie drzewa Karkonoszy ugięły się pod jego naporem. Potem, jak zwykle w górach bywa, nastąpiła chwila ciszy. Naftówka przygasła i widać było prostokąt okna wypełniony gwiazdami. Przed dom zajechał samochód; skrzypnęły ciężkie kroki na śniegu i do izby wszedł Orsaczek.

– Odwiozłem go – powiedział od progu. Powiesił czapkę i kozuch; teraz dopiero był ładny i gibki jak młody kot. – Myślałem – rzekł – że razem z nim szlag mnie trafi. Taki wiatr... – Spostrzegł nagle kobietę i zamilkł. Oczy jego stały się okrągłe.

– Zabawa przywiózł sobie pomocnika – pogodnie wyjaśnił Dziewiątka. – Chce popełnić samobójstwo rodzinne. Można i tak.

Wstał z pryczy. Podszedł do stojącego w kącie piecyka i pogrzebał w nim drutem. Wszystko już wygasło, na podłogę wyleciało nieco popiołu. W stojącym na fajerce garnku zamrzła woda. Dziewiątka wziął trochę pakuł i oblał je ropą. Podpalił i piecyk zaczął natychmiast wesoło trzeszczeć. Dziewiątka usiadł przy stole i wyciągnął z szuflady talię kart.

– Zagrasz, Warszawiak? To już ostatni raz.

Warszawiak i Orsaczek przysiedli. Karty były brudne i lepiły się do rąk; wszystkie rogi ktoś poobcinał, aby nie oszukiwano.

– Zbudzę Apostoła – rzekł Orsaczek. – Ostatnim razem karta mu nie szła.

Podszedł do pryczy obok pieca, na której spał mężczyzna, i począł nim potrząsać. Śpiący przez długą chwilę otrząsał się jak od muchy, wreszcie się obudził. Usiadł gwałtownie i przecierał oczy rękami.

– Chodź do nas, Apostoła – powiedział Dziewiątka – Pogramy sobie jeszcze trochę w miłym towarzystwie. Wozy nie przyszły i jutro wszystkich nas stąd diabli biorą.

– Nie wyrażaj się – powiedział głębokim basem Apostoła. Wstał z pryczy i podciągnął spodnie. Był ogromny. Kiedy człapał powoli, mierzwiąc palcami skudłone włosy, jego ogromny brzuch trząsał się jakby o krok przed nim. Oczy miał zapuchnięte, czerwone i potężne worki pod nimi. Kiedy usiadł, krzesło zatrzęszczało żałośnie. Jak z beczki szedł od niego zapach przetrawionego alkoholu.

Dziewiątka zwrócił się do Zabawy:

– Grasz?

– Poker?

– Tak.

Zabawa rozejrzał się.

– W pięciu? Za dużo nas.

– Jeden spauzuje.

Dziewiątka rzucił karty na stół i rozłożył je w wachlarz. Ruchy jego były szybkie, trudno uchwytny dla oka.

– Ciągnąć – powiedział. – Najstarsza pauzuje. Sprawiedliwie.

Sam ciągnął pierwszy; wyciągnął waleta i rzucił go z uśmiechem. Asa miał Orsaczek. Odszedł. Wyciągnął spod pryczy drewniany kuferek, wyjął pompę benzynową i począł dłubać w niej śrubokrętem. Warszawiak spojrzał na niego i zobaczył, że Orsaczek trzyma w ręku zupełnie zużytą pompę, którą sam niegdyś wyrzucił na szmelc. Dłubał w niej śrubokrętem zupełnie bezmyślnie, rzucając przy tym spojrzenia na żonę Zabawy. Siedziała nieruchomo z rękami splecionymi na kolanach. Patrzyła przed siebie bez wyrazu. Podniósł rękę do góry i udając, że odkręca knot, nakierował światło na twarz kobiety. Wtedy zobaczył spływające po niej łzy; przesunął lampę w bok.

Dziewiątka zwrócił się do Warszawiaka:

– Otwarcie?

– Jest.

– Ty, Apostoła?

– Jest.

– Zabawa?

Skinął głową. Wyglądał na bez reszty pochłoniętego grą. Warszawiak patrzył na Zabawę spod przymrużonych powiek, lecz na twarzy jego nie dostrzegł nic poza skupieniem. Dziewiątka podrapał się w podbródek.

– Teraz dopiero – rzekł – przypomniałem sobie, że nieboszczyk był mi winien dwie stówki... – Westchnął z żalem. – Już mi ich nie odda – powiedział – chyba że diabli upomną się o mnie.

Apostoła spojrzał na niego krwawymi oczyma.

– Jaki nieboszczyk?

– Grzegorzewski Stefan. Ty nic o tym nie wiesz, Apostoła? Racja, byłeś przez cały czas pijany. Niech cię cholera weźmie!

– Nie wyrażaj się – zagrmiał Apostoła. Przełożył karty z prawej ręki do lewej i wykonał Spiesznie znak krzyża. – Kiedy się ten złodziej zwał?

– Dwa dni temu. Co ci się śniło przez ten czas?

Apostoła westchnął.

– Wieczne odpoczywanie daj mu Boże – rzekł uroczyście. – Ty, Dziewiątka, trzymaj swoje brudne łapy na stole... – Popatrzył przez chwilę w karty. – Dwa i cztery. Żeby tylko pochowali po chrześcijańsku.

Warszawiak rzucił swoje.

– Odpadam – rzekł. Odchylił się z krzesłem do tyłu i spojrział na kobietę. Siedziała bez ruchu, nie zmieniając pozycji.

– Grasz, Zabawa? – spytał Dziewiątka.

– Cztery i osiem.

Apostoł spojrział na Zabawę.

– Dzisiaj przyjechałeś?

– Tak.

– To twoja żona?

– Uhm.

– Niedobrze – z troską w głosie powiedział Apostoł. – Jak to Pismo Święte mówi? Niewiasta, niewiasta, coś takiego... Jakbym nie pił z tydzień, tobym sobie przypomniał. Po wódce mam głowę jak dziurawe wiadro. Nie mogę sobie przypomnieć, jasna cholera! W każdym razie coś z niewiastą i coś, że źle... Ty nie pamiętasz?

– Nie – powiedział Zabawa.

– On nie wierzy w Boga – wyjaśnił Dziewiątka. – Komunista. Partia go przysłała, żeby nas przytrzymał. Z nim się nie dogadasz, Apostoł.

Apostoł spojrział koso na Zabawę.

– To prawda?

– Osiem i szesnaście – powiedział Zabawa. – Prawda.

– Trzydzieści dwa.

– Jestem i sprawdzam.

– Kareta.

– Jaka?

– Burdel.

– Nie wyrażaj się. Dobry jesteś.

– Boże Narodzenie – powiedział Dziewiątka Sprawnym ruchem zagarnął pieniądze. Znów począł tasować karty; w jego żonglerskich rękach tworzyły kolorową tęczę. Nagle przerwał, pochylił głowę charakterystycznym dla siebie gestem: prawym uchem naprzód. – Cicho – rzekł. – Zdaje się, że ktoś jedzie.

Zabawa wstał. Położył karty na stole.

– Muszę wyjść – powiedział. – To pewnie on.

– Kto? – zapytał Apostoł.

– Ten, co ze mną przyjechał. Jak on się nazywa?... Ten... no... partyzant.

Wyszli przed barak; mroźne powietrze ścięło im gardła. Widzieli już ślizgające się po śniegu reflektory. Za chwilę wóz wtoczył się na podwórko. Kierowca zatrzymał silnik i wyszedł. Był średniego wzrostu, ubrany w porządną nowy kozuch, a obuty – w odróżnieniu od nich wszystkich – w lśniące oficerki.

– Droga była ładna – rzekł. Rozprostował ramiona. – Przywiozłem cztery pełne beczki. Starczy na jakiś czas. Jutro je zwalę.

– Chodź do środka – powiedział Zabawa.

– Chwilę. Tylko się rozpakuję.

Dziewiątka, Zabawa, Apostoł i Orsaczek wrócili do baraku. Na dworze został tylko Warszawiak. Bolała go głowa. Oparł się plecami o wóz i szeroko oddychał. Ten, który przyjechał, wdrapał się na ramę i zdejmował stamtąd jakieś skrzynki. Ogieniek papierosa rozświetlił na chwilę jego młodą, junacką twarz.

– Zgaś papierosa, jak jesteś koło benzyny – zmęczonym głosem powiedział Warszawiak.  
– Chcesz urządzać Boże Narodzenie?

– Boisz się?

– Nie chcę się meldować do nieba przez twojego peta. Widziałem raz takiego, który się bawił benzyną i papierosami. Teraz się zresztą odzwyczaił.

– Dlaczego?

– Bo mu w grobie zapalniczki wilgotnieją.

Tamten zatrzymał się nagle w pół ruchu. Trzymał w ręku jakąś skrzynkę, potem cisnął ją nagle na ziemię.

– Myślisz, że jesteś cwaniak? – zapytał.

Warszawiak podszedł do niego. Brutalnym ruchem wyrwał mu papierosa z ust i rzucił go w śnieg.

– Jesteś gówniarz, rozumiesz? – powiedział. – Widziałem nie takich kierowców jak ty. Strugaj chojraka tam, gdzie trzeba.

– A teraz nie trzeba?

– Teraz pakuj manatki i idź do baraku.

– Jesteś cwaniak, tak? – powiedział tamten. – To teraz patrz!

Pochylił się nad jedną z beczek i odkręcił korek. Szarpnął nią: beczka była napełniona po brzegi i benzyna rozlała się po powierzchni. Zakręcił korek i wytarł koło niego benzynę. Potem przytknął do kałuży papierosa; zaczęła natychmiast płonąć silnym niebieskim płomieniem. On sam stał na szeroko rozstawionych nogach i palił papierosa.

– Jeszcze parę sekund – powiedział Warszawiak – a tamtych wszystkich w baraku szlag trafi. Gaś!

Nie odpowiedział. Stał bez ruchu i patrzył w górę. Na tle rozjaśnionego poświata gwiazd nieba rysowały się ciężko jego ramiona. Blask płonącej benzyny oświetlał nieruchomą, stężałą w wyrazie obojętności twarz.

– Beczka się rozgrzeje – powiedział ochryple Warszawiak. Wrzasnął: – Gaś!

Teraz dopiero odwrócił się ku niemu.

– Wiesz coś o strachu, cwaniak?

Warszawiak skoczył na beczkę i przywarł do niej całym ciałem. Stało się to w chwili, kiedy niebieski płomyk podpełzał już do otworu korka; Warszawiak nakrył go rękawem. Syknęło jego mokre ubranie i po chwili pogrążyli się w ciemności.

Zeskoczyli z wozu.

– Ładnie – powiedział Warszawiak. – Nie zgasiłbyś?

– Nie.

– Śmierć z frajerstwa?

– Po co mówiłeś o strachu? – powiedział tamten. Uśmiechnął się nieznacznie; uśmiech nadawał jego młodej twarzy wyraz pyszałka. – Co ty wiesz o strachu, cwaniak? Przez całą wojnę byłem w lesie i nic o tym nie wiedziałem, a ty mi teraz mówisz o strachu? Człowieku, popatrz!

Rozpiął kozuch, potem koszulę i obnażył smagłą pierś. Warszawiak spojrzął: niewyraźnie białe wielkie poprzeczne blizny. Zapiął się.

– Gdzie byłeś?

– Kieleccyzna, Kampinos, gdzie chcesz.

Przysiedli na zderzaku. Obok stał wóz Dziewiątki. Czaszka była już umocowana bolcem na wachlarzu i szczyrzyła do nich białe zęby. Warszawiak wzdrygnął się.

– Co cię tu przyniosło? – zapytał. Starał się patrzeć w zupełnie inną stronę, lecz czuł na plecach ślepe spojrzenie oczodołów.

– Co za życie, tam, w mieście? Rano idziesz do roboty, a potem co? Możesz łązić jak głupi z rękami w kieszeniach. Forsy mało, nic się nie dzieje, zebrania, pogadanki. Wszystko,

co masz, to woda i dziwki. Dzwki kłamią, a od wody łeb boli. Lubię czuć, że żyję naprawdę. Złożyłem podanie o przyjęcie do szkoły lotniczej. Myślę sobie: jak się coś zacznie, to przynajmniej się odkuję z góry. Będę tłukł tak jak oni w tej wojnie nas. Odmówili. Niedobra przeszłość: za dobrze walczyłem. Chciałem do marynarki, to samo. Mówili coś o ochotnikach na Koreę, ale to bujda. Przyjechałem tutaj. Kiedy mnie przyjmowali tam, w centrali, mówili, że tu trzeba być odważnym. – Zaśmiał się. – Przypomnę sobie stare dzieje.

– Zarobić nie można – powiedział Warszawiak. – Wozy się rozlatują, strach na nich jeździć. Chcemy stąd jutro wiać... – Zaciął się nagle i urwał.

Tamten wzruszył ramionami.

– Jak chcesz – powiedział. – Ja zostaję. W mieście jest jeszcze bardziej nudno. Dzwki się nudzą, konie się nudzą, starzy się nudzą, żołnierze się nudzą. Zdechnąć można i człowiek nie wie nawet dlaczego. Do cholery z takim życiem! Wolę góry. Tu jest coś naprawdę. Bez gadania i pucu... – Wstał. – Chodźmy do środka; zimno.

Warszawiak przytrzymał go za rękę.

– Sekundę – powiedział. – Kto to jest ten, który przyjechał z żoną?

– Ona ci się podoba?

Żachnął się.

– Nie widziałem jej nawet. Chodzi o faceta.

– Jest ładna – powiedział tamten w zamyśleniu. – A on? Był kiedyś sekretarzem w bazie centralnej. Przysłali go tutaj, żeby was zaagitował czy diabli wiedzą co. Są straszne awantury o drzewo, ciągle go za mało. Budowy stoją całymi tygodniami. Nic o nim nie wiem. Bardzo dobrze jeździ, to fakt... – Spojrzał nagle w twarz Warszawiaka i wzdrygnął się. – Co ci jest, do ciężkiej cholery?

– Nic – powiedział Warszawiak. Otarł czoło rękawem. – Chodźmy.

Weszli do izby. W ciemnej norze zrobiło się gorąco; rura piecyka rozgrzana była do czerwoności. Wszyscy, prócz Orsaczka i żony Zabawy, siedzieli przy stole. Nad ich głowami wisiał gęsty dym z papierosów. Przed rozpartym niedbale Dziewiątką rósł stos banknotów. Kiedy weszli, spojrzeli na nich krótko.

– Siadajcie, dzieci – powiedział dobrotliwie.

Usiedli obaj. Partyzant, nim położył łokcie na stole, zdmuchnął zeń okruszyny i wytarł chustką. W oczach Warszawiaka zapaliła się drwina.

– Znowu jest nas o jednego za dużo – powiedział Dziewiątko. Uderzył o stół talią, – W pięciu to już nie poker, dzieci. Poker jest ostrą grą, mówię wam. To jest właśnie gra dla mężczyzn i tylko ten może wygrać, kto się nie boi, gra ostro, blefuje, a kiedy trzeba, potrafi mądrze oszukać. Ludzie robili na pokerze fortuny, ale i przeryniali wszystko do ostatnich łachów. Szkoda, że jutro się rozstajemy, bo mielibyśmy jeszcze niejedną ciekawą rundkę.

– Musicie zostać – powiedział Zabawa. Uniósł głowę i przez długą chwilę patrzył na nich z napięciem. Wyglądał na bardzo zmęczonego. – Musicie zostać – powtórzył. – Czy nie rozumiecie? Tam na to drzewo wszyscy czekają. Wolałbym zdechnąć, niż wrócić do miasta z gołymi rękami. Musicie to zrozumieć.

– Rozumiemy to – powiedział Dziewiątko. – Rozumiemy to tak dobrze, że jutro o tej porze będziemy już w mieście. Nie trać czasu na gadanie, Zabawa Sprzedaję. Ile ci dać?

– Dwie.

– Podpierasz się, a to niedobrze. Znałem kiedyś jednego faceta, on naprawdę rozumiał pokera. Kiedy nie miał dobrej karty, wyciągał pistolet. Cóż z tego, kiedy już dawno wzięła go cholera.

– Nie wyrażaj się – powiedział Apostoł. – Daj mi kartę.

Zabawa pochylił się ku Dziewiątko.

– Myślisz, że to dobry system?

– Osiem – odpowiedział Dziewiątka. Spojrzał na Zabawę z roztargnieniem. – Co mówisz, dziecko?

– Czy myślisz, że to dobry system? – powtórzył pytanie Zabawa.

– Co?

– Pistolet.

Dziewiątka wzruszył ramionami i wyduł swoje grube wargi. Wykonał pełen wyrazu ruch ręką.

– Mówimy o pokerze – rzekł. – To ostra gra Można wiele wygrać, ale i wszystko przetrząść. Z chwilą kiedy mężczyzna rozpoczyna grę, powinien wiedzieć, co go czeka Człowiek zawsze powinien być sobą i grać tak, jak potrafi. Inaczej, byle pętał będzie go bił w...

– Nie wyrażaj się! – pospiesznie wtrącił Apostoł.

– Chciałem powiedzieć: w skórę – powiedział z wyższością Dziewiątka. Rzucił karty na stół. – Widzę przecież, że między nami jest kobieta...

Wstał i podszedł do niej. Wszyscy patrzyli za nim i teraz dopiero spostrzegli, że zasnęła na krześle, opierając głowę na ramieniu ptasim ruchem. Włosy ciemnym skrzydełkiem opadły jej na policzek. Twarz jej była zaróżowiona. Dziewiątka pochylił się nad nią i westchnął.

– Biedna mała – rzeki po chwili. Wyprostował się i zmiął ze złością papierosa. – Czy to jest miejsce dla niej? Tu święta Agata stałaby się prostytutką, gdyby tylko mogła.

– Nie wyrażaj się, stary skurwysynu! – powiedział Apostoł.

## On i ona

Leżał bez ruchu. Poprzez ciemność starał się dostrzec jakiś punkt na suficie, którym mógłby zająć wzrok i wyobraźnię, aby w ten sposób ustrzec się od snu; rozwierał powieki aż do bólu żrenic; był zmęczony i wyczerpany, dławiło go pragnienie snu i świadomość, że sen jest blisko, niby ciepły i miękki worek, w który można zapaść. Obok, z głową na jego ramieniu, spała żona. Oddychała równo i głęboko; spokój jej odpoczynku budził w nim chwilami nienawiść. Nie spał już od wielu nocy i jedyne, czego pragnął w tej chwili, to ciemności bez marzeń i widziadeł. Bronił się przed tym ze wszystkich sił. Kiedy ogarnęło go głębokie przekonanie, że wszyscy obecni w izbie śpią, poruszył delikatnie ramieniem żony.

– Wanda – szepnął. – Wanda...

Po chwili dostrzegł błysk jej oczu.

– Wstań po cichu – rzekł. – Pamiętaj, żebyś nikogo nie obudziła Rozumiesz? Musisz być zupełnie cicho. Ubieraj się i wyjdź na dwór. Ja zaraz przyjdę.

Przesunęła się po nim i przez chwilę ogarnęło go pragnienie, aby nie myśląc o niczym, przygarnąć ją do siebie. Zamknął oczy i przycisnął się do ściany. Ubierała się szybko; księżyc tkwił w środku okna i kiedy zbudzony szelestem Warszawiak otworzył oczy, zobaczył tuż przy sobie jej nogi: długie i białe w dziwnym świetle. Serce podeszło mu pod gardło i oddychał szybko. Kobieta potrząsnęła włosami i jednym ruchem zebrała je w gruby węzeł; były teraz srebrne i kiedy przesłoniła je na chwilę wkładaną przez głowę sukienką, odczuł żal. Gwałtownie odwrócił się na drugi bok i zamknął oczy, lecz sen już uciekł na dobre. W ciemnościach, pod powiekami kołysała się srebrna jej głowa.

Zabawa zapytał szeptem:

– Już?

– Tak.

– Wychodź na dwór i czekaj na mnie.

– Co ty...

– Wychodź!

Skrzypnęły drzwi; chwilę mocowała się z wiatrem, potem zamknęła je i została sama w rozświetlonej bieli. Niebo było jasne, lecz zdziwiła się, spostrzegłszy, że cień jej jest fioletowy. Nabrała w obie dłonie śniegu, natarła sobie nimi twarz i ręce. Przez chwilę zdrętwiała i wydało jej się, iż w ciało jej wchodzi tysiące maleńkich igieł, lecz po chwili uczuła gorąco. Weszła do jednego z samochodów i przykucnęła na siedzeniu. Teraz już Warszawiak, który leżał przy oknie, stracił ją z oczu. Patrzył, jak z izby wychodzi Zabawa, idzie ku niej i wchodzi do tego samochodu co ona. Roześmiał się ochryple:

– Kurwa – powiedział w mrok.

Nakrył się kożuchem, lecz poza ciemnością, zmęczeniem i wszystkimi plugawymi myślami widział jej srebrną głowę i gest, jakim zgarniała włosy. Walczył ze sobą przez długą chwilę, lecz było mu coraz bardziej gorąco i nieznośnie; zaraz potem odczuł ulgę, pomyślał z pogardą o sobie i o niej; usnął wreszcie przygnieciony snem.

Zabawa wszedł do wozu, gdzie na siedzeniu leżała Wanda. Myślał, że śpi; pochylił się nad nią, a wtedy przygarnęła go do siebie. Z trudem oderwał się od niej.

– Chodź – powiedział. – Pomożesz mi.

– Co ty chcesz zrobić?

– Pomożesz mi – powiedział. – Zasłonisz sobą światło tak, żeby oni tego nie dostrzegli. Musisz być cicho, zupełnie cicho, rozumiesz?

Wyskoczył. Otworzył maskę pierwszego z brzegu samochodu i pochylił się nad silnikiem. Cicho powyciągał z kieszeni narzędzia i pracował nimi jak chirurg: bez jednego zbędnego ruchu. Żył nabrzmiały mu na czole, kiedy mocował się z opornymi mutrami. Klucze mroziły ręce tak, jakby w nich zawarte było wszelkie zimno świata.

– Chcę stąd wyjechać – powiedziała Wanda. – Słyszysz?

Nie odpowiedział. Skończył pracę, wyjął jakąś odmontowaną część i zamknął maskę. Przeszedł do innego samochodu; idąc, stapał na palcach, lecz zdawało mu się, że cichy skrzyp jego butów szumi w dolinie. Otworzył maskę.

– Chcę stąd wyjechać – powiedziała. – Kiedy wyjeżdżałam z Francji, mówiłeś mi, że tutaj będzie inaczej. To jest twoja Polska? Ta nora, ci ludzie? Byłam przez chwilę sama na dworze i słyszałam wilki. Chcę żyć z ludźmi. Czy po to wyszłam za męża za ciebie, aby żyć między wilkami?

– Podaj mi śrubokręt – rzekł. – Leży na siedzeniu w tamtym wozie. Szybko!

Przyniosła po chwili.

– Zabierz mnie stąd – powiedziała. – Zabierz mnie stąd i wracajmy do miasta. Będziemy żyć spokojnie. To są niedobrzy ludzie.

Podniósł głowę.

– Ale dobrze jeżdżą – powiedział. Uśmiechnął się wstrętnie. – Zwłaszcza jeden. Podaj bliżej światło.

– Nie kochasz mnie?

– Klucz francuski. Leży na ziemi.

– Czy długo chcesz tu zostać?

– Dopóki nie zwiozę drzewa.

– Dużo tego drzewa trzeba?

– Bardzo dużo.

– Dlaczego akurat ty musisz to robić?

– Jedni robią to, a drudzy tamto. Ja jestem od drzewa.

– Drzewo jest ważniejsze ode mnie?

– Ważny jest obowiązek.

– A ja?

– Co?

– Nie masz obowiązku wobec mnie?

– Taki sam jak i ty wobec mnie. Musisz zostać ze mną.

Milczała przez chwilę. Potem ujęła nagle jego rękę i pocałowała ją.

– Jedźmy stąd – szepnęła.

Wyszarpnął rękę.

– Uważaj! – powiedział. – Benzyna. Porobią ci się pęcherze na ustach.

Odsunęła się od niego. Znów usłyszała wilki. Były wszędzie; w granatowych lasach, w wąwozach, przemykały drogami i po polach, zostawiając na białych płaszczyznach ślady wstrętnych łap. Podniosła głowę; przeraźliwie biały i monotony świat milczał przykryty kloszem szklanego nieba. Jedyne, co żyło teraz w tym pustkowiu, co było ciepłe i żywe, to tylko wilki; ich oczy, ich oddechy i szybki bieg ich kosmatych łap. Zatrzęsa się, nagle ogarnięta wstrętem i przerażeniem.

– Jeśli ty zostaniesz, to ja wyjadę – rzekła.

– Zostaniesz ze mną.

– Dokąd?

– Do końca.



Znów przeszli do następnego wozu. Drętwiała z zimna; oparła się ręką o coś, co było białe i kuliste. Nagle palec jej zabłądził do jakiegoś otworu; spojrzała i odskoczyła. Była to przymocowana do błotnika czaszka.

– Wyjadę stąd – powiedziała z rozpaczą. – Nie chcę wyglądać jak to.

– Jesteś sama – powiedział, nie unosząc głowy. – Jesteś sama i nie masz w Polsce nikogo poza mną.

– Nienawidzę cię!

– Młotek. I światło, światło niżej, do cholery. Oni nie mogą zobaczyć.

– Co ty właściwie robisz?

Zamknął maskę i zeskoczył.

– Jeszcze jeden wóz i koniec – powiedział. – Jutro będzie gorący dzień.

– Jutro wracam do miasta – powiedziała.

– Co będziesz robić?

Oświetliła latarką swoją twarz. Uśmiechnęła się.

– Wszystko – powiedziała. – Wszystko. Wolę wyjść na ulicę, niż zdychać w tej białej ciszy. Chodź do wozu, ty bydlę! Prześpimy się ostatni raz.

Zamachnął się krótko i uderzył ją w twarz. Latarka wypadła z jej rąk. Stał naprzeciw: wysoki, dyszący szybko, z ciemną twarzą. W jego oczach drżały zimne gwiazdy.

– To koniec – powiedziała. Przysunęła się bliżej niego. – Wiem, co zrobiłeś. Chcesz ich zatrzymać. Nie uda ci się.

Nabrała w płuca powietrzem aby krzyknąć z całych sił. Wtedy na szyi poczuła jego pałce. Ścisnął coraz mocniej i krew szumiała jej w uszach; potem biel wokół niej, bez początku i końca stała się nagle krwią i szumem, który zagłuszył wszystko; odgłosy i ból uderzeń. Kiedy ocknęła się, zobaczyła go stojącego nad sobą. Był ogromny i wydało jej się, że cieniem swym sięga gwiazd.

– Weź latarkę – powiedział. – Świeć nisko i uważnie. I bądź cicho, stałaś się ostatnio nerwowa... – Zatoczył ręką. – Cisza i pustka zrobią ci dobrze – powiedział.

Podniosła się i oblizała słone wargi. Przeszli do następnego samochodu. Nie mówili do siebie nic; w dławiącą ciszę wdzierał się od czasu do czasu głos wilków.

## Rewolwer

Pierwszy wstał Orsaczek. Wciągnął pośpiesznie spodnie i buty, wziął z kąta obtłuczoną miednicę i wyszedł na dwór. Oślepiiony roziskrzoną bielą zmrużył oczy i stał chwilę bez ruchu, wdychając pełną piersią ostre powietrze. Bliskie szczyty dymiły w jasnym słońcu, a lasy były teraz ledwo niebieskie, pełne prześwitów.

– Cholera! – powiedział głośno Orsaczek. Pochylił się, ulepił potężną pigułę i rąbnął nią w drzewo; rozsypała się pięknie i sucho jak kryształ. Nabrał pełną miskę śniegu i wrócił do izby. Wrzucił kilka polanek do piecyka i oblał je naftą; ogień momentalnie zaśpiewał.

Dziewiątka wysunął spod kożucha rozkudłaną głowę. Twarz miał napuchłą od snu, a oczy zamglone. Przez chwilę obserwował krzątającego się rażno Orsaczka.

– Czego mnie budzisz, do cholery? – powiedział w końcu. – Na mszę się śpieszysz, idioto?

– Chcę się umyć. Takie dziwne czy co?

Dziewiątka ziewnął rozpaczliwie.

– Dlaczego akurat dzisiaj? Tyle czasu chodziłeś z brudną szyją i też było dobrze.

Orsaczek milczał zakłopotany, potem rzekł z nagłą radością:

– Przecież dzisiaj kończymy, nie?

Dziewiątka rozpromienił się. Zatopił obie dłonie w swoje kudły i przez chwilę czochrał się z rozkoszą.

– Racja, dzisiaj zmartwychwstanie...

– Co?

– Już teraz nie powtórzę, język mi się łamie... Ale znaczy, że wypieprzamy stąd, do jasnej cholery.

Wyciągnął spod kożucha kosmate nogi i przypatrywał się im ze skupieniem. Całe łydki pokryte miał tatuażami: kobiety, jaszczury i kotwice. Orsaczek zagapił się także i w pewnej chwili spojrzenia ich spotkały się.

– Ładne – powiedział Orsaczek. – Do głowy by mi nie przyszło, że można z własnymi pieszczelami robić takie cuda.

Dziewiątka wzruszył ramionami.

– To jeszcze nic, dziecko – rzekł. Uśmiechnął się lekceważąco, potem powiedział: – Na samym szpicu patafiana mam napis: Ola.

– Nie wygłupiaj się – z podziwem rzekł Orsaczek.

– Nie wierzysz?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– Patrz!

Jak z procy wyskoczył na środek izby i począł odwiązywać tasiemki skomplikowanych kalesonów. Warszawiak uniósł się nagle na łóżku.

– Stulcie mordy!

Dziewiątka odwrócił się ku niemu.

– Co jest?

Spotkał wtedy wzrok leżącej z Zabawą kobiety i wskoczył natychmiast do łóżka.

– Wybacz, dziecino – powiedział miękko. – Odzwyczajiliśmy się wszyscy od kobiet. Czasami się tylko śnią, ale także obrzydliwie... – Uniósł się na łokciu i zapytał: – Jak ci na imię?

Po chwili wahania rzekła:

– Wanda.

Cmoknął.

– Ładnie – powiedział – ale nie wiem, czyby się zmieściło. Pięć liter, to jednak nie to, co trzy... – Westchnął. – Mój Boże – powiedział – zanim przyjechałem tutaj, mogłem sobie wytatuować: Hermenegilda. To góry zrobiły ze mnie pajaka.

– Bóg cię ukarze, ty bydlaku! – odezwał się Apostoł. Siedział na pryczy i czochrał palcami swój ogromny łeb. Ziewnął potężnie i przeciągnął się. – W nocy było diabelnie zimno – powiedział. – Myślałem, że skonam.

– Co wy wiecie o zimnie, do diabła! – szorstko powiedział Partyzant. Był już ubrany: miał na sobie czystą koszulę, czarny sweter i zaprasowane w kant bryczesy, które w nocy trzymał pod prześcieradłem. Siedział na pryczy i czyścił z zapałem swoje wspaniałe oficerskie buty. – Tu macie chociaż kawałek chaty, a jakby wam przyszło spać w lesie przez całą zimę, to co wtedy?

– No, no, ty, Partyzant – powiedział Dziewiątka. Wykrzywił swoją ciemną gębę. – Posiedzisz tutaj trochę dłużej, to ci jeszcze niejedyn raz woda w głowie zamarznie.

Tamten przerwał czyszczenie.

– Co zamarznie?

– Woda we łbie.

– Woda?

– A bo co?

– Gównno.

– Stulcie mordy – powiedział Warszawiak. – Porozmawiacie sobie na dworze.

– Bóg was skarzę – powiedział Apostoł. Trzymaną w rękę książeczką do nabożeństwa trzasnęła Orsaczka w plecy. – Nie wypinaj mi dupy przed twarzą, kiedy się modłę.

Orsaczek rozstawił sobie na stole lusterko i zaczął się golić. Wydymał okrągłe policzki, odciągał sobie skórę, lecz tępa brzytwa z trudnością pokonywała kilkuniedniowy zarost i zacinał się raz po raz. Dziewiątka przez jakiś czas obserwował w milczeniu jego działalność, potem rzekł marzycielsko:

– Ileż to czasu nie byłem porządnie ogolony, Chryste Panie... – Przeciągnął ręką po twarzy. – Ogolić się u jakiegoś parszywego fryzjera – powiedział – ostrzyc łeb, dziewczynkę pod pachę i na spacer. Najpierw do kina, potem do knajpy, potem do parku, potem...

– Gdzie mieszkałeś przed wojną, Dziewiątka? – przerwał mu nagle Warszawiak.

– Mówiłem ci już chyba ze sto razy: we Lwowie. Potem za rączkę, potem...

– Ładne miasto, Lwów?

– Myślisz, że tylko twoja Warszawa jest ładna?

– Była ładna – powiedział Partyzant Wstał. Buty jego lśniły jak dwa czarne słońca. Przeszedł parę kroków po izbie i z lubością wsłuchiwał się w ich skrzyp. Potem przystanął obok Warszawiaka. – Niewiele zostało z twojego miasta – powiedział. – Przedzieraliśmy się tam podczas powstania, ale nic z tego nie wyszło. Łupnęli mnie wtedy w nogę.

Dziewiątka założył ręce pod głowę. Na twarzy jego odbiło się zniechęcenie.

– Wojna skończyła się pięć lat temu – powiedział – a ludzie wciąż jeszcze o tym gadają. Jak było wtedy, jak było tam, mnie łupnęli w tyłek, temu oberwało łeb... Nie macie o czym innym gadać?

– O czym gadać, do cholery?

– Trzeba żyć, kochani – powiedział Dziewiątka. – Trzeba żyć i cieszyć się, i płakać, i przeklinać, i diabli jeszcze wiedzą, co robić, ale nie wolno wspominać. Jesteście młodzi. Tak jak śpiewa Orsaczek... jak to tam idzie, no?

– Skończę się golić – powiedział półgłosem Orsaczek.

– Nie, zaśpiewaj teraz.

Orsaczek odłożył brzytwę; połowę twarzy miał ogoloną. Wyciągnął spod łóżka harmonię i przepasał się. Potem przytknął oczy i zaśpiewał:

*Harmonia z cicha na trzy czwarte rżnie.  
Ferajna tańczy, ja nie tańczę.  
Z szaconkiem, bo się może skończyć źle,  
Kiedy w lokalu bawimy się.*

– Dalej – powiedział Dziewiątka.

Zaśpiewali razem:

*Bez jedzenia i bez spania.  
Ale było za co pić.  
Antoś na harmonii z cicha zaiwania,  
Trzeba tańczyć, trzeba żyć.*

– Dalej!

*We mgle już latarnie świecą.  
Z cicha gwizdże nocny stróż.  
A pod szubienicą, tam daleko, na Antosia,  
Kat Maciejewski czeka już...*

Orsaczek skończył i zdjął harmonię. Dziewiątka powiedział:

– Tak się kiedyś żyło, dzieci. Tak się żyło i nie wiadomo było, co z życiem robić... – Westchnął, potem zwrócił się do Warszawiaka:

– Chodź, synu. Pójdziemy się...

– Uważać! – powiedział groźnie Apostoł.

– ...przejsć po śniegu – powiedział Dziewiątka.

Wyszli. Śnieg skrzypiał jak kalafonia; przez noc napadało go tyle, że koła stojących wozów przysypane były do piast. Warszawiak przystanął nagle.

– Co się stało? – powiedział. Wskazał ręką na wozy. – Zobacz: wygląda tak, jakby na jeden wóz napadało więcej, a na drugi mniej.

Dziewiątka popatrzył.

– Może ci się zdaje – powiedział niepewnie. – Cudów przecież nie ma... Ustawione były bokiem, a w nocy wiatr mógł tańczyć oberka.

Warszawiak chciał podejść, lecz Dziewiątka przytrzymał go za ramię. Zmrużył oko.

– Przyjrzałeś jej się dobrze?

– Komu?

– Żonie tego idioty... tej Wandzie, no!

Wzruszył ramionami.

– Niech się jej mąż przygląda – powiedział. – Bo co?

Dziewiątka sapnął.

– Widziałeś, jakie ma podkrążone oczy? – powiedział z żalością w głosie. – Wygląda, jakby ją byk posunął.

Warszawiak strącił jego rękę z ramienia.

– Odczep się.

Rozpiął ze wściekłością rozporek. Mocz parował; słońce wisało nisko nad obrośniętymi szczytami i widzieli teraz nowe ślady wilczych łap ciągnące się krętymi pasmami wzdłuż doliny. Wszystko, co otaczało ich teraz – niebo, góry i płynące jakby w swym ciągłym szumie lasy – było jasne i ostre jak na rysunkach dzieci.

– Przeklęty, biały świat – powiedział Dziewiątka. Podciągnął za szerokie na jego szczupłe biodra spodnie. Zapalił papierosa, a płomyczek zapalki trzeszczał wesoło na mrozie. – Czasem przestają już wierzyć – powiedział – że gdzieś na świecie są prawdziwe domy, miasta, dziwy, sklepy, kościoły... – Szarpnął ku sobie Warszawiaka. – Człowieku – powiedział gorąco – ty rozumiesz; przecież nawet gdybyś tu narozrabiał, nie byłoby tu ani jednego gliniarza, żeby cię wziął za pysk i zaprowadził na dechy. Kiedy o tym spokojnie pomyślę, szłał mnie ogarnia.

– Tęsknisz za kratkami?

Dziewiątka popatrzył na niego ze smutkiem.

– Nie urodziłem się dla kochanej wolności – powiedział. – Na wolności co i raz dostaję chrypy, a w pudle przez dziesięć lat nie kichnąłem nawet.

– Co będziemy robić? – zapytał po chwili Warszawiak. Wyciągnął do słońca twarz i wietrzył swoim długim nosem. – Myślisz, że będzie nam lepiej?

– Gdzie?

– Sam nie wiem gdzie.

– W mieście?

– Tak.

– Wszystko – powiedział Dziewiątka. Gapił się na spacerującą po śniegu wronę; zadarkwszy ogon, podskakiwała na swoich wstrętnych łapach. – Wszystko, co chcesz, synku, aby tylko wyrwać się z tej pustki. Tu za dużo czasu na myślenie, a to się dla człowieka zawsze źle kończy.

– Dziewiątka! – odezwał się Warszawiak.

– No?

– A może te wozy przyjdą niedługo?

Dziewiątka spojrzał na niego szybko.

– Wierzysz w cuda? Dotychczas był tylko jeden.

– Jaki?

– Pewien pop otworzył parasol w tyłku swojej małżonki. Ale po rewolucji go i tak rozstrzelano. Chodź, synu...

Orsaczek skończył się już golić. Wytaił twarz ręcznikiem, starannie wypłukał brzytwę i pędzel, potem pochylił się nad swoim kuferkiem. Grzebał w nim dłuższą chwilę, potem wyciągnął buteleczkę wody kolońskiej. Pogwizdując, odkręcił korek i pochylił ją ku dłoni. Nagle na twarzy jego odmalowała się wściekłość.

– Co jest z moją wodą? – wrzasnął.

– Stało się coś? – zapytał Dziewiątka.

Orsaczekowi oczy nabiegły krwią.

– Jak to, co się stało! – Trzasnął pięścią w stół. – Miałem pełen flakon wody kolońskiej, a... a...

– Nie pokazywałeś jej nigdy – stwierdził Dziewiątka.

– Co się miałem perfumować do tych samochodów? Żenić się z nimi będę?

Warszawiak spojrzał na niego.

– Dzisiaj się żenisz?

Orsaczek umilkł nagle. Ściskając w dłoni pusty flakon, rozglądał się z wściekłością po wszystkich. Potem jednym susem dopadł do Apostoła.

– Ty wychlałeś! – powiedział. – Kiedy przedwczoraj byłeś pijany i tak dziwnie od ciebie jechało, to mówiłeś, że doprawiłeś wódkę domowym sokiem. Pokaż teraz ten sok.

Apostoł dźwignął się z pryczy. Twarz jego wyrażała święte oburzenie. Chwytał ogromną dłoń kark Orsaczka i potrząsał nim jak szczeniakiem.

– Lekkomysłny młodzianku – powiedział – wypilem twoją wodę, aby cię uchronić od pokus piekielnych... – Trząsał nim i mówił: – Komu się chciałeś podobać? Nam? Chciałeś pojechać do miasta, aby tam oddać się brudnej rozpuście. Mógłbym mieć takiego syna jak ty. Precz!

Orsaczek pod jego potężną dłońią załamał się nagle. Stał ogłupiały i rozcierał kark.

– Zresztą – powiedział Apostoł – woda twoja była obrzydliwa, myślałem, że mi łeb pęknie na drugi dzień. Nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą, Grzegorzewski używał o wiele lepszej. Po jego perfumach czułem się jak ptaszę.

– Czy moglibyście wyjść? – zapytał Zabawa. Był już ubrany, lecz żona jego wciąż jeszcze leżała w łóżku przykryta po samą szyję. Wskazał na nią ręką. – Chciałaby się ubrać – rzeki.

Wyszli wszyscy kolejno. Na dworze Partyzant powiedział do Apostoła:

– Gdybyś to zrobił w lesie, chłopcy załatwiliby się z tobą inaczej.

– Co?

– Gdybyś komuś coś rąbnął.

– To co? – zapytał Apostoł. Spojrzał na Partyzanta swymi wiecznie przekrwionymi oczami i roześmiał się nagle. – Idź do diabła, szczeniaku! – powiedział.

– Jak?

– Idź do diabła, szczeniaku, mówię.

– Tylko nie szczeniaku, ty stare próchno!

Apostoł natarł na Partyzanta swoim potężnym brzuchem i przycisnął go do ściany. Złapał jedną ręką kant ściany, drugą klamkę i przyciskał Partyzanta coraz mocniej. Tamtemu oczy wyszły z orbit Poczzerwieniał; obłożony wielkim ciałem tamtego, nie mógł złapać tchu ani wykonać najmniejszego ruchu.

– Puść – jęknął.

– Za to, co powiedziałaś, postawisz ćwiartkę – rzekł Apostoł. Wszyscy stali z boku i widzieli, jak na czole Partyzanta nabrzmiewa czerwona żyła.

– Puść...

– Litr.

– Puść.

Rzęził, a twarz jego z krwawej stała się fioletowa Apostoł powiedział:

– Półtora litra.

– Tak.

Zwolnił nieco uścisk.

– Słowo?

– Tak... słowo honoru...

Apostoł odszedł. Partyzant zatoczył się i usiadł na śniegu. Patrzył przed siebie błędnymi oczami, jakby nie rozumiejąc nic z tego, co zaszło. Dziewiątka pokiwał głową.

– Kiedy byłeś w lesie – powiedział – nie miałeś widocznie do czynienia z czołgami.

Partyzant wstał z trudem. Począł otrzepywać śnieg z bryczesów. Potem uniósł wciąż jeszcze nabrzmiałą od krwi twarz.

– Skurwysyny – powiedział cicho. – Wy skurwysyny!

– Milcz! – groźnie ryknął Apostoł i Partyzant umilkł, spojrzał na niego z nienawiścią i odszedł. – Dziwak – powiedział Apostoł i pokręcił głową. Westchnął, potem dodał z żalem: – Gdybym go jeszcze trochę przytrzymał, wycisnąłbym z niego całą skrzynkę. Człowieka gubi słabość... – Machnął ręką. – Chodźcie, chłopcy – rzekł. Wskazał na samochody. – Będziemy zapalać te zasrane trumny świętego Rocha.

Odeszli. Zabawa odwrócił się od okna. Milczał chwilę, trąc o spodnie spotniałe nagle dłonie, potem powiedział do żony:

– Zamknij się teraz i nie otwieraj nikomu, dopóki ja nie przyjdę.

Milczała.

– Słyszysz?

Siedziała nieporuszona, nawet kiedy powtórzył pytanie po raz trzeci, a twarz jej miała taki wyraz, jakby nie docierał do niej żaden głos.

– Musiałem tak zrobić – powiedział. – Oni muszą zostać. Musiałem ich zatrzymać za wszelką cenę. Ty wiesz, że musiałem tak zrobić. Czy chcesz, żeby tamci mnie uważali za szmatę, której nie można powierzyć żadnego zadania?

Milczała w dalszym ciągu i ani jednym drgnięciem oka nie potwierdziła jego obecności. Zbrakło mu nagle sił i oparł się ciężko o stół, dotykając swym ciałem jej ramienia. Odsunęła się. Patrzył spod przymkniętych powiek, jak błyszczą grzebienie w jej ręku. Pochyliła głowę do przodu i włosy rozsypały się po ramieniu, zakrywając połowę twarzy. Na jej karku zobaczył ślady własnych dłoni. Wyprostował się powoli.

– Musiałem – powiedział bezbarwnym głosem.

Wyszedł na osłabłych nagle nogach i dopiero cios, jaki otrzymał w głowę tuż za drzwiami, ocucił go brutalnie, przywracając ciału jego moc. Schylił się; złapał napastnika wpół i rzucił nim w śnieg, pod nogi tamtym. Orsaczek podniósł się i otarł krew z warg; on pierwszy rzucił się na Zabawę. Stali naprzeciw niego: pięciu z rękami w kieszeniach. Oparł się o ścianę baraku.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Dziewiątka.

– Musicie zostać – powiedział. – Musicie zostać tutaj i wozić drzewo, dopóki nie przyjdą nowe wozy.

– Rozmontowałeś gaźniki – powiedział Warszawiak. Teraz dopiero Zabawa zobaczył, że nie trzymają oni rąk w kieszeniach, jak wydawało mu się w pierwszej chwili, lecz skryte za plecami. Kiedy poruszyli się, ujrzał, że w rękach mają korby, i błysk stali raził jego oczy. – Rozmontowałeś wszystkie gaźniki – powiedział Warszawiak. – W drobny mączek. Żeby uruchomić wozy do jazdy, trzeba paru dni. Chcesz nas zatrzymać w ten sposób?

Zabawa milczał. Po chwili rzekł:

– Zatrzymam was w każdy sposób.

Oderwał się od ściany i szedł tyłem do samochodów, gdyż tamci poczęli wolno zbliżać się ku niemu. Przez całe podwórko szli w milczeniu, śledząc wzajemnie najmniejsze swoje poruszenia; potem oparł się plecami o swój wóz. Kiedy byli już o pięć kroków przed nim, sięgnął do kieszeni.

– Stać! – powiedział cicho. Wymierzył rewolwer prosto w serce Dziewiątki i tamten wzdrygnął się nagle, spojrzawszy w czarne, ślepe oczko.

– To nic nie pomoże – powiedział. Roześmiał się ochryple. – Pojedziemy wszyscy na twoim wozie. Wrócimy do miasta, a ty baw się sam tutaj z tymi trupami.

– Zostaniecie.

– Twój trup zostanie.

– Razem z twoim.

– Jesteś silny, bo masz spluwę w łapie.

– Zgadłeś pan.

– Nie zostaniemy tutaj.

– I owszem.

– Żywi nie.

– Trudno – wskazał lufą białą dolinę. – To bardzo przyjemne miejsce na cmentarz – powiedział.

Dziewiątka postąpił krok do przodu.

– Wszystkich nie rąbniesz – powiedział przez zdławione gardło. – Nie starczy ci pestek.

Popatrzyli sobie w oczy i wzajemnie widzieli, jak coraz mniejsze stają się ich źrenice. W ciszy słyszeli tylko własne urywane oddechy. Jakiś ptak z wrzaskiem przeleciał nad ich głowami. Potem Zabawa podniósł rewolwer do góry; strzelał aż do chwili, kiedy stuknął pusty bęben: pięć grzmotów przewaliło się doliną i kiedy przebrzmiał już huk, który odbił się od nieba i który powtórzyła zastygła w zimnej ciszy dolina, Zabawa położył rewolwer na błotniku.

– Dokładnie pięć – powiedział. Uśmiechnął się krzywo i postąpił do przodu. Pchnął palcem pierś Dziewiątki. – Starczyłoby dla wszystkich. Dla ciebie nawet dwie, bo on – wskazał na Partyzanta – i tak by przecież został.

Odwrócił się i odszedł. Szedł bardzo wolno, patrząc na swój cień; czekał chwili, aż splecie się nagle z innym, i nie mógł przemóc się, aby nie kulić głowy w ramiona. Stali jednak w miejscu i nikt nie ruszył się za nim. Zapadła cisza przerywana tylko natrętnym skrzypieniem jego kroków. Potem ktoś roześmiał się szyderczo i Zabawa poznał głos Partyzanta.

– Tchórze! Przecież wszystkich rzeczywiście by nie zdążył...

Teraz dopiero uczuł zmęczenie; z trudem dowlókł się do baraku.

Wanda siedziała przed lusterkim i grzebień w jej dłoni tak samo błyszczał jak przed kilkoma minutami. Kiedy wszedł, nie uniosła głowy.



## Daleko jest miasto

– Takiego bydlaka nie spotkałem jeszcze w swoim życiu – oświadczył Dziewiątka. Siedział na zderzaku z rozkraczonymi nogami i grubymi palcami wkręcał małeńkie śrubki gaźnika: szło mu to niesporo i kłął co chwila z taką wściekłością, że dolina powtarzała jego głos. – Powinno mu się jaja wyrwać obcążkami i kazać połknąć.

Pracowali wszyscy do wieczora, udało im się zaledwie poskładać do kupy gaźniki. Zabawa w ciągu nocy rozkręcił je tak, że na brezentowej płachcie zastali tylko górę śrubek i sprężyn. Kiedy ściemniało się już, Orsaczek pierwszy otarł ręce w szmaty.

– Diabli wiedzą, czy coś z tego wyjdzie – oświadczył ponuro. – Żeby go jako tako podregulować, trzeba się męczyć ze dwa dni... – Rzucił szmaty na siedzenie samochodu. – Zrobił nas na cacy – powiedział.

– Jeszcze nikt w życiu mnie tak nie zrobił.

– Jak?

– Tak głupio.

– A ojciec?

– Ty, Dziewiątka...

– Chodź, dziecko – powiedział – pograsz nam trochę... I nie przejmuj się tym za bardzo: my go jeszcze tak zrobimy, że w piekle mu się będzie odbijać jak kurwie po komunii. Przejmować się warto tylko w dwóch wypadkach: kiedy poznajesz babkę i kiedy się z nią rozstajesz... – Wstał, rozprostował ramiona. Kołysał się przez chwilę, potem pochylił głowę ku Orsaczkowi i Warszawiakowi. – Zrobię go dziś w nocy – powiedział. – Na pewno będzie spał ze spluwą, ale wszystko sobie obmyśliłem. Zamienię się tylko z tobą na łóżko, Warszawiak... Kończcie, idziemy.

Orsaczek poszedł do baraku. Warszawiak zatrzymał Dziewiątkę.

– Chcę ci coś powiedzieć.

– No?

– Daj mi rękę.

– Po co?

– Daj.

Uścisnął dłoń Dziewiątki.

– Sam go zrobię – powiedział. – Nie mieszaj się w to. Chcę go zrobić sam, rozumiesz.

Dziewiątka popatrzył na niego uważnie.

– Dlaczego ci tak na tym zależy?

Warszawiak milczał. Patrzył przed siebie swymi pustymi oczami, potem cisnął niedopałkiem.

– Zrobię go sam – powtórzył.

Dziewiątka pokiwał głową.

– Jak chcesz – powiedział. Prztyknął go palcami. – Mówią, że ludzie są rozmaici – rzekł po chwili. – Nigdy w to nie wierzyłem. Ludzie dzielą się chyba tylko na tych, którzy lubią jabłka, i na tych, co nie znoszą jabłek. Ale jestem ciekaw dlaczego? Wdowa cię bierze?

– Dałeś rękę – powiedział Warszawiak. – Starczy.

Zapadł wieczór i wszyscy siedzieli przy stole. Partyzant leżał na łóżku i patrzył ponuro w sufit.

– Przerobiłeś nas – powiedział Apostoł do Zabawy. – Ale i tak wrócimy do miasta... – Zjrzał mu w oczy. – Powiedz nam: czy tu można żyć?

– Nie – powiedział Zabawa. Patrzył z natężeniem w talię kart; przesuwał je kciukiem. Potem podniósł wzrok. – Gorzej. Trzeba.

– Wrócimy i tak.

– Oczekujecie cudów w mieście? W mieście jest gorzej jak tu. Tłok, bieda, trudniej o wszystko... Zwolnią was dyscyplinarnie, to raz. Z takim świadectwem nie dostaniecie nigdzie roboty, dwa. A po trzecie: ktoś tu, do cholery, musi zostać i robić.

– Dlaczego my? – zapytał Warszawiak.

Zabawa odwrócił się ku niemu.

– Wiesz, gdzie żyjesz?

– W piekle.

– Więc musisz cierpieć.

– Bóg mówił tak samo. Mnie to nie bawi.

– Co?

– Że trzeba cierpieć.

Zabawa milczał przez chwilę.

– Ale Bóg nie był komunistą – rzekł.

– Nie było go w ogóle.

– Co cię więc obchodzi gładzenie kogoś, kogo nie ma.

– Chciałbym zagrać w pokera – powiedział Dziewiątka. Płasnął kartami o stół. – Gracie? Odłóżcie na kiedy indziej swoje pogaduszki.

– Kiedy przyjechałem tutaj – powiedział Orsaczek – mówili mi, że będę mógł zarobić trochę forsy przez parę miesięcy. Nie piłem, nie grałem, liczyłem każdy kawałek chleba przed pyskiem. Myślałem, że uda mi się odłożyć trochę forsy i kupić sobie wóz na taksówkę...

– Uśmiechnął się marzycielsko. – Taksówka... – powiedział. – Wywiecie, co to jest? Człowiek robi, kiedy chce i ile chce, jest panem u siebie; nie ma żadnych kierowników, dyrektorów, innych drani. Można oszczędzać, kombinować jakoś, potem założyć sobie mały warsztacik, wziąć chłopaka do pomocy... – Roześmiał się nagle. – I co? Jutro będzie wypłata; zobaczycie, ile zarobiłem. Nie starczy mi nawet na żarcie do następnej.

– Kto przywozi wypłatę? – zapytał Zabawa.

– Goniec z centrali, na motocyklu – powiedział Orsaczek. Milczał przez chwilę, bębniąc palcami po stole, potem zapytał: – Jakim prawem zatrzymujesz nas tutaj?

Zabawa wstał nagle.

– Do cholery – powiedział – myślisz, że mi jest tu przyjemnie?

– Podszedł do Orsaczka i pochylił ku niemu pociemniałą twarz. – Iy dupku – powiedział – czy naprawdę myślisz, że po to tu przyjechałem, żeby usłyszeć od ciebie, że chcesz sobie założyć warsztacik i kombinować pieniądze? Niech cię jasny szlag trafi z twoim warsztacikiem i taksówką!

– Nie wyrażaj się – rzekł z kąta Apostoł.

– Ciebie także niech diabli porwą razem z twoimi książkami do nabożeństwa.

Apostoł wstał ociężale. Przeszedł wolno przez izbę i stanął przed Zabawą. Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Śnieg – powiedział ochryple Apostoł. – Nędza, gówna i strach przed złamaniem karku, i wilki po nocach, i wasze przekłete obietnice, i te baraki, i te kurwy w miastach, i te cholerne samochody...

– Osłabł nagle i oparł się ciężko o stół. – Bóg – powiedział cicho.

– Straciłem na wojnie wszystkich, teraz sam tracę tu siebie z tymi zwierzętami. Bez Boga dla mnie nic nie ma sensu.

Umilkł. Patrzył na Zabawę wzrokiem takim, jakby od niego oczekiwał litości.

– Nawet drzewo? – powiedział Zabawa. – Dziwny z ciebie człowiek.

Kopnięciem otworzył sobie drzwi i wyszedł na dwór. Z wysoka zerwał się wiatr; szedł więc samotnie poprzez szum, przez fioletowy, roziskrzony śnieg. Stał pod jakimś drzewem i patrząc w górę przez ciężkie od śniegu gałęzie, widział wyszczerbiony księżyc; tkwił nieruchomo na samym szczycie nieba przesłaniany co chwilę zimnymi chmurami.

Drgnął, kiedy stanęła przed nim żona.

– Wracamy – powiedziała cicho. Przytuliła się do niego nagle; wtedy śnieg z gałęzi obsypał ich głowy i gorące twarze. – Jasię boję.

– Czego?

– Oni cię zabiją.

– Nie zabiją.

– Czy po to tyle lat siedziałeś w więzieniu, żeby teraz przyjechać na to pustkowie i męczyć się tutaj? Czy po to?

– W więzieniu miałem czas przemyśleć, co potem robić.

– Więc zostajesz?

Odsunął się delikatnie. Uniósł jej głowę do góry.

– Musimy zostać.

– Nic nie muszę! – krzyknęła – Ale jeszcze ty mnie będziesz o to prosił!

Pobiegła do baraku. Wypalił papierosa i ruszył za nią. Potem przyszła noc i kiedy wszyscy już usnęli, kiedy słyszał ich ciężkie, zmęczone oddechy i kiedy księżyc – tak jak i poprzedniej nocy – chwiał się niewyraźnie w oblodzonych szybach okna, szepnął do niej:

– Wanda...

Nie odpowiedziała, lecz oczy jej były otwarte. Chciał ją przygarnąć do siebie, lecz odepchnęła go. Wtedy obudziła się w nim wściekłość; chwycił jej kruchą dłoń i ścisnął z całych sił, aż zatrzeszczały w stawach palce. Zaprzagnął nagle przerwać ciszę choćby jej jękiem, lecz nie poruszyła się nawet: silniej tylko lśniły jej oczy w ciemnościach. Puścił dłoń i pierwszy raz od wielu dni zapadł w sen, ciepły i szczelny.

Przyszedł ranek i pierwszy obudził się Partyzant; nie leżąc ani sekundy, wyskoczył z łóżka – ubrał się w strażackim tempie i wyszedł na dwór. Przez parę minut gimnastykował się zawzięcie, wykonując całe mnóstwo skomplikowanych ruchów, potem natarł nagi tors śniegiem i począł biegać dla rozgrzewki. Orsaczek, który wyszedł na dwór po chwili – ziewając i pomrukując rozkosznie ze snu – przystanął zdumiony.

– Zaziebisz się, frajerze – powiedział.

Partyzant przystanął.

– Jak powiedziałeś?

Orsaczek cofnął się przezornie.

– Czego się czepiasz słów, do cholery? – powiedział. – Mówię do ciebie jak do człowieka, a ty od razu, jakbym ci matkę zjadł.

– Posłuchaj, pętaku – rzekł Partyzant. – Z Apostołem się załatwię przy okazji, kiedy będziemy sami. Wczoraj było was kilku i nie chciałem, żeby mi taki kretyń jak na przykład ty przyłożył z tyłu żelazo do głowy. Ale pomyśl najpierw trzy razy, zanim dziób otworzysz do mnie. Tak?

– Tak.

Partyzant począł lepić kule ze śniegu i rzucać nimi w najbliższe drzewo; trafiał prawie każdą. Orsaczek mruczał coś jeszcze pod nosem i odszedł.

– Celnie rzucasz – powiedziała nagle Wanda. Wyszła z baraku i stanęła niepostrzeżenie za Partyzantem. Odwrócił się i popatrzył na nią krótko; była jeszcze zaróżowiona od snu,

behradna, usta miała pełniejsze niż zwykle. Trwało to chwilę; potem Partyzant schylił się i z powrotem począł lepić kulę.

– Miałem czas się nauczyć – powiedział cicho. – Kiedyś rąbnąłem w sam środek pędzącego samochodu z Niemcami. – Zaśmiał się: – Takiego bigosu nawet twoja matka nie potrafiłaby ugotować.

– Nie mam matki – powiedziała.

– No to kto inny.

– Kto?

– Pojęcia nie mam. Masz chyba kogoś w rodzinie, kto potrafi ugotować bigos, nie?

– Nie mam nikogo – powiedziała.

Partyzant odwrócił się od niej, podrzucał kulę w rękę.

– Po kiego diabła przyjechałaś tutaj?

– Gdybym miała kogoś w mieście – powiedziała cicho – nie siedziałabym tu ani chwili...

– Spojrzała nagle na niego. – A ty nie chcesz wracać?

Uśmiechnął się.

– Wrócić – powiedział nagle zupełnie innym tonem niż zazwyczaj. – Wrócić i tłuc swoje życie w mieście jak gówno w mózdzierzu. I co jeszcze? Pracować, ożenić się z taką jak ty, mieć dzieci, chodzić pod rączkę na spacer do kościoła, odkładać forszę na garnitur albo przepijając ją z koleżkami... I co? Co więcej? To nie dla mnie. Lepiej już tutaj.

– Nie słyszysz, co oni mówią?

– Co?

– Możesz tutaj zdechnąć.

– W mieście wszyscy zdychają codziennie.

Zamachnął się z całej siły i rzucił. Tym razem chybił; kula poszła wyżej, między gałęzie – zerwało się stamtąd stadko czarnych wron i kracząc, przeleciało nad ich głowami.

Zaklął i wrócił do baraku. Warszawiak stał przy piecyku i czyhał na chwilę, kiedy zagotuje się kawa. Apostoł jak zwykle mamrotał coś, wbijając oczy w książeczkę do nabożeństwa. Dziewiątka, który siedział przy stole, zdrapując brzytwą twarde zarost, skończył golenie i przejrzał się z zadowoleniem w szczerbatym lusterku. Dłuższą chwilę wydymał ciemne policzki, potem zwrócił się do Orsaczka:

– Nie masz czasem trochę brylantyny?

– Brylantyny?

Oczy Orsaczka zrobiły się okrągłe jak kulki.

– No tak.

– Mam, ale...

– Ale co?

– Skąd ci to nagle przyszło do głowy?

Dziewiątka zerwał ręcznik i rzucił go na stół.

– Jestem człowiekiem czy nie, do cholery? Mam chyba prawo się uczesać, co? Jak dotąd, nie ma takiego paragrafu.

Orsaczek podał mu mały słoiczek. Patrzył z żalością, jak Dziewiątka ładuje ogromne ilości brylantyny na włosy i rozprowadzają grzebieniem. Po chwili głowa jego zalśniła mdłym odbłaskiem.

– Dziwne – powiedział głębokim głosem Apostoł i uśmiechnął się zjadliwie. – Orsaczek goli się codziennie, tamten dureń gimnastykuje się na podwórku, Dziewiątka smaruje łeb smalcem, a ty Warszawiak, co? Chyba pójdziesz do wiecznej ondulacji?

Warszawiak zwrócił ku niemu swoją martwą twarz.

– Stul mordę!

Dziewiątka spojrzał na Apostoła krzywo.

– "iy sobie za to możesz umyć nogi – powiedział. – Jeśliby cię dzisiaj szlag trafił, nie dostałbyś się z takimi brudnymi kopytami do nieba. Święci także mają nosy. Dostałbyś od aniołów po szyi i won na dół.

Włożył sweter i wyszedł na podwórko; w porannym słońcu jego wypomadowana głowa lśniła jak kask; gładził ją z lubością palcami. Pospacerował sobie parę kroków, nagle spostrzegł leżący na ziemi skrawek materiału. Pochylił się i podniósł go: była to wstążka od włosów. Obracał ją w rękach zdumiony, a kiedy uniósł wzrok, zobaczył przechodzącą Wandę. Pomachał wstążką.

– To twoje, dziecko?

– Tak – powiedziała. Wyciągnęła rękę, lecz Dziewiątka schował swoją za siebie. Wyszczrzył zęby.

– Znalezionej rzeczy nie oddaje się – powiedział. – Przywiozę ci kiedyś inną.

Podszedł do swego wozu i zaczął zawiązywać wstążeczkę pod szczękę kościotrupa. Wanda stanęła przy nim i patrzyła z odrazą na wyszczerzone zęby.

– Przywieziesz?

– Jaką chcesz: niebieską, czerwoną, czarną...

– Przecież chcesz uciekać stąd.

– Racja – mruknął. Przerwał zawiązywanie, podniósł głowę. – Więc co? – zapytał. – Chcesz ją z powrotem?

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Muszę ustawić gaźnik – powiedział ze wściekłością. – Myślisz, że to takie proste? W warsztatach ludzie męczą się nad tym po parę dni. Ten dureń, twój mężulek, ma szczęście. Trzeba go było...

Urwał nagle.

– Co? – zapytała cicho. Patrzyła spokojnie w jego oczy. Uśmiechnęła się nagle. – Co trzeba było?

– Wytłumaczyć mu jakoś – powiedział.

– Masz dom w mieście? – zapytała.

Odwrócił się ku niej, gwizdnął cicho. Patrzył w jej twarz ciemnymi oczyma, potem kołysząc się na piętach, obejrzał ją całą od góry do dołu. Stuliła usta w uśmiechu; wtedy wszystkie zmarszczki zbiegły się nagle, nadając mu wygląd kocura.

– Wiem, o czym myślisz, dziecko – powiedział. Prztyknął w palce i pokręcił głową. – Ale ze mną nic by z tego nie wyszło – rzekł.

– Jestem sam, nie pamiętam nawet, gdzie mieszkałem przedtem, nie wiem, czy dostanę w mieście jakąś robotę... – Przysiadł na zderzaku i splótł z chrzęstem palce. – Raz w życiu pomyliły mi się kroki – rzekł – i od tego czasu chodzę krzywo.

Przysiadła koło niego.

– Byłeś w więzieniu?

– Tak.

– Długo?

– Starczy.

– Dlaczego?

Milczał przez chwilę.

– Przez kogoś takiego jak ty.

– Kim byłeś przedtem?

Otworzył usta, lecz odpowiedział dopiero po sekundzie.

– Nie pamiętam.

– On też był – powiedziała.

– Kto?

– On.

– Twój mąż?

– On.

– Który?

– Nie rozumiem?

– Pytam: który paragraf?

– Nie wiem. Za politykę.

– Aaa – powiedział Dziewiątka. – To daleki kolega... – Dojrzał sińce na jej szyi i powiedział: – Powiedz mu, żeby cię tak nie gryzł, córeczko. Innym niepotrzebnie przykro. – Wstał ze zderzaka, prztyknął czaszkę w zęby. – Może ty mu ładniej zawiążesz tę wstążeczkę?

Pochyliła się nad maską. Apostoł, który gapił się w okno i widział ją i Dziewiątkę, powiedział w zamyśleniu:

– Zaczęło się.

Odwrócił się od okna i potrącił Warszawiaka; nie zauważył go przedtem. Popatrzyli sobie w oczy.

– Co się zaczęło, Apostoł? – spytał cicho Warszawiak.

– Nie wiem – powiedział Apostoł. – Ale na mój rozum to nic dobrego. Tak jest, że jeśli w piekle znajdzie się kobieta, to wychodzi z tego jeszcze gorsze piekło.

– Ona ma ciemne oczy – powiedział z kąta Orsaczek. Siedział na stole i przebierał leniwie palcami po klawiszach swej harmonii.

Warszawiak odwrócił się wolno.

– No to co?

Orsaczek uśmiechnął się marzycielsko, lecz zmroziło go spojrzenie pustych oczu Warszawiaka. Pochylił głowę nad harmonią.

– Nic – mruknął. Grał przez chwilę, potem urwał nagle melodię i wstał z hałasem. – Co się z wami wszystkimi stało, do cholery? Rzucacie się sobie do gardła jak psy... ten bydlak bierze mi pół brylantyny... co jest?

Skrzypnęły drzwi. Wszedł Dziewiątka, trzymając sztywno swoją błyszczącą głowę.

– Gdzie Zabawa?

– Diabli go wiedzą. Polazł gdzieś wachać kwiaty.

– Idiota – powiedział Partyzant. Siedział na łóżku i czyścił swój kozuch szmatką maczaną w benzynie. – Łazi gdzieś, zamiast wziąć nas wszystkich za mordę i do galopu. W lesie takich dowódców rozwalano.

Dziewiątka usiadł przy stole i śrubokrętem czyścił paznokcie. Gwizdał przez chwilę, potem uniósł głowę.

– Partyzant...

– No?

– Popatrz na mnie.

– Czego chcesz?

– Popatrz, nie bój się.

Partyzant natychmiast uniósł głowę. Dziewiątka obrzucił go krótkim spojrzeniem, potem znów wziął się do czyszczenia paznokci. Gwizdał, fałszując niemiłosiernie.

– Czego chciałeś? – zapytał.

– Ech, nic – rzekł Dziewiątka. – Tylko kiedy patrzę na ciebie, to sobie tak myślę, że ciebie twój tato to zrobił z nudów. Niepotrzebnie. Powinien... wbić w ścianę; miałby przynajmniej kapelusz na czym powiesić.

Partyzant wstał z łóżka i odłożył kozuch. Przeszedł wolno przez izbę w swoich skrzypiących butach i stanął przed Dziewiątką.

– Tu – zapytał – czy na dworze?

Dziewiątka wbił śrubokręt w pokrywę stołu.

– Na dworze.

– Chodź.

Dziewiątka wstał. W drzwiach baraku minęli się z Wandą. Przystanęła i popatrzyła za nimi; obaj szli wolno jakby z ociąganiem. Potem zwróciła się do Apostoła:

– Dlaczego oni tak dziwnie wyglądają?

Apostoł zdjął okulary i złożył je starannie.

– Jak?

– Mają takie dziwne twarze.

– Może ci się zdawało?

– Każdy człowiek ma dziwną twarz – powiedział Warszawiak.

– Trzeba się tylko dobrze przyjrzeć.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Ty w ogóle nie masz twarzy – rzekła.

– A co?

– Kiedy będę miała dzieci, będę je straszyć kimś takim jak ty. Ty w twarzy nie masz nic.

Pusty plac.

Orsaczek przestał brzdąkać.

– Tamci poszli się lać – powiedział.

– Bić?

– No.

– Dlaczego?

Apostoł podniósł palec do góry.

– Żeby tam nie wiem jak liczyć – powiedział z rozważą – to każdy człowiek ma te swoje czterdzieści królików na mózgu i od czasu do czasu zaczynają się chromolić między sobą... – Poskrobał szczecinę podbródka, potem dodał: – Tamci mają właśnie dzisiaj taki dzień.

Stała chwilę bez ruchu.

– Pójdę za nimi – rzekła.

– Po co?

– A po co mają się bić?

Apostoł trzasnęła książką do nabożeństwa w stół.

– Nie mieszaj się między mężczyzn, do jasnej cholery – powiedział z gniewem. Jego siwe, skudłone włosy zjeżyły się nagle. Znów uniósł rękę do góry. – Przyniesiesz tylko nieszczęście temu domowi – powiedział uroczyście.

Popatrzyła na niego z pogardą.

– Ty masz w głowie sto królików – powiedziała – a dzisiaj połowa z nich rodzi. Lepiej byś się ogolił, zamiast siedzieć z nosem w książce... – Tupnęła nogą ze wściekłością. – Jesteś taki nudny – powiedziała – że nie przyjmą cię ani do nieba, ani do piekła.

Usiadła obok Orsaczka. Zrobiło jej się gorąco i ze złością rozpięła sweter. Orsaczek zagapił się na nią i wtedy zauważyła jego wzrok.

– Ty jesteś zdaje się taki sam idiota jak i oni, prawda?

– Czego chcesz? Nudzisz się?

– Pojęcia nie masz jak.

Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek i uśmiechnął się w jakiś dziecinny, miły sposób.

– Dziwne – rzekł. – Miałaś chyba kawałek ciepłego mięsa w nocy, nie?

Zanim zdążył pomyśleć, zamachnęła się i głowa jego odskoczyła do tyłu. Zagryzł wargi. Ktoś roześmiał się zjadliwie; podniosła głowę i napotkała spojrzenie Warszawiaka: jego puste oczy jarzyły się teraz jak dwa węgle. Mierzyli się przez długą chwilę wzrokiem, potem ona sama spuściła głowę.

– Nie gniewaj się – szepnęła do Orsaczka.

Położyła dłoń na jego dłoni; harmonia nagle zamilkła. Oczy w kącie baraku zgasły.

Dziewiątka z Partyzantem szli przez polanę. Dziewiątka trzymał głowę w ramionach, pochylił plecy, a długie jego ręce kołysały mu się gdzieś koło kolan; milczał ze zgnębnym wyrazem twarzy. Partyzant głowę trzymał prosto, szedł paradowym krokiem. W pewnym momencie przystanął.

– Tu.

Dziewiątka wskazał głową na barak.

– Chcesz im zrobić kino? Zapłacili ci?

Partyzant wzruszył ramionami. Skręcili w las i po kilkunastu krokach przystanęli. Partyzant podwinął rękawy swetra i przybrał postawę zasadniczą. Dziewiątka roześmiał się głośno.

– Nie, dziecko – rzekł – w ten sposób waliliśmy się po gębach w szkole. Ale to było dawno i nieprawda. Teraz będziemy się bić bez cudów, sam tego chciałeś. Zdejmuj pasek.

– Po co?

– Zdejmuj, dziecko. Zobaczysz. Potem w życiu jak znalazł.

Ściągnęli paski. Dziewiątka związał je końcami. Potem obwiązał sobie paskiem przegub lewej ręki, Partyzant zrobił to samo.

– To jakby jeden z nas dostał mojry – objaśnił Dziewiątka. – A teraz poszukaj sobie ładnego kamyczka. Kolor i kształt możesz sobie wybrać dowolnie.

Schylili się obaj i poczęli rozgrzebywać śnieg. Nagle Dziewiątka wyprostował się. Nasłuchiwał z kamieniem w ręku.

– Słyszysz?

– Co?

– Motocykl.

– No to co?

– Goniec jedzie z centrali.

– No to co?

– Wyplata, durniu! – wrzasnął Dziewiątka.

Skoczył naprzód, pociągnął za sobą Partyzanta. Biegli złączeni paskiem, obrzucając się nawzajem przekleństwami, a gałęzie chłostały ich po twarzach.

Przed barak zajechał motocykl; wszyscy wybiegli z wrzaskiem i otoczyli go kołem. Motocyklistą był młody, przystojny chłopiec o jasnych kręconych włosach i różowej cerze.

– Matki Boskiej pieniądze – powiedział. – Jak wam się żyje?

– Dawaj forszę, Buźka. Nie gładź!

Wyplącił im. Zapiął skórzaną torbę, zapiął rękawice. Potem odwołał na bok Warszawiaka.

– Skąd macie taką dziwę?

– Przyjechała z Zabawą.

– Przyjemna.

– Co z tego, Buźka?

– Nie wiesz?

– Nie – powiedział Warszawiak. Nos wyciągnął mu się do przodu.

Buźka popatrzył na niego i roześmiał się. Zmrużył oko; było teraz przysłonięte długimi rzęsami i prawie niewidoczne.

– Dzisiaj mi się śpieszy – powiedział. – Ale przylecę następnym razem, to ci pokażę, co z tego. Jak zabawa, to zabawa. Trzymaj się, prawiczek!

Warszawiak milczał. Buźka włączył ze zgrzytem bieg i ruszył wariacko. Śnieg sypnął mu się spod kół i zawirował w słońcu jak złoty talerz.

– Ty, Buźka! – wrzasnął nagle Warszawiak. Podbiegł parę kroków.

Lecz tamten już nie słyszał; zniknął za zakrętem drogi, a ostry ryk jego motoru jak nóż ciął ciszę doliny. Warszawiak stał bez ruchu długą chwilę, potem podszedł do swego wozu i



pochylił się nad silnikiem. Pracował aż do momentu, kiedy ciemność udaremniła jego ruchy. Wtedy z trzaskiem zamknął maskę i począł myć ręce w benzynie.

– Skończyłeś?

Odwrócił się: stał przed nim Zabawa.

– Chyba będzie dobrze – powiedział Warszawiak.

– Zapuść silnik.

– Po co?

– Posłuchamy.

– Nie trzeba. Musi być dobrze.

– Tak sobie wierzysz?

– Przejadę się, wypróbuję go – powiedział Warszawiak. Zapalił papierosa i zaciągnął się chciwie dymem; dym zaostrzył jeszcze czyste jak szkło powietrze.

– Słuchaj, Zabawa! – powiedział Warszawiak. – Może masz się ochotę ze mną przejechać?

– Dobrze – powiedział Zabawa – ale posłuchaj najpierw silnika. Po diabła mamy się rozkraczyć gdzieś w polu.

– Cóż cię mój wóz obchodzi? – rzekł Warszawiak. Ogień papierosa rozświetlił jego suchą twarz. – Ja pojadę na swoim, ty na swoim.

Milczeli, patrząc na siebie z natężeniem. Wilki musiały być gdzieś blisko; ich łkanie brzmiało tuż pod lasem.

– Chcesz mi pokazać góry? – zapytał cicho Zabawa.

– Postaram się.

– Lubisz jeździć, co?

– Tylko jeździć.

– Mówili mi, że jeździsz najlepiej ze wszystkich z Drzewa.

– Przekonam cię.

Znów umilkli.

– Dobrze – rzekł po sekundzie Zabawa – Wezmę tylko kozuch.

Odwrócił się i poszedł w stronę baraku. Warszawiak szedł dwa kroki za nim. Światło księżycy splotło w pewnym momencie ich cienie i popatrzyli na siebie. Niebo było bez gwiazd i księżyc biegł samotnie, niby pies po ogromnym pustym placu. Weszli i od progu zakreśliło im się w głowach; powietrze było tu gęste i ciemne od dymu.

– Gdzie się wybieracie? – zapytał Orsaczek; w półmroku przeblyskiwały klawisze jego nieodłącznej harmonii.

– Na spacer – powiedział Zabawa. Ściągnął kozuch pasem. – Nie wychodź nigdzie – powiedział do żony.

Leżała na pryczy, trzymając założone ręce pod głową. Patrzyła w kąt sufitu, gdzie na nitce kołysał się pająk. Kiedy Zabawa przemówił do niej, nie drgnęła nawet. Westchnął i wyszedł w mrok.

Warszawiak ruszył za nim; po kilku krokach dogonił go Dziewiątka.

– Gdzie jedziecie?

Przystanął.

– Słyszałeś. Na spacer.

– Teraz chcesz? – szepnął Dziewiątka.

Warszawiak popatrzył na niego z góry.

– Za dużo wzięłeś brylantyny – powiedział. – Śmierdzisz jak fryzjer, a jej się i tak nie podobasz.

Odwrócił się i odszedł. Dziewiątka patrzył za nim chwilę, potem gwizdnął i zawrócił do baraku. Przed samymi drzwiami zatrzymał się; potarł głowę dłonią i powąchał ją. Zaklął ze

wstrętem; schylił się, nabrał w obie dłonie śniegu i długo tarł nim włosy. Zaklął po raz drugi, najplugawiej, jak potrafił, i wszedł do środka.

Usiadł przy stole i oparł głowę na pięściach. Słyszał, jak silniki kaszłą i krztuszą się; potem – jak grają już coraz równiej i mocniej. Podniósł głowę i spojrzał na Orsaczka.

– Graj – powiedział.

– Mam już dosyć – powiedział Orsaczek. Odłożył na bok harmonię.

– Od rana brzęczę jak głupi. Nikt mi za to nie płaci.

Uchylił głowę w ostatniej chwili: butelka rozprysnęła się tuż nad nim.

– Graj – syknął Dziewiątka; oczy jego zbiegły się w dwie szparki.

– Graj, rozumiesz?

Orsaczek pośpiesznie naciągnął rzemień. Począł grać drżącymi palcami: melodia uciekała mu w fałszywe tony.

– Śpiewaj! – wychrypiał Dziewiątka, – Śpiewaj, co chcesz, ale śpiewaj... Orsaczek zaśpiewał czystym tenorem:

*Jeden ze siekierą w dłoni,  
Drugi z pistoletem w drzwiach.  
Antoś na frajera,  
Z pompką od rowera,  
Zaiwania, że aż strach.  
Harmonia na trzy czwarte rżnie.*

– Dość! – ryknął Dziewiątka. – Co innego!

– Może być „Capri”?

– Ale już!

*Więc nie czekaj już mila dłużej na powrót mój,  
Na dnie morza znalazłem dzisiaj swój wytęskniony grób...*

– Dość! – powiedział Dziewiątka. – Starczy... – Pochylił głowę, potem rozejrzał się po wszystkich nieprzytomnie. – Morze, morze – powiedział. – Atu jest po prostu wielkie gównno, rozumiecie? Kupa gównna i śniegu...

– I jeszcze głupie piosenki – powiedziała Wanda.

Apostoł ocknął się. Spojrzał na Dziewiątkę krwawymi oczami, potem rzekł:

– Nie wyrażaj się.

Warszawiak siedział w kabinie i rozgrzewał silnik na wolnych obrotach; pracował równo, bez zakłóceń, krztusząc się tylko od czasu do czasu zimnym powietrzem. Wtedy klekotały zawory. W następnym wozie siedział Zabawa. Twarze ich obu skryte były w ciemności; tylko światło liczników dawało słaby odbłask.

– Jesteś gotów? – zapytał Warszawiak.

– Przodem lecisz czy tyłem?

– Wszystko mi jedno.

– Mnie też.

– Myślę.

Zabawa wychylił głowę.

– Mówiłeś coś?

– Zdaje ci się.

– Mam dobry słuch.

– Zdaje ci się.

Zabawa ruszył pierwszy. Warszawiak odczekał parę chwil, potem włączył pełne światło i wcisnął gaz do deski. Niby ogromne ciemne zwierzę z rozjarzonymi oczyma przewalił się obok baraku, aż zaśpiewały cienko szyby; grzmot narastał, a potem urwał się nagle niby ucięty – zjechał z doliny.

Orsaczek odszedł od okna.

– Zarzynają te wozy, aż przykro patrzeć – powiedział. Wyglądał w tej chwili na bardzo zmartwionego. Pokręcił głową. – Kiedy będę miał własny wózek – oświadczył – nie dam się nikomu nawet palcem dotknąć. Z wozem trzeba jak z dzieckiem... A oni? – Kopnął ze złością krzesło.

– Działkę będziesz miał, nie wózek – warknął Dziewiątka.

– Dlaczego działkę? – zdumiał się Orsaczek.

– Własną działkę po śmierci.

Partyzant zaśmiał się cicho.

– Już teraz wszystko rozumiem – powiedział.

– Co rozumiesz?

– Wszystko – rzekł. – Las, trupy, partyzantkę, Polskę, która mi się śniła... Teraz wiem, po co to było: żeby gdzieś na końcu drogi przyjechać i żyć z wami.

Umilkł. Położył się twarzą do ściany. Dziewiątka siedział chwilę bez ruchu, potem nałożył kozuch i wyszedł z baraku. Nastawił uszy, lecz nie słyszał nic: dolina milczała niby martwa woda. Poszedł do swego wozu i położył się na siedzeniu; teraz niebo pełne było gwiazd i wzrok jego gubił się gdzieś między ich światłem. Usłyszał skrzyp kroków, a potem podeszła do niego Wanda.

– Daj mi papierosa – rzekła.

Odwrócił się.

– Nie palisz przecież.

– Ale teraz mam ochotę.

Podał jej pudełko. Zapaliła i usiadła obok niego.

– Chcę stąd uciekać.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Nikt tego nie wie.

– Co to znaczy?

– Nic.

Gdzieś od lasu odezwało się wycie i drgnęła nagle.

– To tylko wilki – powiedział. – Nie ma się czego bać. Są gorsze rzeczy.

– Co?

– Katar.

– Udajesz idiotę czy jesteś nim?

– Wolalabyś, żebym udawał mądralę?

– Ja? Wszystko mi jedno.

– To dobrze – powiedział. – A teraz uciekaj stąd. Ale już!

Zwróciła ku niemu twarz, wokół której wiatr rozrzucił włosy.

– Dlaczego?

– Przypominasz mi coś, kiedy patrzę na ciebie.

– Coś przykrego?

– Coś, o czym nie chcę pamiętać.

– Co?

Milczał. Na samym środku nieba płynęła w mroźnych mgłach Wielka Niedźwiedzica. Wiatr przeszedł szumem nad doliną i znów odezwały się wilki.

– Życie – powiedział Dziewiątka.

I zaraz potem uczył jej wargi: były ciepłe i miękkie.

– Uciekajmy stąd – szeptała mu do ucha. – Chodź, uciekaj stąd. Gdzieś jest przecież życie, a tu nawet wierzyć się w to nie chce. Ludzie gdzieś idą ulicami, są światła, domy... Uciekajmy stąd... razem.

– Mógłbym przecież pracować – powiedział w zamyśleniu Dziewiątka. – Dostać jakąś pracę, spać w łóżku, mieszkać, nie bać się...

Nagle przygarnął ją do siebie: leżeli przytuleni na zaoliwionym, brudnym siedzeniu; pachniały smary i benzyna; i znów dławiła cisza znad doliny.

– Nie teraz – szepnęła. – Zaczekaj...

Roześmiał się.

– Czekać? – powiedział. – Na co? Na nowe samochody? Na życie?...

Szarpali się przez chwilę; zdenerwowani i milczący, niecierpliwi i niezdarni, a potem wszedł na nią i było mu ciepło, bardzo ciepło, tak bardzo, że musiał zacisnąć szczęki i przytrzymać jej usta dłonią, gdyż było to jedyne ciepło tej nocy, tego świata, tego życia i światła dalekich, martwych gwiazd; potem wstrząsnął nim dreszcz, który jak prąd przebiegł każdą komórkę jego ciała i stracił go z wysokości; a potem leżał bezsilny i zdruzgotany, pusty i czysty, bliższy śmierci niż życiu, z twarzą w jej splątanych, chłodnych, pachnących już benzyną włosach.

Po chwili szepnęła:

– Kiedy?

– Co?

– Wyjeżdżamy stąd?

– Jutro, pojutrze...

– Dlaczego nie jutro?

– Muszę z wozem zrobić porządek.

– Na pewno?

– Na pewno... kochanie.

Zerwał się nagle i począł nasłuchiwać.

– Jedzie – rzekł po chwili.

– Kto?

– Jeszcze nie wiem, który z nich.

– Jeden? A gdzie drugi?

Zeskoczył na ziemię.

– Daleko – rzekł.

Popatrzył w dolinę.

– Jada obaj – powiedział cicho. – Niech to jasna cholera trafi... – Zwrócił się do niej: – Wracaj do tamtych. Pogadamy jutro.

Spojrzała mu w twarz.

– Ale na pewno?

– Tak.

– Przysięgnij.

Uśmiechnął się.

– Na co?

– Na co chcesz. Będę wierzyć.

– Dobrze – powiedział. – Na to, co było przed chwilą. To jedyne, co jest coś warte... – Wyciągnął rękę w niebo. – On robi w tej chwili to samo i jeszcze może nas podglądać – powiedział. – A teraz uciekaj.

Stał bez ruchu aż do chwili, kiedy wozy wtoczyły się w podwórko; pierwszy jechał Zabawa i ciągnął na linie Warszawiaka. Zatrzymał się i wysiadł z wozu.

– Pompa mu nawaliła – powiedział. – Jeździć się już nauczyłem, ale chodzić koło wozu jeszcze nie.

Dziewiątka popatrzył na Zabawę, na Warszawiaka; splunął i począł do baraku. Drzwi trzasnęły jak strzał i drgnęły obaj.

– Góry są ładne – powiedział Zabawa. – Zaczynam się przyzwyczajać. Zaczyna mi się tu podobać. Myślałem, że będzie gorzej.

Warszawiak milczał. Patrzył na niego zgasłymi oczyma. Zabawa poklepał go po ramieniu.

– Nie martw się, chłopcze – rzekł. – Kiedyś w końcu nauczysz się jeździć. Jesteś młody, życie masz przed sobą. Najtrudniejsze jest zawsze te pierwsze dwadzieścia pięć lat, a potem...

– Co potem? – zapytał cicho Warszawiak; zobaczył nagle z bliska jego twarz i cofnął się.

– Potem – powiedział Zabawa – zrozumiesz, że gówniarzowi ciężko jest zabić nawet kota.

Uderzył go w twarz, raz i drugi. Potem, nie oglądając się za siebie, odszedł. Warszawiak stał bez ruchu i patrzył za nim; czas umknął mu nagle, patrzył wciąż jeszcze, kiedy drzwi za Zabawą zamknęły się dawno. Po wielu chwilach otarł dłonią usta i wyciągnął rękę ku światłu księżyca i wiele chwil jeszcze minęło, wiatr przewalał się nad doliną raz za razem, a on wciąż jeszcze oglądał krew na swoich rękach.

## Wielki bluff

– To idiota – mrukną! Dziewiątka.

Orsaczek rozpali! na polanie wielkie ognisko i w nadzwyczaj sprytny sposób zawiesił nad nim beczkę napełnioną wodą; brał z niej wrzątek wiadrami i szorował swój wóz. Kiedy udało mu się już odskrobać z błota i lodu żelazo i blachy, wyszprycował wszystko ropą. Potem odszedł o parę kroków i oglądał swoje dzieło, a jego umorusana twarz jaśniała zadowoleniem; wielki wóz błyszczał w słońcu jak brylant.

– No i jak? – zapytał przechodzącego Apostoła.

Tamten wydał wargi.

– Wygląda jak dziwka – powiedział z namaszczaniem. – Dziwka, która idzie wiosną na spacer i szuka faceta.

Orsaczek stropił się.

– Dlaczego?

– Nie to jest w wozie najważniejsze – powiedział Apostał. – Wóz, tak jak człowiek, musi mieć serce... – Wyprężył się. – Popatrz na mnie – rzekł. – Mordę mam podobno wredną, ale tu – grzmotnął się pięścią w pierś – tu, bracie, złoto. Zresztą, co tu dużo gadać. Zapuść go.

Słuchał przez chwilę warkotu silnika, potem rzekł:

– Dostaje za bogatą mieszankę, już to słyszę. Przykręć.

Silnik pracował teraz lepiej. Orsaczek spojrzał zachwyconym wzrokiem na Apostoła.

– Mówią o tobie, że jesteś najlepszym mechanikiem w Drzewie – powiedział. – Po co się włóczysz po tych górach, zamiast siedzieć w mieście? Mógłbyś zostać majstrem, żyć spokojnie, lepiej zarabiać...

Dziewiątka, który przysłuchiwał się ich rozmowie, zaklął i rzucił śrubokręt na ziemię.

– Apostał! – zawołał. – Chodź tu na chwilkę!

Ten zbliżył się dostojnym krokiem.

– Nie mogę dać rady – wyznał Dziewiątka. – Pomóż mi trochę. Nie ma wolnych obrotów ani przejścia... Ja na gaz, a on zgasł... i tak dalej.

– Wóz ino gwizda, tylko szofer... i tak dalej – powiedział Apostał. Wgramolił się z trudem i usiadł na wachlarzu. Przez chwilę gmerał w silniku ogromnymi łapami, potem spojrzał w twarz Dziewiątce.

– Czego ona się tutaj kręci?

– Kto?

– Kobieta.

– Tak? – powiedział Dziewiątka. – Kręci się?

– Ciągłe tu chodzi koło ciebie. Ja to widzę.

– Nie wiem. Widocznie lubi samochody. Jedna lubi z tyłu, druga z przodu, a ona widocznie to. Zagadka życia.

– Znałem parę kobiet – powiedział Apostał. – Ale żadna z nich nie miała żadnego cugu do wozów. Chciałem kiedyś nauczyć swoją żonę jeździć, ale nie odróżniała hamulca od sprzęgła, a gazu od reflektora. Jak zobaczyła kogoś przed sobą, to zamykała oczy i naciskała wszystko naraz... Ta jest jakaś inna.

– Widocznie – przyznał Dziewiątka.

– W tym nieszczęście, że każda jest inna – powiedział Apostoł. Wyprostował się nagle. – Słuchaj, Dziewiątka – zasyczał – jeśli zobaczę, że tu jakiś grzech między wami, to tak z tobą...

Zeskoczył na ziemię. Chwycił ze zderzaka korbę i wznosił ją nad głowę; jego twarz stała się purpurowa i zdawało się, że za chwilę tryśnie z niej krew. Dziewiątka patrzył, jak twarde żelazo wygina się w pokorny łuk. Potem Apostoł wyprostował korbę na kolanie i odrzucił ją.

– Kiedy miałem twoje lata – powiedział do Dziewiątki – robiłem u rzeźnika. Wtedy potrafiłem dać pięścią wołu w łeb i jucha mu szła z pyska; szedł spać tam, gdzie ty pójdziesz: do bydłęcego raj. Rozumiesz?

– Owszem.

– Więc jakby co...

Dziewiątka poklepał go po ramieniu.

– Jakby co, to opowiem ci potem, jak było – rzekł. – Nie przejmuj się, Apostoł. Któryś ze świętych był w młodości alfonssem; tak nam mówił kapelan więzienny. Jeśli jednemu z naszych się powiodło, to dlaczego ja mam być gorszy? Jak się nazywa takie coś dookoła głowy?

– Co?

– No, takie, takie.

– Ale co, do licha?

– A ja wiem? To ty się modlisz.

– Co mam wiedzieć?

– Czekać.

Skoczył na tył wozu i wyciągnął stamtąd oponę. Założył sobie ją na plecy: kudłaty jego łeb znajdował się teraz w kole.

– To – rzekł triumfalnie. – Bo w tym byłoby mi chyba ładnie, nie?

Apostoł potarł czoło.

– Wiedziałem – rzekł. – Już mam, bracie, na końcu języka... Zaraz, zaraz... Kółeczko, ma się rozumieć, że kółeczko. Czekać, czekać... Jak się nazywa ta dziwka, do której jeździliśmy we dwóch?

– Ta kurwa?

– Ona, ona.

– Ruda?

– No... chyba ruda.

– Sabina.

– Nie, nie... A ta druga?

– Ta, na której Warszawiak złapał tryńca?

– O, o!... Ona sama.

Dziewiątka poskrobał się w szczękę.

– Zapomniałem – wyznał wstydliwie. Spojrzał na Apostoła ze złością. – Ale przecież rozchodzi się o kółeczko.

– Czekać – rzekł Apostoł. – Zaraz sobie przypomnę.

Wyciągnął zza pazuchy butelkę wódki i w okamgnieniu opróżnił połowę; brzuch jego zabulgotał jak silnik. Dziewiątka dokończył; pił jak herbatę, ze smakiem. Otarł usta.

– Przypomniałeś sobie? – zapytał.

Apostoł pstryknął rozpaczliwie palcami.

– Nie – rzekł. – Ale coś tak pod kółeczko... – Westchnął. – Fajna była zresztą dziewczyna. Warszawiak potem wybił jej wszystkie zęby.

– Wcale nie wszystkie, tylko cztery – powiedział urażonym głosem Dziewiątka. – Dlaczego mówisz źle na kumpla? To jej się zresztą przydało.

– W jaki sposób?

– Podobno teraz pięknie ciągnie druta.

Apostoł huknął pięścią w maskę.

– Bóg cię skarzę, bydlaku – powiedział. – Ale czekaj, chcę sobie przypomnieć... Hm... hm... hm... No, nie ma rady.

Znów wyciągnął butelkę wódki; wypili. Dziewiątka objął Apostoła za szyję i przytulił się do niego.

– Apostoł – wyszeptał gorąco. – W życiu trzeba być zawsze człowiekiem. Aja, bracie, zawsze jestem sobą. Ty mnie rozumiesz? – Szarpnął na nim watowaną kurtkę. – Ty mnie rozumiesz?

– Kóleczo – mówił Apostoł, opędzając się od Dziewiątki. – Kóleczo, do jasnej cholery. Kiedyś jej dałem w mordę, bo chciała mi rąbnąć portcygar. Cycki, bracie, miała do kolan, ale tak w ogóle, to złego słowa nie dałbym na nią powiedzieć. – Znów uderzył pięścią w maskę. – Kochasz Pana Jezusa?

– Kocham, Kocham... Miałem kiedyś kumpla księdza. Piliśmy, a potem on mnie spowiadał. „Ty – mówi – bydlak jesteś, można powiedzieć – grzesznik, ale ja cię wolę od takiej cholery, która się trzy razy na dzień przychodzi spowiadać, bo w tyłku ma pusto...”. Pocałuj mnie. Ja jestem taki.

– Kóleczo, kóleczo – powtarzał Apostoł. – Gdzie Warszawiak? On będzie wiedział.

– Co?

– Kóleczo.

– Po cholerę ci kóleczo?

– Ale jak ona się nazywała?

– Kto?

– Ta dziwka.

Dziewiątka zaklął.

– I świętego Asyżka z Franciżu też Kocham – powiedział. – Ale po co ci dziwka? Patrz – roślinność się pnie...

Pocałował Apostoła w rękę.

– Ty chciałeś – wybełkotał Apostoł. – Grzeszysz, ale będziesz zbawiony. Powiedz do Pana Boga: „Boże, świnia jestem...” aja powiem tak samo. A święty Krzysztof powiada: „Boże, ja znam tych skurwysynów. To chłopaki z Drzewa, Przyjmij ich na swoją klatkę z piersiami cierpiącą...”.

Nagle zaryczał pełnym głosem:

*Pijem, kole i stradam.*

*Wsiech legawych przeklinajem.*

*Ech – zaczem nas mama rodila...*

Objęci ramionami potoczyli się w stronę baraku. W drzwiach Apostoł przystanął.

– Mam – wybełkotał. – Mam... kóleczo. A... arel... Aurelcia... – Przytulił Dziewiątkę do swojej ogromnej piersi. – Aurelcia, ty szmato, daj mordy... Kóleczo...

Jak piorun wdarli się do baraku. Zwalili się na prycze i zachrapali natychmiast Partyzant spojrział na Zabawę.

– I ty chcesz z nimi coś zrobić?

– Sam nie zwiozę.

– Kiedy chcesz jechać po drzewo?

– Jutro można spróbować.

– Nie będą chcieli jechać – powiedział Partyzant – Podszykowali wozy i będą chcieli wracać do miasta. Wczoraj wzięli forszę... Czym ich zatrzymasz?

– Nie wiem – powiedział Zabawa.



Partyzant zerknął na zegarek.

– Masz czas do jutra, do świtu – rzekł. – Teraz jest czwarta. Jakies szesnaście godzin. Co przez ten czas możesz zrobić?

Zabawa wstał i podszedł do okna; swoimi szerokimi plecami odciął prawie światło. Potem odwrócił się.

– Nie wiem, co można zrobić przez szesnaście godzin – rzekł.

– Można się najeść, zakochać, zabić... Ale przekonać człowieka? To się czasem nie udaje przez całe życie... – Zamilkł; patrzył na ciemniejący las i rzadkie niebo nad nim. Potem rzekł z rozpaczą: – A oni muszą tu zostać.

– Pozabijają się na tych trupach – rzekł Partyzant. – Jato widzę. Tymi wozami można wozić słomę, a nie dłużyce. – Spojrzał mu w twarz.

– Ty przecież wiesz o tym, Zabawa.

– Wiem tylko to, że muszę zwieźć drzewo. I to jest wszystko. Partyzant zaśmiał się cicho.

– Nie masz dla nich litości, co?

– Mam kupę drzewa do zwiezienia.

Partyzant wstał i nałożył kozuch.

– Przejadę się trochę, obejrzę to sobie – rzeki. – Do diabła z tymi pijanymi bydlakami.

Wyszedł. Zabawa patrzył za nim; wysoki, jasnowłosy, szedł sztywnym krokiem przez plac. Potem wsiadł do swego wozu, przejechał z hałasem i znów zamknęła się cisza.

– Jutro – wybelkotał przez sen Dziewiątka – kochana...

Zabawa odwrócił się i spojrzał na niego; w tej chwili Dziewiątka rzucił się gwałtownie i spadł z łóżka. Zabawa pochylił się nad nim i wciągnął go z powrotem. Chciał odejść, lecz zobaczył rozsypaną talię kart; podczas podnoszenia wysypały się Dziewiątce z kieszeni. Pozbierał je starannie. Były wyświechtane i zatłuszczone jak fartuch masarza.

Orsaczek wyciągnął ze skrzynki puszkę i otworzył wieko śrubokrętem. Zaklął: farba zaschła i na jej powierzchni utworzył się wstrętny żółty kozuch. Medytował chwilę, potem nabrał butelkę benzyny ze zbiornika: dolał do farby i począł rozrabiać ją patykiem. Kiedy wreszcie stała się płynna, wlał na maskę i przygryzając z przejęciem koniuszek języka, zaczął malować. Zobaczył przechodzącego Warszawiaka i krzyknął:

– Chodź na chwileczkę!

Warszawiak podszedł.

– No?

– Potrafisz malować?

– Zależy.

Orsaczek zmrużył oko.

– Serce – powiedział. – Serce przebite strzałą.

– Zakochałeś się?

Orsaczek znów mrugnął na niego.

– Poniekąd tak, poniekąd nie – powiedział. – Ale ona mi się cholernie podoba. Chciałbym ją, bracie, względem tego, co i owszem.

Warszawiak milczał przez chwilę.

– Wiesz – rzekł – ja ci coś powiem. Ja bym ci chętnie namalował, ale wiesz – sam mam kupę roboty. Muszę napompować zapas. Zrobimy tak: ja ci namaluję serce, a ty mi zrobisz zapas. Stoi?

Orsaczek namyślał się chwilę.

– Potrafisz malować? – zapytał z niedowierzaniem.

– Mowa. Pracowałem kiedyś u lakiernika. Możesz być spokojny.

– Kiedy wiesz... zrobić zapas, to jest jednak do cholery roboty.

– A serce tam namalować, żeby wszystko grało, to co?

Orsaczek mrugał rozpaczliwie oczami, potem zdecydował się nagle.

– Dobrze – rzekł. – Ale postaraj się tak, żeby wiesz.

– Spokojna głowa. Będziesz miał zrobione na model. Do końca życia mi tego nie zapomnisz.

Orsaczek odszedł. Warszawiak zawołał za nim:

– Strzała ma być z lewa na prawo czy z prawa na lewo?

Orsaczek namyślał się chwilę.

– Z lewa na prawo. Tak będzie lepiej, prawda?

– Myślę... Pompka jest nad siedzeniem...

Orsaczek pompował koło, ustając co chwila; pompka podawała kiepsko, wentyl przebijał, noga mu się ślizgała i pot spływał po całym ciele, a opona wciąż jeszcze była miękka. Patrzył z zazdrością na Warszawiaka, który siedział wygodnie i malując, podśpiewywał. Orsaczek pompował i mówił głośno: „Sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć...”.

– Co ty tam chrzaniś? – zawołał Warszawiak.

Orsaczek otarł pot z czoła.

– Siedemdziesiąt – zachrypiał.

– To kiepska pompka – powiedział Warszawiak. – Musisz co najmniej z tysiąc razy przydusić.

– Sto pięć, sto sześć... Żeby cię szlag trafił!

– Jak?

– Żeby cię szlag trafił!

– Trudno, przyjacielu! Miłość wymaga ofiary...

Po godzinie Orsaczek skończył. Odłożył pompkę pod siedzenie i zachwiał się. Warszawiak już dawno skończył i poszedł sobie. Orsaczek odpoczął chwilę i podszedł do swego wozu. Na masce, przez całą jej szerokość, widniał napis: „Odczep się od niej, pętaku, bo ci nogi z tyłka powyrywam i dam do zabawy”; farba zaschła już na cement.

Przyszedł wieczór i księżyc w to samo miejsce okna, w którym zawsze tkwił nieruchomo, srebrząc krzaczaste kwiaty na szybie. Dziewiątka siadł do stołu.

– Apostoł.

– No?

– Posłuchaj, synu: Onego czasu wziął Chrystus uczni swoich i szedł z nimi do miasta Jeruzalem. A gdy wyszli z miasta Betlejem, a było gorąco, usiedli na górze wysokiej w cieniu upragnionym i w kości grać poczęli. I wziął kości Piotr, i rzucił je, i wyrzucił dziesiątkę, i ucieszyło się serce Piotra, a zasmuciło serce Jana. A wziął kości Jan, a rzucił je i wyrzucił dwunastkę; i ucieszyło się serce Jana, a zasmuciło serce Piotra. A wziął kości Pan, a potrząsnął nimi i rzucił; i wyrzucił trzynastkę; i zasmuciło się serce Jana. Rzekł tedy: „Panie, nie czyn cudów, azaliż jest to uczciwa gra na gotówkę...”. Czy zrobimy sobie ostatniego, uczciwego pokerka?

Usiedli do stołu. Dziewiątka potasował karty i podał do przebicia Zabawie.

– To już ostatni raz – powiedział. – Zaczynaj.

– Otwarcie? – spytał Apostoł.

– Jest.

– Za ile?

– Dziesięć.

– Dziesięć i dwadzieścia.

– Dwadzieścia i czterdzieści.

– Jestem. Jestem i sprawdzam.

– Co masz?

– Uczciwa karta, bracie. Nie gram na bluff. Fuli. Starczy?

Dziewiątka położył rękę na puli. Zabawa przytrzymał go.

– Kareta.

Grali, przekomarzając się najpierw i żartując; potem twarze ich stężały, czoło Dziewiątki pokryło się potem, Apostoł mełł w ustach jakieś przekleństwa, nos Warszawiaka zaostrzył się jeszcze bardziej; pochylony nad kartami wyglądał jak kruk. Orsaczek rozglądał się nieprzytomnie; stos banknotów przed Zabawą rósł stale.

– Ma chłopak szczęście – powiedział Apostoł.

Dziewiątka spojrział na Zabawę.

– Nie takie znów, jak mu się wydaje – warknął.

A potem świt przyszedł mgłami; góry i doliny rozpływały się w mlecznych oparach i księżyc uciekł jak zdmuchnięty; potem obudził się wiatr – przegnał mgły i słońce znów zaczęło drążyć pustkę nieba; i wszyscy już byli bez pieniędzy; zmięte, zatłuszczone i wygniecione spoconymi z podniecenia rękami leżały przed Zabawą. Położył na nich obie dłonie; twarz pociemniała mu przez noc.

– Gracie dalej?

– Czym? – zapytał Orsaczek. Patrzył na ręce Zabawy jak zaczarowany i bliski był płaczu.

– Nie macie już nic?

Milczeli. Dziewiątka oddychał ciężko; Apostoł rozglądał się dzikim wzrokiem; tylko Warszawiak był spokojny i zimny, jakby dopiero rozpoczął grę.

Zabawa zebrał karty i począł je tasować.

– Ostatnia pula – powiedział. – Przykro mi, chłopcy, ale dam wam szansę... – Skończył, wyciągnął rękę z kartami do Warszawiaka. – Zagrajmy na dni – powiedział.

Apostoł poruszył się gwałtownie.

– Na dni? – powtórzył. Wpatrzył się w twarz Zabawy. – O czym ty myślisz, Judaszu?

– Tak – powiedział Zabawa – na dni. Ja stawiam forszę, a wy – każdy dzień tutaj. Stoi?

Dziewiątka roześmiał się.

– Każdego dnia można sobie skrócić łeb – powiedział. – Ile to dla ciebie warte?

– Czy to uczciwie teraz zmieniać stawkę? – powiedział Zabawa.

– A jeśli rzeczywiście skrócę kark? – powiedział Orsaczek.

Zabawa uśmiechnął się.

– Wyprawimy ci taką stypę, że nie będziesz narzekał – powiedział. Rozejrzał się po wszystkich. – Więc?

Dziewiątka zaklął.

– Gram – powiedział. – Nie wrócę przecież bez forsy do miasta, Ty, Warszawiak?

Warszawiak milczał. Patrzył na stos banknotów przed Zabawą. Potem wyciągnął rękę.

– Daj – rzekł.

Dziewiątka podszedł do drzwi i otworzył je.

– Słońce wschodzi – powiedział. Spojrział w niebo. – Wieczorem pewno będzie padać śnieg... – Wrócił do stołu. – Karty!

Zabawa rozdał.

– Kładźcie papierosy – rzekł. – Papieros – dzień.

Dziewiątka zaśmiał się.

– Więc to tak wygląda?

– Co?

Stuknął palcem w stół.

– Życie.

– Tutaj nawet tego niewarte – powiedziała Wanda. Stanęła za Dziewiątką. – Grajcie – powiedziała ochryple. – Grajcie, wy świnie.

Potem Zabawa nakrył wszystkie papierosy ręką: Dziewiątka przegra! tydzień; Warszawiak i Apostoł po dziesięć dni, a Orsaczek, który hazardował się najbardziej, przeszło trzy tygodnie.

– To był wielki bluff – powiedział Dziewiątka do Zabawy. – Taki cud zdarza się tylko raz za życia, dziecko. Daj karty!

Zabawa uniósł brwi.

– Chcesz jeszcze grać?

– Nie, talię. Jest moja.

Zabawa milczał przez chwilę.

– Mogę je od ciebie odkupić – rzekł z namysłem. – Przyniosły mi szczęście, to coś znaczy. Zobacz – tyle forsy...

– Ile dajesz?

– Nic – powiedział Warszawiak. Podeszedł do stołu i szybkim ruchem nakrył talię dłonią. – Pomyliło ci się, Dziewiątka – rzekł. – Karty są moje. Miałeś je ode mnie kupić, ale do dziś dnia nie dałeś ani grosza.

– Mogę je kupić i od ciebie – powiedział Zabawa. Ich ręce spotkały się nagle.

– Nie – powiedział Warszawiak. – Może mnie też przyniosą szczęście.

Był silniejszy i rozgiął dłoń Zabawy. Stuknął kartami o stół i schował je do kieszeni.

– Chryste – rzekł Apostoł. – Takiego bluffu nie widziałem w życiu. – Popatrzył na Zabawę takim wzrokiem, jakby go pierwszy raz zobaczył. – Człowieku – rzekł. – Czy ty jesteś diabłem?

Warszawiak roześmiał się cicho.

– O, nie – powiedział. – On miał po prostu wielkie szczęście... – Popatrzył na Zabawę. – Warto by się przyjrzeć z bliska, jak to szczęście wygląda. Zwyczajna talia kart – pstryknął palcami – tyle forsy, tyle dni.

Zabawa wstał.

– Nie warto się przyglądać – rzekł.

– Boisz się, żeby nie zapeszyć? – zapytał Warszawiak.

– Tak – rzekł Zabawa. Włożył ręce do kieszeni. – To rozmaicie bywa z tym szczęściem – powiedział. – Znałem kiedyś jednego cwaniaka, który jeździł jak wariat i miał cholerne szczęście. Kiedyś chciał wykołować jednego faceta, ale tak się dziwnie złożyło, że...

– Masz rację – powiedział Warszawiak. – Do cholery z takim szczęściem. To był największy poker, jakiego widziałem w życiu... – Spojrzał na Zabawę. – Ale pogramy sobie jeszcze, co?

Zabawa wzruszył ramionami.

– Dlaczego nie? Gra jest przyjemną rzeczą.

Warszawiak wyszedł na dwór. Zza lasu podnosiło się czerwone słońce i szczyty drzew były teraz złote.

– Warszawiak!

Odwrócił się.

– Oddam ci forszę – rzekł Zabawa.

Uśmiechnął się.

– Kiedy mu wyciągnąłeś talię?

– Spili się dzisiaj z Apostołem. Podczas snu.

Szli obok siebie. Warszawiak wyciągnął talię i obejrzał ją.

– Ładnie – rzekł. – Znaczkii, znaczkii. Grałeś na widno... – Spojrzał na niego z boku. – Jak ty tyle tego spamiętałeś?

– Siedziałem kiedyś – powiedział Zabawa. – Pisaliśmy do siebie grypsy. Odklejałeś bibułkę od papierosa, pisałeś, potem skręcałeś z powrotem w tytoń. Literami byś nic nie

napisał, chłopaki wymyślili więzienny alfabet Pisałem nim całe referaty. To było trudniejsze od pokera.

– Za co siedziałeś?

– Za komunizm – rzekł Zabawa. – Za to samo co i teraz.

– Siedziałeś teraz za komunizm?

– Siedzę tutaj z wami – rzekł Zabawa. – To jest gorsze od więzienia. – Zatrzymał się. – Ile chcesz za karty i za zamknięcie mordy?

– Teraz z tobą zostaną – rzekł Warszawiak. – Odebrałeś im forszę, cały zarobek... To biedni ludzie. W mieście nikt im nie da. Zostaną tutaj i będą się walić po kolei...

– Ty bardzo pięknie mówisz – powiedział Zabawa. – Ale ile chcesz?

– Nic – powiedział Warszawiak. Wcisnął mu karty do ręki. – Mordę będę trzymał krótko, a znaczki wytrzymaj. Zostaję tutaj, żeby z tobą pograć...

Uszedł krok, potem zatrzymał się.

– Uczciwie.

Dziewiątka wyszedł na podwórko i przetał zapuchnięte oczy. Wanda przeszła koło niego; trąciła go i poszła w stronę samochodów. Rozejrzył się i przemknął za nią.

– I co? – rzekła. – Przegrałeś. Z czym teraz wrócimy, ty Świnio?

– Nie bój się – rzekł. – Jutro pojedę do lasu i opchnę kurs w mieście. Damy sobie radę... – Podniósł głowę do góry. – Jeśli jest jeszcze coś na tym parszywym świecie – rzekł – to nie będziemy tu długo. – Spojrzył na nią. – Płaczesz? To dobrze. Jeśli jeszcze człowiek potrafi płakać, to wszystko można zacząć.

Byli już w lesie; usiedli koło siebie i znów, nie zważając na nic, kołysali się między niebem a ziemią.

## Mordercy są między nami

Droga była wąska i kręta; pięła się pod górę ostrymi serpentynami; na zakrętach nie było znaków ani słupów ochronnych, a że padał gęsty śnieg, jechali niby w nocy. Warszawiak jechał pierwszy; Partyzant, który miał najlepszy wóz, ubezpieczał ostatni. Posuwali się naprzód w ślimaczym tempie, a kiedy wydostali się wreszcie z lasu na szosę, Warszawiak wyrwał daleko naprzód; ciągnął czterdzieści mil i nagle zobaczył w lusterku wóz Orsaczka; ten wrzeszczał coś i wygrażał Warszawiakowi pięścią. Potem zrównali się i jechali maska w maskę, zajmując całą szerokość szosy. Przy pięćdziesięciu milach – kiedy zjeżdżali ze spadku – Warszawiak wychylił głowę.

– Gdzie, durniu?

– Puść, do diabła – wrzasnął Orsaczek. – Śpieszy mi się.

– Dokąd?

– Mam frajera na drzewo, puszczaj... Jutro ja cię będę blokował.

Warszawiak zdjął nogę z gazu.

– Jedź...

Sam zjechał na bok; przepuścił Orsaczka, a potem stopniowo zwalniał szybkość; jechał środkiem szosy, nie zważając na rozpaczliwe sygnały z tyłu; tamci również musieli zwolnić i nie zdejmowali rąk z klaksonów. Zaraz za nim jechał Zabawa; Warszawiak ciągnął teraz nie więcej jak dwadzieścia mil i widział w lusterku jego czerwoną ze wściekłości twarz; Zabawa usiłował raz za razem minąć Warszawiaka, kłął i wrzeszczał; lusterko było wklęsłe, co tym śmieszniejszą czyniło jego rozwścieżoną twarz.

– Góra – wrzasnął Zabawa – Gazu, ty kretynie...

– Gazu – ryczeli z tyłu pozostali: – Gazu, Warszawiak. Gazuu...

Warszawiak popatrzył przed siebie; Orsaczek był już daleko i tylko śnieg kurzył się za nim. Wyciągnął dźwigienkę ssania; silnik począł się krztusić i walić ogniem w tłumik. Przed nim było niewielkie, kilkumetrowe wzniesienie; po wierzchołku góry szwendały się mgły i tam właśnie zniknął Orsaczek. Przed samym pojazdem Warszawiak stanął; zatrzymali się również i inni.

– Co jest, do cholery? – ryknął Zabawa.

– Nie wiem – powiedział Warszawiak. – Nie ciągnie i koniec. Nie mogę go rozbujać, za Boga... – Rozpiął spodnie i stanął przy kole.

– Masz swoje wozy – powiedział potem do Zabawy. – Tak jest zawsze.

– Teraz będziemy musieli piłować pod górę jedyneką – powiedział Zabawa. Zaklął. – Naraz nie przejedziemy. To potrwa z godzinę, trzeba studzić silniki... Nie mogłeś nas przepuścić?

– I co? W razie czego zostanę sam i co mam robić? Zawsze tutaj tak jeździmy, do cholery...

Zabawa wyciągnął zegarek.

– Przed wieczorem nie dolecimy – powiedział. Usiadł na stopniu i zapalił papierosa. Dziewiątka podszedł i mrugnął na Warszawiaka. Odeszli na bok.

– Zrobiłeś go na szaro – szepnął. – Orsaczek ma ze dwie godziny czasu...

– To pierwszy z moich dziesięciu dni – powiedział Warszawiak.

– Wygrał i niech się cieszy swoim szczęściem... – W sposób niebywale zręczny zapalił papierosa i podał ognia Dziewiątce. Pociągnął nosem.

– Wiosna już idzie – rzekł. – Jeszcze tylko dwa tygodnie śniegu, Dziewiątka...

– Cóż z tego, dziecko?

– W Warszawie, na mojej ulicy, dzieci pewnie grają już w klasy, w niebo i piekło, kuchty łążą z żołdatami, ludzie otwierają okna. Potem zaczynają kwitnąć drzewa...

– Rozmarzyło cię?

– Potem kwiaty – rzekł Warszawiak. – W parkach, na zieleńcach, rozmaici faceci piją wódkę na trawnikach. O Boże...

– Niedobrze jest z tobą, dziecko – powiedział Dziewiątka. Pokręcił głową ze smutkiem, potem przytulił do siebie Warszawiaka. – Ja wiem, co jest z tobą. Ptaszynka zaczyna ci koncertować w mózdzku. Musisz sobie, bracie, potęgować, a wtedy odleci. Tak jak ja.

Warszawiak wyprostował się nagle.

– Co – ty?

Dziewiątka poczerwieniał.

– Nic, do diabła... Jedźmy już, nic...

– Kłamiesz – powiedział cicho Warszawiak.

– Nie tylko ja, dziecko. Wszyscy. Cały świat to taki zasrany, wielki bluff, jaki wczoraj wyszedł temu bubkowi. Te góry to też lipa wymyślona przez jakichś podłych idiotów. – Wskazał ręką na zachodzące słońce. Wsiadł do wozu. – Dalej – warknął. – Zaczynamy wszyscy głupieć...

Orsaczek z szybkością pięćdziesięciu mil wjechał do miasta. Jak burza przewalił się przez drewniany, prowizoryczny most nad śmierzdzącą rzeczką; potem skręcił w boczną ulicę i wypełnił grzmotem jej kamienne ściany; pozdejmowali u swych wozów tłumiki, aby pracowały lżej; to dopiero słyszało się w wąskich ulicach tego miasta. Kiedy przejeżdżali, mieszkańcy podbiegali do okien, rozplaszczając na szybach twarze.

Przed którymś podwórkiem zatrzymał się. Wskoczył z wozu i zakolał do bramy; nad bramą umieszczony był szyldzik: „B. Marcinkowski – Stolarnia”. Walił długą chwilę, potem wyszedł stamtąd mały, okrągły człowieczek w filcowym kapeluszu; za tasiemką zatknięty miał gruby ołówek. Okrągły otworzył wrota, a kiedy Orsaczek wjechał – zamknął je natychmiast. Nie mówiąc do siebie ani słowa, poczęli zwalać dłużyce. Całe podwórko zawalone było tartacznym drzewem i teraz, w blaskach zachodzącego słońca, żywiczne słoje lśniły jak stężala krew. W kącie podwórka stał drewniany budynek; tam śpiewała wysoko elektryczna pila.

– Koniec – rzekł w pewnym momencie Orsaczek. Otarł pot z czoła; rękaw był brudny i na czole pozostała ciemna smuga. – Więcej nie można, bo się pokapuje.

– Kto? – zapytał okrągły.

– Przysłali nam... kapusia.

– Znaczą się: kto?

– Centrala, partia... panie, czyja się na tym znam? Jak chcą przysłać, to zawsze przyślą. Miały przyjść nowe wozy i...

– I co? – zapytał ciekawie okrągły.

Orsaczek zatrzepotał rękami.

– Nie mogę panu powiedzieć – rzekł. – Tajemnica państwowa.

Okrągły człowiek podrapał się pod kapeluszem.

– Czasy, cholera – powiedział. – Wam przysyłają kapusia, mnie podatek za podatkiem dosuwają, że ledwie zipię... – Wykonał pełen rezygnacji gest ręką i sięgnął do portfela. – To będzie razem...

– Nie, nie... – powiedział spieszenie Orsaczek. Znów zatrzepotał w ptasi sposób rękami. – Niech forsa leży u pana. Pan wie: ja chcę sobie uzbierać na wózek, a koleżków pieniędzy w oczy kole. Jak będę się stąd zrywał, to odbiorę.

Okrągłego to zaciekało; stulił usta.

– Wózek, znaczy się – co?

Orsaczek spuścił skromnie oczy.

– Taksóweczka – szepnął.

Okrągły pokiwał głową.

– Można zarobić – powiedział. – Może ja bym panu coś wykombinował. Pan wie: tu jest Zachód, tu zawsze łatwiej. Chłopi po stodołach mają jeszcze Bóg wie co... – Wypiął do przodu brzuszki. – Jak pan chce – rzeki godnie. – U mnie jak w banku. Ale śpieszcie się chłopaki, bo czuję, że niedługo wszyscy pociągniemy. Takie czasy... Warszawiak wybiera się do mnie, nie wiesz pan?

– Czort go wie. Chyba panu coś podrzuci, powiem mu. Warszawiak lubi forszę.

– Ja o tym dobrze wiem – powiedział okrągły. – Pożyczył ode mnie z miesiąc temu dwadzieścia kawałków i go nie widzę. Przypomnij mu pan.

Orsaczek energicznie pokiwał palcem.

– Bądź pan spokojny – rzekł. – My jesteśmy uczciwi. Nie przywiezie panu dziś, to jutro. Im później, tym dla pana lepiej – drzewo przynajmniej obeschnie. Z nami pan nie zginie.

Wyjechał z bramy i pognął w stronę tartaku przy bocznicy kolejowej, tam gdzie zwalali zawsze. Kiedy wreszcie nadjechali inni, on wracał już z pustym wozem do domu. W chwili mijania nie mógł się powstrzymać i zagrał im na nosie.

Następnego ranka, przed wyjazdem do lasu, Dziewiątka odwołał na bok Orsaczka.

– Kochasiu – powiedział. – Ja myślę, że tobie dziś nawali na przykład... pompa benzynowa. Te membrany są teraz takie kiepskie...

– W porządku, Dziewiątka.

– Ile wczoraj zarobiłeś?

– Ja wiem? Ze trzy kawałki może...

Dziewiątka zaklął wściekle.

– Nie lubię złodziei, psiakrew. Mało płaci.

– Weź więcej, więcej zarobisz.

– Chyba tak zrobię – powiedział Dziewiątka. – Naładuję, ile się da. Potrzebna mi dziś forsa...

Orsaczek spojrzał ciekawie.

– Po co?

– Chcę się odegrać – powiedział Dziewiątka.

Zabawa siedział już w wozie; Warszawiak, Apostoł i Partyzant zjeżdżali z doliny.

– Jedziemy, Dziewiątka.

– Jedź pierwszy – powiedział Dziewiątka. – Leć razem z Orsaczkiem, a ja was dogonię.

– Dlaczego nie chcesz jechać teraz?

– I tak wszystkim naraz nie załadują. Coś się, cholera, przeziębilem. Zagotuję sobie kawy...

Zabawa z Orsaczkiem pojechali. Dziewiątka pokręcił się chwilę przy swoim wozie, potem – kiedy na dobre już przebrzmiał głos tamtych wozów – wszedł do baraku. Wanda leżała jeszcze w łóżku. Przysiadł koło niej; pogłaskał chłodną ręką jej zaróżowioną twarz.

– Koniec – powiedział.

– Czego?

Spojrzał w okno; skrzyło się w słońcu rozjeżdżone koleinami pole, wyżej szumił kołysany potężnym wiatrem srebrny las.



– Wszystkiego, co było tutaj. Śniegów, samochodów... – Przeciągnął ręką po czole. – Tyle czasu siedziałem tutaj. Na myśl mi nie przyszło, że spotkam cię... akurat tutaj, teraz. Zbierałem trupa po trupie i przestałem wierzyć, że wyrwę się stąd kiedyś.

– Kiedy stąd wyjedziemy?

– Kiedy? – powtórzył. – Dzisiaj... Pojadę teraz do lasu, zawiozę drzewo do miasta i wrócę...

– A ja?

– Ty? Ty przez ten czas ślicznie się spakujesz, a ja wrócę pierwszy. Wsiądziemy do wozu i powiemy górom: „Niech was szlag trafi”. A potem...

Urwał nagle. Znowu patrzył na las.

– Co potem? – zapytała.

Milczał. Po jakimś czasie odwrócił głowę.

– Potem – rzekł – będziemy jakiś czas w mieście razem, a ty sobie znajdziesz młodego, fajnego chłopaka i odjedziesz z nim. I będziesz miała i męża, i dom, i wszystko, i nic... A potem? Potem znowu będą jakieś góry i jakiś las, i coś, co będzie dręczyć.

– Dlaczego tak mówisz?

Uśmiechnął się i teraz dopiero, po raz pierwszy, jak ujrzała go tutaj, był ładny.

– Żartowałem – powiedział. – Słyszysz, jaki wiatr?... Jutro już nie będziesz go słyszeć.

Wstał.

– Czekaj – powiedział. – Wrócę pierwszy, potem pojedziemy boczną drogą, przez las. Mogą nas szukać. Ubierz się ciepło, wieje dzisiaj strasznie. Ale już tylko dzisiaj.

Podszedł do drzwi.

– Dziewiątka.

Odwrócił się.

– No?

– Jak tobie naprawdę na imię?

– Dziewiątka.

– Ale naprawdę.

Uśmiechnął się.

– Powiem ci w mieście.

– Chodź na chwilę.

– Teraz nie. Muszę już jechać. Czekaj.

Widziała przez okno, jak wsiada do swego wozu i bezskutecznie naciska starter. Potem zaklął, wyskoczył, mocował się chwilę z korbą; wreszcie silnik zaskoczył i Dziewiątka ruszył; w słońcu błysnęła biała czaszka na wachlarzu i wóz zniknął za zakrętem. Leżała jeszcze chwilę w łóżku, później zaczęła zbierać swoje sukienki.

Las był pełen słońca; promienie jego łamały się w żywicznych sękach i oblodzonych szyszkach; na zeszywniałych igłach i śnieżnym pyłe, który zdmuchiwał z gałęzi pomruk silnika; cały las pełen był promiennego, wirującego puchu. Dziewiątka jechał szybko; przyczepa podskakiwała na wybojach i korzeniach i łańcuchy kołowrotów brzęczały dziwnym jakimś, fałszywym brzękiem. Kiedy wyjechał wyżej i pędził skrajem lasu, brzęczenie prawie ucichło; wszystko głużył wiatr, który szedł nisko, swą siłę brał z samego środka przewróconej ziemi.

Wydostał się wreszcie na wysoką polanę; stąd brali zrąbane przez drwali drzewo; drwale ściągali je końmi, pokrzykując i wrzeszcząc. Wozy stały już z klockami podłożonymi pod koła i opuszczonymi kłonicami; były przygotowane do załadunku. Ładowacze – chłopcy z okolicznych wiosek – podtaczali już pierwsze bale pod legary. Dziewiątka przygotował wóz i poszedł szukać Zabawy.

Kiedy go znalazł, Zabawa rozmawiał z jakimś człowiekiem w okularach. Zobaczył Dziewiątkę i skinął; ten podszedł.

– Towarzysz inspektor z centrali – powiedział Zabawa. – A to jeden z naszych kierowców. Inspektor i Dziewiątka uścisnęli sobie dłonie.

– No jak? – zapytał inspektor.

– Z czym?

– Jak wam leci, kurwa jego mać?

– Dyc' jakoś ta idzie, wielmożny panie – powiedział Dziewiątka.

– Powinno iść dobrze, kurwa jego mać – powiedział inspektor. Zdjął okulary i począł je przecierać; miał zmęczoną, zużytą twarz i worki pod zaczerwienionymi oczyma. Podniósł rękę do góry. – Nie zapominajcie, kurwa jego mać, że pracujecie dla klasy robotniczej. Na to drzewo czekają stocznie, czeka Nowa Hutą Warszawa. Jak wam będzie ciężko, to taka jego mać, pamiętajcie o tym. Pracujecie dla dobra człowieka, a człowiek, taka jego mać, to nasze najwyższe dobro... – Wskazał palcem na Dziewiątkę. – Towarzysz partyjny?

– Nie, pokerzysta. Na razie, wielmożny panie. Idę, dyc' robota na mnie czeka. Niech was Matka Najświętsza wynagrodzi za ludzkie słowo.

Znów uścisnęli sobie dłonie; Dziewiątka pokłonił się nisko, zamiótł czapką śnieg i odszedł. Inspektor nałożył okulary, spojrział triumfalnie na Zabawę i złapał go za guzik.

– Do człowieka trzeba umieć podejść – rzekł. – Znaleźć podejście do człowieka to najważniejsze, towarzyszu Zabawa. Widzicie, jak ja? Po proletariacku do niego, po naszymu, z sercem. I od razu kontakt złapałem. Chodzi o to, żeby ludzie wiedzieli i rozumieli, że ci, którzy kierują ich pracą i ich życiem, rozumieją ich samych i czują to samo. Widzi swojego i będzie robił... – Popatrzył na Zabawę z niezadowoleniem. – Dlaczego on nie w partii? Dlaczego nie zaangażowaliście? Widzicie przecież, że to człowiek nieśmiały, ale garnie się do ludzi.

Zabawa gryzł zeschłą gałązkę.

– To dobra myśl – powiedział. – Będę musiał z nim porozmawiać, tak po naszymu. Tylko widzicie, z nim pewna trudność.

– Nie ma trudności – powiedział inspektor. – Człowieka trzeba wychować, w jaki sposób? Wskazać mu perspektywę. Ot, co.

Zabawa poskrobał się w podbródek.

– Mogą być trudności z przyjęciem go do partii – powiedział.

– Można by go było na razie do ZMP, ale on chyba już za stary... Sam nie bardzo wiem, co z nim robić.

– Jakie trudności?

– On, widzicie, popadł w jakieś drobne kolizje z prawem i tego się osobiście boję. Zamordował kiedyś kochankę żony i został skazany na piętnaście lat. Tego się właśnie boję. Chociaż?... gdybyście byli jednym z wprowadzających?

Inspektor gwizdnął.

– Fatalnie – rzekł. – Fatalnie... – Znów zdjął okulary i przecierał szkła jednostajnym ruchem. – On nie może tu z wami pozostać – rzekł. – Tacy ludzie tylko rozkładają kolektyw. Wiecie: kryminalista, morderca, a tu musi być twórcza praca, trzeba uświadamiać. Może zarażać innych, a wiecie: człowiek jest naszym najwyższym dobrem i musimy o tym pamiętać. Jak przyjadę do centrali, to załatwię, żeby go zwolnili. Niech wam przyślą innego kierowcę.

– To bardzo dobry kierowca – powiedział Zabawa. – Pracuje pięć miesięcy i nie miał jeszcze ani jednego wypadku.

Inspektor tupnął gniewnie nogą.

– Ja mówię, żebyście pamiętali o człowieku – rzekł – a wy mi tu: dobry kierowca – Syknął: – Człowiek jest ważny, a nie kierowca. Ot, co...

– ...kurwa jego mać – dokończył Zabawa.

Spojrzeli po sobie.

– Tylko wy się nie łamcie, Zabawa – rzeki inspektor. Ruchem mówcy uniósł dłoń do góry.  
– Wiecie, o co walczymy. Macie trudności, to mówcie szczerze. Jak wam idzie z tymi ludźmi?

– Polubiliśmy się – rzekł Zabawa. – Atmosfera serdeczna, wieczorami sobie czytamy, dyskutujemy...

– Potrzeba wam czego?

– Tarcze sprzęgłowe są konieczne. Prawie wszystkie sprzęgła buksują.

– Z tarczami to bieda – rzekł inspektor. – Wszyscy narzekają... Może wam jakąś lekturę przysłać?

– Koniecznie – powiedział Zabawa.

Trzech tęgich ładowaczy ustawiło legary do kołowrotu i przyczepy Dziewiątki. Potem – stękając i klnąc z wysiłku – łomami podtoczyli ogromny kloc i obwiązali go stalowymi linami. Stanęli po dwóch przy każdym bębnie i poczęli kręcić. Liny naprężyły się i poczęły skrzypieć. Kloc, centymetr po centymetrze, szedł do góry. Drewniane legary jęknęły, wrzynając się coraz głębiej swymi końcami w ziemię.

– Wiosna idzie – powiedział Dziewiątka. Kloc był już na samej górze i upadł na przyczepę; resory opuściły się momentalnie. Dziewiątka otarł spoconą twarz. – Ziemia coraz miększa, widać...

– Na wiosnę będzieta mieli strasznie – powiedział jeden z ładowaczy. – Teraz jeszcze ziemia twarda, to idzie, ale potem? Jezu.

– Będzie im łatwiej groby kopać.

Znów kloc wyładował na przyczepie. Odczepili liny i podtoczyli następny. Kierujący załadunkiem leśnik – siwy staruszek z czerwonym nosem krasnoludka – podszedł do Dziewiątki.

– Ile pan weźmie? – zapytał. Począł wypukiwać o oponę krótką, szerniałą fajkę.

– Ile pan chce?

– Osiemnaście kubików pan weźmie?

– Co to jest osiemnaście kubików? Dawaj pan trzydzieści.

Leśniczemu fajka wypadła z ręki.

– Coś pan?

– Mówię poważnie.

– Nigdy pan nie chciał brać więcej jak dwadzieścia.

Dziewiątka przyciągnął go blisko.

– Uświadomiłem się – szepnął. – Trzeba pracować więcej. To zasługa tamtego. – Wskazał palcem na inspektora i Zabawę. Potem znów począł kręcić korbą kołowrotu; ludzie dyszeli ciężko, chwilami nie było widać ich twarzy, okrywała je para zmęczenia.

Inspektor spojrział na zegarek.

– Mój wóz się spóźnia – powiedział. – Co się mogło z nim stać?

– Skąd macie wóz?

– Z komitetu powiatowego. Miał tu przyjechać po mnie i zabrać do miasta. O czwartej mam pociąg...

– Może zabłądził – powiedział Zabawa. – Tu ciężko trafić, a dzisiaj taki wiatr, że może się błąkać po lesie i nie słyszy ani wozów, ani ludzi. Nie ma zresztą zmartwienia. W razie czego pojedziecie jednym z naszych wozów. Na pociąg zdążycie.

Inspektor pomyślał przez chwilę, a potem rozpromienił się. Klepnął Zabawę w plecy.

– Wiecie, że to jest myśl – powiedział. – Zobaczę, jak to idzie, pogadam sobie z kierowcą.

– Kierowca będzie bardzo zadowolony...

Pierwszy skończył załadunek Warszawiak. Chciał już zapuścić silnik, ale Dziewiątka podskoczył do niego.

– Poczekaj pół godzinki, Warszawiak. Ja już kończę, chcę lecieć pierwszy.

- Kursik?
- Komunia Święta.

Warszawiak wylazł z wozu; pochylił się nad silnikiem i począł w nim grzebać. Orsaczek odciągnął na bok Dziewiątkę.

- Spokojnie – rzeki. – Dzisiaj ja mam defekt.
  - Tylko nie w tym samym miejscu co Warszawiak.
  - Nie. Moje delko zacznie przebijać już w lesie.
- Dziewiątka poklepał go po policzku.

– Jesteś mądry chłopiec, bardzo się cieszę. Jak popracujesz nad sobą, możesz osiągnąć piękne wyniki. Człowiek to nasze najwyższe dobro.

Orsaczek wytrzeszczył oczy.

– Jak?

– To nie ja, dziecko. To on. – Wskazał palcem na inspektora. – Co do mnie, to uważam, że już najwyższy czas, aby mrówki zaczęły rządzić światem. Też by im się zresztą przewracało w głowach.

– Panie Piątka – zawołał leśnik.

Dziewiątka podszedł.

– Tylko nie piątka, tylko nie piątka... Piątka... to chyba sutenerstwo. Wypraszam sobie. O co chodzi?

Leśnik wskazał ręką nawóz; był już naładowany prawie po szczyty kłonic.

– Starczy?

Dziewiątka pokręcił głową.

– Jeszcze ze dwa kubiki.

– Po cholere to panu? Całego lasu i tak pan nie wywiezie naraz...

– Drzewo jest potrzebne – rzekł Dziewiątka. – Klasa robotnicza przysłała tu najlepszych swoich synów, aby wozili drzewo. Stocznie, burdele, miasta, fabryki i ciche sioła czekają na te bale, żeby je w twórczym trudzie przerobić na wykałaczkę, rączki do parasolek...

Staruszek spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Zwariowałeś pan dzisiaj?

– Odzyskałem coś, od czego się ludzie odzwyczaili.

– Co?

– Wolność.

Staruszek poczerwieniał ze wściekłości. Szarpnął kołnierz munduru.

– Co pan mi tu łeb truje – wrzasnął. – Ładować czy nie?

– Ładować – ryknął Dziewiątka.

Podszedł do niego Apostoł.

– Nie wygłupiaj się – powiedział. – Wiesz chyba, co to jest trzydzieści kubików?

Dziewiątka zapalił.

– Któryś ze świętych podobno w młodości był złodziejem – powiedział. – Tak nam mówił nasz więzienny kapelan. Czemuż ja nie mógłbym tą drogą zostać jednym z królów nieba?

– Bóg...

– Nie – powiedział Dziewiątka. – Nie skarzę mnie. Gdyby znalazł się razem z nami, tutaj – robiłby to samo.

Apostoł pokiwał głową.

– Coś mi się zdaje – rzekł – że masz rację, ty Świnio.

– Stworzył świat, w którym sam nie potrafiłby żyć – powiedział Dziewiątka. – Ale mimo to możesz kochać go dalej. Człowiek bez wiary jest jak więzień, który nie wie, z jakiego paragrafu siedzi: wszyscy biorą go za szpicla... – Dał znak ładowaczom. – Kończyć – powiedział.

Apostoł spojrział na niego uważnie.

– Dziwny jesteś jakiś dzisiaj. Zdaje mi się, że masz zamiar zrobić dzisiaj jakieś świństwo.  
– To można rozmaicie nazwać – powiedział Dziewiątka.  
Spiał ładunek łańcuchami, powbijał klamry i usunął klocki spod kół. Spojrzał na resory przodu i pokręcił głową: wyginały się jak luki.  
– Radzę ci, zrzuć trochę – powiedział Apostoł.  
– Nie – rzekł Dziewiątka – Raz w życiu naprawdę przejadę się z drzewem. Polubiłem je...  
– Spojrzał na Apostoła z boku. – Cały kurs idzie na lewo – powiedział. – Odczep się ze swoimi radami.  
Wsiadł do kabiny i począł rozgrzewać silnik. Inspektor spojrział na zegarek.  
– Już chyba nie przyjedzie – rzekł do Zabawy. – Który tam jedzie pierwszy?  
– Chwilę.  
Poszedł wzdłuż wozów; Dziewiątka ruszał już z miejsca.  
– Lecisz pierwszy?  
– Tak.  
– Inspektor pojedzie z tobą. Wyszadzisz go przy stacji. Po drodze.  
– Dawaj go.  
Zabawa zawahał się.  
– Słuchaj – rzekł. – Zroluj plandekę i opuść szybę, dobrze?  
– Po jaką cholere mam marznąć? Nie ma wielkiego śniegu.  
– Tamten ma astmę – powiedział Zabawa – i górskie powietrze dobrze mu robi.  
– Chcesz, żebym sobie odmroził pysk?  
– Będzie mniej gadał.  
– Dobrze. Jeśli partia tego żąda...  
Począł zwijać plandekę nad szoferką. Zabawa powrócił do inspektora.  
– Pojedziecie z Dziewiątką. Ten, który wam się nie podobał...  
Inspektor skrzywił się.  
– Z nim? Niech to diabli... – Znowu rzucił rozpaczliwe spojrzenie na zegarek. – Nie ma rady, psiakrew. Muszę jechać z nim, inaczej pociąg mi ucieknie.  
Uścisnęli sobie dłonie.  
– Czołem, towarzysze – krzyknął inspektor. – Wszystkiego dobrego.  
– Znacie, towarzysze, Krupę? – zapytał Warszawiak.  
– Nie.  
– To...  
– Odejdź, Warszawiak – powiedział Zabawa. Odepchnął go i usadowił inspektora obok Dziewiątki. – Jazda...  
Dziewiątka włączył bieg; ciężki wóz ruszył z trudem, miażdżąc ziemię. Popatrzyli za nim.  
– Zwariował chyba – powiedział Zabawa; wóz Dziewiątki kołysał się jak pijany. – Po co tyle naładował... – Zwrócił się do Warszawiaka: – Kto jedzie następny? Ty?  
– Ja – powiedział Orsaczek. – Jeszcze mi trochę dołożą i jadę.  
Amortyzatory przodu siadły, jakby w nich nie było ani centymetra płynu. Wóz szedł twardo i kierownica waliła w ręce Dziewiątki; już po kilometry od ciągłych wstrząsów wściekle zaboląły go barki. Odwracał co chwila głowę i patrzył na inspektora; ten przy każdym wstrząsie dzwonił zębami i chwycił się rozpaczliwie taśm ochronnych.  
– No, jak tam? – zapytał Dziewiątka.  
– Co... co? – wydzwonił inspektor.  
– Humorek jest?  
– Czy ten las nigdy się nie skończy?  
Przód zakołysał, inspektor wyrzucił głowę o pałąk plandeki.  
– Skończy się. Już dzisiaj.  
– Jak to: dzisiaj?

- Ja sam się dziwię.
- Mówcie poważnie – warknął inspektor.
- Dziewiątka spojrział na niego.
- Poważnie. Szosa będzie za kilometr.

Drzewa już rzedły. Przejeżdżali teraz przez najgorszy odcinek drogi; jeździli tędy jesienią, zamieniając drogę w bagno; potem chwycił gwałtowny mróz i droga pełna była twardych dołów i kolein. Resory dzwoniły o ramę; Dziewiątka jechał na pierwszym biegu, prawie do połowy wychylony z kabiny; oglądał uważnie każdy kawałek drogi i starał się wybierać najlepsze miejsca do przejazdu. Kiedy w końcu błysnęło pasmo szosy, Dziewiątka od stałego manewrowania kierownicą był tak wyczerpany, że musiał przystanąć.

Inspektor poruszył się nerwowo.

- Co jest?
- Silnik się zagrzał.
- Człowieku, śpieszy mi się na pociąg.
- Pogadaj pan z silnikiem, mnie się też śpieszy, będę panu wdzięczny.

Kurek chłodnicy po kwadransie przestał dymić i ruszyli dalej. Jechali pustą, zaśnieżoną szosą wysoko nad lasem i widzieli teraz czerwono zachodzące słońce. Pod nimi, w dolinach i jarach, kotłowały się ciemniejące już mgły.

– Stańcie na chwilę – powiedział po jakimś czasie inspektor.

– Co jest?

– No co? Pi pi.

– Pi pi? Nasi chłopcy odlewają się w biegu.

– Bez żartów – powiedział drżącym głosem inspektor; był siny z zimna, tylko uszy jego płonęły jak dwie gwiazdy.

Dziewiątka nacisnął pedał hamulca; wóz biegi jednak dalej. Z całej siły pociągnął za ręczny i wtedy dopiero – po wielu metrach – wóz niechętnie przystanął.

– Jasna cholera – warknął Dziewiątka.

Wyskoczył z kabiny i wśliznął się pod wóz; inspektor patrzył ogłupiały i słuchał klątw Dziewiątki. Ten w końcu wylazł.

– Hamulce poszły spać – rzekł.

– Co się stało?

– Dobił na jakimś przeskoku i resor przeciął mi przewód. Cały hydrol wyciekł.

– A ręczny hamulec? – powiedział nieśmiało inspektor.

Dziewiątka przysiadł na stopniu.

– Ręczny? Na dwadzieścia ton? Raz pociągnę i już po ręcznym.

– Więc co?

Dziewiątka usiadł za kierownicą.

– Jadę dalej – powiedział. – Muszę być pierwszy w mieście, tak czy tak. Tam sobie coś pokombinuję.

– Poczekajcie lepiej na tamtych.

– Oni tędy będą jechać za dwie godziny.

– Dopiero? Dlaczego?

– Pracujemy kolektywnie. Jak jeden robi lewy kurs, to reszta ma defekty.

Inspektor nie dosłyszał; wiatr porwał tumany śniegu i kołował nimi po szosie. Mówił coś do Dziewiątki, lecz usta jego poruszały się niemo.

Kiedy wreszcie wiatr ścichł nieco, inspektor wrzasnął do Dziewiątki:

– Klakson, klakson...

– Odejdź pan od wozu o dwa kroki – wrzasnął Dziewiątka.

Inspektor posłuchał go; stał przez chwilę, rozglądając się nieprzytomnie, potem podszedł do Dziewiątki.

– No i co?

– O to chodzi, że nic. Cały czas trzymałem rękę na sygnale. Słyszał pan coś?

– Nic. To są góry. Kiedy jest taki wiatr jak dzisiaj, można o trzy kroki strzelać i...

Znów zakłębiło się wszystko. W jednej sekundzie szosa stała się niewidoczna; olbrzymie masy śniegu kołysały wściekle i patrzącym zdawało się, iż to jest ostateczny kształt świata; a w pewnej chwili wiatr zwałił się w dół, szarpnął tam zeschnięte krzaki; tu, na górze, wokół wozu stężała nagle cisza – miękka i śnieżna, nabrzmiała zimną słodyczą – i znów inny świat wydawał się bajką.

– Dostyc tego – powiedział Dziewiątka. – Ja jadę... – Spojrzał na niebo; czerwona kula malała. – Nie będę się włókł po ciemku bez hamulców. Mam zaszczyt pożegnać pana.

Włączył ze zgrzytem bieg; inspektor wskoczył w ostatniej chwili. Dziewiątka rozpedził wóz; niby ogromny nóż, tnąc powietrze, podjeżdżał pod wysokie wzniesienie; byli coraz bliżej słońca, widzieli coraz więcej zalanej czerwonym światłem ziemi, i w pewnej chwili to lodowate, czyste słońce wydało im się nawet ciepłe, a kiedy znaleźli się już po drugiej stronie wzniesienia, ujrzeli idącą środkiem szosy grupę żołnierzy pogranicza. Dziewiątka położył dłoń na sygnale, lecz wielki wóz był w ramionach wiatru małym kotem; Dziewiątka usłyszał zaledwie żałosny pisk. Żołnierze ryczeli:

*Partia, co gromi faszystów*

*Partia orędziem mas.*

*Do socjalizmu – prowadzi nas.*

*Zwycięski krok...*

– Nagła cholera – powiedział cicho Dziewiątka.

Przełączył bieg na czwórkę, potem na trójkę i słyszał straszny, wdzierający się światłem bólu pod czaszkę jazgot skrzyni biegów – lecz nie słyszeli go tamci; byli o kilometr pod nimi, szli w największym wietrze, akanty ich okutych nart, lufy automatów i podkówki butów błyszcząły wesoło w zachodzącym słońcu. Dziewiątka ściągnął ręczny hamulec; przez chwilę wóz biegł wolniej; potem uczuł swąd spalonej taśmy ferrodą i znów rozjazgotała się wściekle skrzynia biegów. A potem, u najwyższego jej tonu – kiedy całą mocą swego ciała przerzucił bieg na dwójkę – pod nogami Dziewiątki jęknęło niewytrzymałe ogromnego ciężaru sprzęgło i wóz ruszył jak oszalały; i już po kilku metrach strzałka szybkościomierza waliła o sztyft.

I wtedy przyszedł spokój. Dziewiątka stężał; wychylił głowę i widział z obu stron szosy przepaść – piękny jar, na którego dnie wiosną rosły dziwne czerwone kwiaty o żółtych łodygach, gdzie rosła trawa – pachnąca, gorąca i miękka, którą kołysał łagodnie ciepły leśny wiatr; ta czarna, pełna zeschniętych krzaków przepaść, pełna oblodzonych kamieni na jej głębokim dnie, skąd niebo nad górami wydawało się jeszcze czystsze i jaśniejsze; ta wypełniona ostrym, dzikim wiatrem pustka ciągnęła się daleko. Chwycił kierownicę i chciał z całej siły przerzucić ją w bok, kiedy koło zamarło nagle; inspektor wisiał na szprychach. Jego twarz rozciągnął wiatr i to były tylko wielkie, sine usta.

– Nie – zawył. – Nie... Prosto...

Zaparli się nogami w żelazo podłogi, aż zatrzeszczały kości ich stóp, kolan i łądzwi; ciągnęli ku sobie koło sterowe i wóz tańczył od jednego do drugiego krańca szosy, w szumie coraz większym. Inspektor schylił nagle głowę i wgryzł się w przegub Dziewiątki; ten osłabił na chwilę i pędzili wprost na idących – rozspiewanych i głuchych od wiatru. Potem Dziewiątka wyszarpał się; chwycił leżącą pod nogami łyżkę od opon i ciosem, który siłą brał ze wszystkich chwil jego życia, roztrzaskał głowę tamtemu; na kolana opadła mu miazga. Ostatnie, co czuł, to nagle ciepło swoich rąk. Spojrzał na nie – były czerwone; spojrzawszy na

zachodzące słońce, na czerwone podkówki tamtych, potem – rozbijając na łupki swoimi trzydziestoma tonami ochronne, białe słupy – runął w ciemny szum.



## Wszystko w mieście

– Szarlota – powiedział Warszawiak.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, ręce zatknął za pas. U jego ramienia wisiał miotany falami torsji Orsaczek, oczy miał błędne, a usta fioletowe. Korzystając z tego, że wszyscy patrzyli na spiętrzoną kupę żelastwa i potrzaskanego drzewa, Apostoł pociągnął spory łyk; stał z odkrytą głową, a wiatr rozwiewał jego brudne siwe włosy. Partyzant przykucnął nad szczątkami silnika; blok pęki i oliwa zakrzepła na śniegu razem z krwią.

– I co się właściwie stało? – zapytał Zabawa.

Warszawiak przestał się kołysać. Zmrużył oczy.

– Nigdy się tego nie dowiemy – rzekł. Zwrócił się do Zabawy: – Ty pewnie jesteś na niego wściekły, co?

– Czemu?

– Został ci winien osiem dni.

– Odbierze je sobie w piekle – rzeki Apostoł. – Wracajmy, chłopcy.

Warszawiak schylił się nagle i podniósł coś z ziemi. Była to maskotka Dziewiątki; czaszka z czerwoną wstążeczką – Pawełek. Podrzucił ją na dłoni.

– Pawełek – rzekł. – Miał mu przynieść fart. A za dziesięć dni nikt ich nie rozróżni... – Zamachnął się nagle, lecz rękę jego przytrzymał Partyzant.

– Zostaw, ja go wezmę... – Zaj rżał Warszawiakowi w twarz. – Jesteś przesądny?

– Nie – powiedział Warszawiak. – Ale kiedy patrzę na niego, to tak jakbym się przeglądał w lusterku... – Zawahał się. – Nie lubię swojej twarzy – rzekł.

Partyzant odebrał od niego Pawełka.

– Boisz się po prostu.

– Tak samo jak i ty... – Odrzącił Orsaczka. – Przestań już rzygać, do cholery. Przyjemnie ci będzie, jak ktoś zacznie bluzgać wiktem nad twoim grobem?

Wiatr uciszył się nagle; spadł w dolinę i odsłonił na chwilę wyszczerzone zęby i szkliste oczy inspektora. Dziewiątka leżał na boku, podkurczywszy pod siebie dzieciennym ruchem nogi. Odwrócili się.

– Zrobię jutro krzyż – powiedział w zamyśleniu Apostoł – i postawię w tym miejscu. Napiszę: „Tu zginął...” – Umilkł nagle.

– Nic nie napiszesz, Apostoł – powiedział Zabawa. – Jutro przyjedzie komisja i zabiorą go. Jeśli Bóg nie widział dzemsa, tym bardziej nie zobaczy krzyża. Idziemy.

Poszedł pierwszy, a wiatr targał jego kozuchem. Włosy miał obsypane śniegiem, który zakrzepł. Warszawiak skrzywił się ze wstrętem; teraz – w czerwonym i złym świetle zachodzącego słońca – głowa Zabawy przypominała Dziewiątkę.

– Zabawa.

Odwrócił się. Twarz miał pustą, jakby jakaś niewidoczna siła zmasał a jej rysy.

– Tak.

– Ratuj ludzi.

– Jak?

– Niech odejdą stąd żywi.

Milczał. Żyła na czole zgrubiała mu nagle i pulsowała gorąco pod stężałą skórą. Słońce uciekło i głowa jego zgasła.

– Póki żyją, zostaną tutaj.

Apostoł pochylił się i dotknął twarzy Dziewiątki; była sztywna, jakby napięta. Patrzył przez chwilę w milczeniu, potem poczłapał do samochodu; czapkę wciąż jeszcze trzymał w swej ogromnej, grubej łapie. Potykał się niezdarnie, raz nawet upadł.

– Stary jesteś – powiedział Partyzant. – To powinno spotkać ciebie, Apostoła.

Podniósł się. Otrzeptał ręce ze śniegu.

– Masz rację – rzekł.

Szli obok siebie; Apostoła dyszał ciężko; Partyzant biegł lekko, jakby nie czując góry. W pewnym momencie nadłamał gałązkę jakiegoś krzaka i wbił w nią zęby; język ścierpł mu od gorzkiej zieleni.

– Wiosna idzie – powiedział. Splunął zielonkawym sokiem. – I, w górach, drzewa prędej odżywają. Ja się na tym znam, chłopcy...

Wieczorem Warszawiak usiadł przed lusterkiem. Oskrobał twarz z wielodniowego zarostu, potem sięgnął do swego kufra. Wyciągnął stamtąd granatowy garnitur w białe paski, żółtą koszulę, czerwony krawat i jadowicie brązowe buty. Na głowę założył jasną cyklistówkę.

– Odstawiłeś się jak stróż w Boże Ciało – powiedział Orsaczek.

– Dokąd?

– Do miasta.

– Chcesz się pobawić?

– Nie.

– Więc?

Odwrocił głowę; patrzył przez chwilę w lusterko. Tam spotkały się ich oczy; jego – puste i wstrętne; jej – mroczne, jakby nasycone ciemnym światłem.

– Jadę na dziwki – powiedział Warszawiak. Światło jej oczu pozostało nieruchome. – Na kurwy – powiedział; lusterko pozostało martwe. – Przespać się z jakąś szmatą... – szepnął.

Partyzant skrzywił się.

– Akurat dzisiaj?

– Taki sam dobry dzień jak i każdy inny... – Podniósł głowę. – Przypomniał mi się Dziewiątka – rzekł.

– I dlatego jesteś na musie?

Warszawiak wstał. Przeszedł parę razy po izbie, aby sprawdzić, czy nie piją go buty; skrzypiały cienko i żałośnie. Znów przysiadł przed lustrem i poprawił czapkę; tak czy inaczej – przede wszystkim widziało się jego krogulczy nos.

– Dziewiątka opowiadał mi o swojej ostatniej dziwce – powiedział.

– Nie jestem gorszy od niego. Diabli wiedzą, czy pojeżdżę jeszcze tydzień. Nie chcę iść do ziemi ze spermą w mózgu; potem kwiatki na grobie wędną. Dziewiątka tego uniknęła...

– Ty to jak dziecko – rzeki Apostoła i spojrzał surowo. – Tobie tylko kurwa i wódka w głowie. Wiesz.

Wstał dopiero wtedy, kiedy w lustrze zgubiły się jej oczy. Wyciągnął kozuch, wziął wiaderko z gorącą wodą i wyszedł. Kiedy wlewał wodę do chłodnicy, para uniosła się w fioletowym świetle księżycy jak srebrny welon.

– Nic nie wiedziałam, że Dziewiątka miał dziewczynę – powiedziała Wanda.

Odstawił kubeł.

– Nie znałaś go prawie.

– Daleko?

– Co?

– Czy daleko była ta dziewczyna.

– Blisko.

– Nigdy o niej nie mówił.

– Nie mógł mówić przy wszystkich.  
Milczała chwilę.  
– A tobie mówił?  
Zaśmiał się głucho. Włączył reflektory; widział teraz jej twarz w ostrym, białym świetle; zgasił je dopiero wtedy, kiedy odwróciła głowę.  
– Mówił mi wszystko – rzekł.  
Ziemia zadudniła, a po chwili był już daleko; omiatał reflektorami korony oblodzonych drzew, potem zamknęła się nad nim ciemność.  
– Marzenia?  
Odwróciła się; Partyzant stał przed nią, bawiąc się rękawicami.  
– Ten człowiek zabije się chyba – powiedziała.  
– Warszawiak?  
– Tak.  
Wzruszył ramionami.  
– To wariat.  
– Nie tylko on – powiedziała. – Kiedy patrzę na was, myślę sobie po prostu, że jesteście bandą idiotów... – Przynęła się o krok bliżej i teraz czuł na twarzy jej czysty oddech. – Choćby ty – rzekła cicho. – Jesteś młody, zdrowy, inny od nich...  
– Inny?  
– Lepszy. Mógłbyś mieć dom...  
Zachnął się.  
– I co w tym domu?  
Pokręciła głową.  
– Tak mówisz, bo nigdy go nie miałeś. Mógłbyś się jeszcze uczyć, zostać ważnym człowiekiem... Pomyśl, byłeś w lesie przez tyle czasu, naraziłeś życie, nie spałeś i nie jadłeś, marnowałeś zdrowie, byłeś odważny...  
– Skąd wiesz, że byłem odważny?  
Uśmiechnęła się.  
– Kiedy patrzę na ciebie, nie mogę nawet myśleć, że było inaczej. Czy to nie głupie marnować wszystko... tutaj? Jesteś sam i dlatego tak mówisz... – Nagłym ruchem wyciągnęła rękę i poprawiła mu szalik. – Zazębisz się – rzekła. Poszła spokojnie do baraku, Partyzant patrzył na nią; chodziła miękko, płynnie i cicho jak młody kot. Kopnął ze wściekłością jakiś kamień; z bólem kostki pokuszył się za nią.  
– Zagramy? – spytał Orsaczek.  
– W co?  
– Normalnie.  
Apostoł zgrzytnął zębami.  
– Czym za co?... – Pogroził pięścią Zabawie. – Ty byś sobie pograł na dni, co?  
Otworzył oczy. Światło naftowej lampy kołysało się – dalekie jakby i nieprawdziwe; i trwało długą chwilę, nim ujrzał wyraźnie żółty płomyczek.  
– Każda gra jest dobra – powiedział z trudem. Odwrócił głowę od ściany. Ich głosy brzmiały jak brzęczenie muchy za szybą.  
– Jak tylko przyjedzie Buźka z forszą, więcej stąd – powiedział Apostoł. Wciągnął na siebie kożuch. – Chodź, Orsaczek, pojedziemy do miasta.  
– Po diabła? Nie mamy przecież forsy...  
– Dobrzy ludzie skredytują... – Popatrzył ciężkim wzrokiem na Zabawę. – Ile dla ciebie warta jest moja dusza, Judaszu?... Ty, Zabawa.  
Znów otworzył oczy.  
– Nie jestem zbawicielem.  
– Wierząca, konserwowana spirytusem dusza. Ile?

– Mogę ci pożyczyć... tysiąc złotych.

Apostoł wziął pieniądze.

– Bóg ci tego nie zapomni.

– Wolę, żebyś ty pamiętał: to pożyczka.

Wyszli.

– Słuchaj, Zabawa – powiedział Partyzant. – Możesz mi dać spluwę i ze trzy naboje?

– Po co to potrzebne?

Partyzant westchnął.

– Polubiłem Dziewiątkę – rzekł. – Nie chciałbym, żeby w nocy rozciągnęły go wilki.

Posiedzę do rana. Poczekam na komisję.

– Masz...

Partyzant wziął latarkę i rewolwer. Wyszedł.

– Chodź tu do mnie – powiedział.

Usiadła na łóżku.

– Kładź się.

– Mamy jedno łóżko wolne. Nareszcie się wyśpisz.

– Połóż się tutaj... obok mnie.

– Chcesz jutro wyjechać? Wrócić?

Podniósł się.

– Wrócić? Teraz? Bez człowieka, bez samochodu, bez drzewa. I co mam powiedzieć. „Nie potrafiłem”, „nie umiałem”, „zawiodłem”... Nie ma drzewa, nie ma zaufania, nie ma Dziewiątki... Znasz te słowa? Wiesz, co mam im powiedzieć? Ja nie wiem... – Upadł z powrotem na łóżko. – Nie. Dopóki mam jeszcze wóz, trochę siły, zostanę tutaj.

– I rewolwer.

– I rewolwer także.

Wstała.

– Dobranoc.

Złapał ją za rękę i chciał przyciągnąć do siebie, lecz była silniejsza i odtrąciła go. Światło zgasło; huknął daleko pierwszy strzał.

Warszawiak minął kościół wbity wieżami w zamglone niebo i zatrzymał się w ciemnej uliczce. Spuścił wodę z chłodnicy, potem wszedł do bramy; potykając się, brnął przez długą sień, wreszcie – przyświecając sobie zapalkami – trafił do drzwi. Długo walił, wreszcie usłyszał człapanie.

– Kto? – zapytał głos kobiety.

– Ja.

– Co za ja?

– Warszawiak.

Chwilę trwała cisza. Pisnął nadeptnięty kot.

– Nie jestem sama.

Kopnął, aż się wszystko zatrzęsło.

– Szybko.

Drzwi uchyliły się nieco, napał ramieniem i wszedł.

– Nie jestem... – zaczęła kobieta. Biło od niej ciepło nagrzanego łóżka.

Milcząc, wyrwał z jej rąk lampę. Minęli kuchnię i weszli do pokoju. Jakiś człowiek leżał w łóżku, rozpaczliwym ruchem naciągnął kołdrę na głowę; spod kołdry wystawały teraz stopy w fioletowych skarpetkach. Warszawiak postawił lampę na stole i usiadł.

– Jesteś pijany, Warszawiak – rzekła kobieta. Poprawiła światło lampy, ręce jej drżały.

– Dlaczego on nie zdjął skarpetek? – zapytał Warszawiak.

– Kto?

– W łóżku.

– To narzeczony.

Mówiła coś jeszcze; szybko i dużo, spod kołdry wtórował jej piskliwy głos. Warszawiak milczał; siedział, podparłszy głowę rękami, nie rozumiał i nie słyszał nic. Nagle sparzył go własny papieros, szarpnął się. Chwilę patrzył nieprzytomnie, potem wstał.

– Dlaczego nie zdjąłeś skarpetek? – zapytał cicho.

Skoczył do łóżka; zerwał kołdrę, skulonego człowieka złapał za włosy i kopniakiem wrzucił do korytarza. Na krześle wisiało jego starannie złożone ubranie; rzucił je za nim z krzesłem. Potem usiadł przy stole.

– Okno – powiedział. – Otwórz szeroko okno i dawaj czystą pościel. Wszystko: prześcieradło i powłoki. A jutro mogę się z tobą ożenić...

Miała tępe oczy i ciężką szczękę. Patrzyła na niego, marszcząc czoło.

– Ty naprawdę zwariowałeś, co?

– Okno...

Wyciągnął patefon. Kręcił bezmyślnie korbą, patrząc na krzątającą się kobietę; biegła po pokoju, szeleszcząc pościelą, niby wielki ptak o krowiej głowie. Płyta poczęła się kręcić i patefon zachrypiał nagle; tenor począł dudnić piosenkę o bzach. Kobieta przystanęła.

– Co ci się stało, Warszawiak?

Podniósł z wysiłkiem głowę; gdzieś u nasady karku tkwiła tona płynnego ołowiu. Patrzył na nią chwilę, potem przeniósł wzrok na czarną płytę, po której biegło tłuste światło lampy.

– Kładź się – rzekł. Nie rozumiał słów tenora, nie widział twarzy kobiety, melodia wydawała mu się tylko skłóconym brzękiem: był zmęczony i to wszystko. Zasnął szybko jak zdmuchnięty płomień.

Miasto było puste. Jechali wzdłuż ciemnych okien sklepowych i zamkniętych na głucho bram; przez wymarły plac przywalony fioletowym cieniem kościoła, potem skręcili w ulicę tak wąską, że koła biegły tuż przy krawężnikach. Na końcu ulicy, omotana mokrym śniegiem, kołysała się szklana kula z napisem: „Bar”. Zatrzymali wóz.

– Bierz zapas – rzekł Apostoł. – Ja wezmę korbę...

Pchnął drzwi; wtoczyli koło do środka. Szatniarz, jak porażony prądem, zerwał się z krzesła; wybiegł im naprzeciw i rozkrzyżował ramiona.

– Panowie zwariowali?

– Nie – powiedział Apostoł. Tracił go brzuchem i szatniarz oparł się o ladę. – Przyjechaliśmy zwariować. Bierz pan koło i na numerek...

– Z kołem do lokalu?

– Jak rąbną, będziesz pan płacił?

Zdjęli kożuchy i weszli na salę. Kilka par kręciło się w tangu; tańczyli brzydko i nie w takt. Muzykanci mieli spocone twarze, skrzypkowi głowa kołysała się ze zmęczenia, refrenista chrypiał, przyciskając tłustą dłoń do piersi. Apostoł i Orsaczek usiedli; kelner ziewnął i podniósł się od swego stolika.

– Dla panów?

– Butelka.

Przyniósł ją po chwili. Apostoł nalał.

– Twoje.

– Twoje.

Odstawili kieliszki, oczy Orsaczka przysłoniła mgła.

– No? – zapytał Apostoł.

– Z czym?

– Zabawa jest?

– Gdzie?

– Tu, durniu. Przecież nie tamten.

– Ma się rozumieć...

Milczeli. Orkiestra znów poderwała do tańca zgrzane pary. Kelner, który ich obsługiwał, popadł w drzemkę.

– Słuchaj, Orsaczek – powiedział Apostoł. – Pamiętaj o jednej rzeczy; my to my. Rozumiesz?

– Tak.

– To nalej. Zdrowie.

– Zdrowe.

– Wymienić? – zapytał kelner. – Za godzinę zamykamy...

– Dawaj pan.

Znów wypili i znów milczeli. Za oknami kołysała się noc: lodowata i ciężka od śniegu. Tu było duszno; wentylator kręcił się drętwo w tym samym powietrzu, sennym od dymu, kwaśnym od alkoholu, ciężkim od nieświeżych oddechów.

– Apostoł?

Uniósł grube powieki.

– Co?

– Będę miał tę taksówkę?

Uśmiechnął się.

– Synu, czy ty nie rozumiesz?

– Czego?

– Po diabła ci to?

– Chcę żyć.

– Jak?

Orsaczek popatrzył na niego. Odepchnął kieliszek.

– Stary durniu – rzekł. – Możesz mnie uderzyć.

Apostoł uśmiechnął się.

– Co chcesz zrobić?

– Wrócić do miasta... – powiedział Orsaczek. Trzasnął pięścią w stół. – Wrócę do miasta.

Podszedł kelner.

– Zamykamy...

Obliczył szybko zgryzionym ołówkiem; została im połowa.

– Wrócę do miasta – powtórzył uparcie Orsaczek. – Wrócę...

– Jesteś przecież w mieście.

– Tu?

– Właśnie.

Pokręcił głową.

– To nie jest miasto.

– Wszystkie miasta są takie same – powiedział Apostoł. Patrzył przez chwilę na zwitek banknotów, potem kopnięciem przewrócił stół. Oddał kelnerowi resztę pieniędzy. – Kiedy będziesz miał swój wózek – powiedział – kiedy będziesz zarabiał kupę forsy, będziesz mógł codziennie sobie na to pozwolić. – Wskazał na potłuczone szkło. – I to wszystko.

Na ulicy Orsaczek wyrwał się Apostołowi; począł z dzikim szlochem biec przed siebie, roztrzaskując rękami powietrze. Apostoł dogonił go dopiero przy moście. Zatrzymał wóz.

– Siadaj.

Jechali w milczeniu. Świt był żółty i mglisty, jak kozuch tężał nad mokrym śniegiem dachów.

– Apostoł.

– Co, synu?

- Ja jednak będę miał ten wózek.
- Będziesz miał – mignęła tablica zakrętu, na furce spał pijany chłopek – i będzie ci dobrze. Lepiej niż nam... lepiej niż nam... lepiej niż nam.
- Orsaczek położył głowę na wielkim brzuchu Apostoła i zasnął.

Było już prawie widno. Kobieta wyciągnęła rękę i odsunęła firankę.

- Zasłoń – powiedział Warszawiak.
- Po co tu przyszedłeś? – zapytała Poruszyła się nagle; głowa Warszawiaka ciążyła na jej ramieniu.

– Kochać.

– Kochać – syknęła. – Dużo kochałeś. Dlaczego nie możesz?

– Stul mordę.

Odsunęła się nagle.

– Chory jesteś czy co?

– Mówię ci, żebyś zamknęła pysk.

– Kiedyś mówiłeś inaczej, ty chamie. Przypomnieć ci? Kochana, kochanie...

– Do każdej kurwy mówi się: „kochanie”. Mogę zresztą mówić inaczej. Jak się nazywasz?

– Nie pamiętasz już?

– Kicia?

– Nie.

– Luba?

– Nie.

– Więc czego się czepiasz? Zawsze się nazywacie lalki albo kicie, albo mile...

– Nazywam się Dziunia.

– Widzisz, co za różnica? Kim była święta Dziunia? Taką samą dziwką jak i ty?

– Dziunia to zdrobniale.

– A naprawdę?

– Wanda. Wandziunia...

Odsunął się nagle i popatrzył na nią. Miała białą miękką twarz i ślady własnej szminki na okrągłej, krótkiej szyi; miała jasne, twarde i pokręcone od maszynek włosy, oczy prawie białe, ledwo zabarwione, a ramiączka różowego stanika wrzynały się głęboko w jej pulchne ciało. I była ciepła, i miękka, trochę spocona pod ciężką kołdrą i mógł robić z nią, co chciał, gdyż za każdym jego poruszeniem rozchyłała pokornie nogi, nie zmieniając ani wyrazu twarzy, ani oczu, ani pozycji swego pragnącego snu ciała; i wiedział już, że jego przyjazd był daremny; i że teraz będzie jeszcze gorzej. Zamknął oczy.

– Nie nazywasz się Wanda – powiedział.

– Jak to nie?

– Nie. Zapomnij o tym.

– Właśnie że Wanda.

– Kłamiesz.

– Wanda.

– Kłamiesz.

– Wanda.

– Dobrze – powiedział.

Uniósł się nieco. Zapalił papierosa.

– Tak myślisz?

– No pewnie. Wanda.

Usiadł na łóżku.

– Chodź tu – powiedział. – Uklęknij.

– Po co?

– Jak to po co? Przecież to jest wasz prawdziwy sakrament. Uklęknij, Wandeczko. Uklęknij i połów mi głowę na kolanach.

Wstała niechętnie.

– Myślisz, że tu Paryż? Masz zachcianki, Świnio...

Otworzyła usta, a wtedy wsadził jej zapalonym końcem papierosa; ścisnął jej głowę udami i rękami. Szamotała się rozpaczliwie, miotając swym ciężkim ciałem, z wyrazem męki w dzikich oczach; potem, kiedy papieros musiał już zgasnąć – poznał to po białych bąblach na ustach – puścił ją.

– Nazywasz się od dzisiaj Klaryssa – powiedział. – Pamiętaj o swoim chrzestnym ojcu. Żegnaj, córeczko.

Śnieg był mokry i pryskał spod kół. Wyjechał z miasta i pędził szosą przez spalone, puste wsie, gdzie nikt nie mieszkał, i patrzył, jak słońce przedziera się przez mgły i złoci czarne zgorzeliska – sterczące niby kości kominy, szczątki ścian, gdzieniegdzie jeszcze kolorowych – i puste strychy, z których podmuch detonacji zerwał dachówki; potem wjechał w las i czuł już duszącą wilgoć odtajających drzew i słuchał zgiekliwego wrzasku przebudzonych ptaków; a potem był już w górach – blisko powalonego we śnie Diabła, Boga i wiatru i całymi kilometrami pędził prosto w złotą kulę słońca znieruchomiłą nad szczytami; i był coraz bliżej wszystkiego, od czego pragnął być jak najdalej.

Zatrzymał wóz. Ciężkim krokiem poszedł do baraku i upadł na pryczę, nie zdejmując ubrania.

– No i jak? – zapytał Orsaczek.

– Opowiem ci kiedyś. Daj mi spać.

– Bo myśmy, bracie, zabawili się...

– Spać.

– Wyjeżdżamy. Już jest poranek.

– Głupcy wierzą w poranek. Spać.

Orsaczek stanął w drzwiach.

– Ej, ty bradiago. Myśmy się bawili i...

Zatrzasnął drzwi; but stuknął w deskę.



## Bohaterowie i dziewczyny

Od czterech dni Partyzant nie wychodzi! z baraku; przeziębił się ciężko owej nocy, kiedy z rewolwerem pilnował zwłok Dziewiątki i inspektora. Gapił się w okno, widział, jak rozgrzany słońcem śnieg tysiącami żółtych strumyczków spływa z doliny, odsłaniając ziemię: czarną i mokną, w której olbrzymie koła samochodów grzęzły teraz po osie; potem widział, jak rusza strumień – tydzień temu jeszcze skuty lodem i milczący, teraz płynął szeroko po płaskich, szarych kamieniach, bełkocąc monotennie i głupio; przelewając się w słońcu niby wielka, tłusta i połyskliwa ryba; Partyzant słyszał, jak cisza w dolinie z białej i martwej stała się nagle kolorowa i żywa, a kiedy obudził się pewnego ranka, wyraźnie widział zieleniejące gałązki.

– Otwórz okno – powiedział do Warszawiaka.

Okrył się szczelnie kocem i wychylił głowę; powietrze było wilgotne i kleiste, wiatr pachniał igliwem. Dalekie szczyty obmyły z resztek śniegu gwałtowne deszcze; nagie i czarne, rysowały się ciężko na tle bladego nieba.

– Teraz Bóg wstaje wcześniej – powiedział Apostoł.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie wiem.

Warszawiak zamknął okno.

– Długo będziesz się jeszcze wylegiwać?

– Mam gorączkę.

– Mnie się zdaje, że ty co innego masz.

– Powiedz.

– Nie wiem, jak się ta choroba nazywa... Śliskie drogi, zakręty...

– Bydlę!

– Stul pysk!

– Pomódlcie się lepiej – rzeki Apostoł. – Mówię wam: Bóg teraz wstaje wcześniej i musi was widzieć. Ja to czuję.

– Przestańcie bredzić – powiedział Zabawa. Dopił kawę i wstał od stołu. – Wyjeżdżamy. Chodź, Apostoł.

– Która może być godzina?

– Nie wiem. Nie mam przecież zegarka.

– Dziewiątka miał zegarek. Ale teraz już na trybikach kwiatki rosną. Chodź, Apostoł...

Apostoł siedział na swojej pryczy nieruchomy jak posąg. Patrzył z uporem w jakiś jemu tylko wiadomy punkt.

– Ciągle nie mogę zrozumieć – rzekł.

– Czego?

– Jak ci się udało wtedy tyle wygrać.

– Co tu jest do zrozumienia?

Apostoł uderzył pięścią w stół: Orsaczkowi kawa chlusnęła na twarz, a Warszawiakowi skoczyła ręka z brzytwą – na policzku pozostała kreska.

– Jest – powiedział Apostoł. – Tyle lat gram w pokera, a jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. To mi się w głowie nie mieści.

– A Bóg ci się mieści?

– Tak. Ma się rozumieć. Bóg – to w porządku.

– A ten poker nie?

Pokiwał przecząco głową.

– Poker – nie.

– Widocznie ten poker był większy od Boga – powiedział Warszawiak. – Powinieneś modlić się do kart. Niektórym to pomogło. Prawda, Zabawa?

– Prawda. Jedziemy, jedziemy...

Wyszli na dwór; mrużąc oczy, z trudem brnęli przez potężne błoto; teraz dokoła było błoto – na drogach, górach, w lesie i w dolinach.

Osie, stopnie i ramy samochodów zmieniły kształt; wszystko pokryte było twardą, szarą skorupą.

– Ja już teraz nie wiem, jak jeździć – powiedział Orsaczek do Warszawiaka, patrząc smutnym wzrokiem na swój samochód. – Pół drogi muszę piłować na trzecim biegu. Wczoraj mi się woda zagotowała w chłodnicy. Jeśli pociągnę jeszcze ze dwa tygodnie, to wszystko. Może przyjadą wreszcie te nowe wozy?

– Może...

– Wziąłbym czerwony. Znałem kiedyś jednego chłopaka, który jeździł w straży pożarnej... On miał czerwony wóz.

Warszawiak patrzył na leniwie podnoszącą się strzałkę manometru.

– I dlatego chcesz mieć czerwony wóz? – zapytał.

– Tak – powiedział Orsaczek. Siedział już za kierownicą: umorusany i śmiesznie mały wobec swego wozu. Przymknął oczy. – Byłem wtedy dzieckiem. Chodziłem do tych garaży, gdzie stały samochody; kierowcy pozwalali mi czasem myć i coś przy nich robić; a kiedy wracałem do domu, matka mnie zawsze tłuwała w łepetynę, bo przychodziłem brudny jak diabeł... – Umilkł; siedział przez chwilę z martwą twarzą, a potem wrzasnął nagle: – Jedź już do diabła, na co czekasz...

Odjechali.

– Dlaczego nie ruszasz? – powiedział Zabawa do Apostoła.

– Myśli mnie dręczą.

– Jakie?

– Jak ty mogłeś wtedy tyle wygrać – to jest pytanie dla mnie.

– Stary człowieku, czy nie masz innych zmartwień na głowie?

– Może i mam – powiedział Apostoł, patrząc przed siebie szklanymi oczyma – ale to nie daje mi spokoju. Gdzie nie spojrzę, widzę te przeklęte karty i pieniądze przed tobą, nawet w nocy widzę to wszystko, tak jak wtedy... – Przycisnął do siebie Zabawę. – Słuchaj – szepnął gorąco – ja, bracie, co chcesz ci dam, drzewo wozić mogę, zostać tutaj, co chcesz, niech cię diabli; tylko powiedz – jest w tym jakaś siła nieczysta?

Zabawa odtrącił go.

– Stary dureń.

– Posłuchaj – rzekł Apostoł i uderzył się pięścią w serce. – Patrz, ja jestem stary. Nie wiem, czy będę jeszcze długo żył, a tu, w lesie, to sam wiesz, jak jest. O nic mi nie chodzi, żyłem uczciwie, umrę uczciwie, życie przestało mnie cieszyć. Zrobię wszystko, co będziesz chciał, muszę tylko wiedzieć: jest w tym jakieś diabelstwo?

– Człowieku! – krzyknął Zabawa – Czy myśmy już wszyscy oszaleli?

– Przysięgnij mi.

– Na co?

– Jakże, na co? Na Boga.

– Dawaj go, przysięgnę ci.

– On tu jest – szepnął Apostoł. Pochylił swą ogromną twarz ku Zabawie i rozejrzał się uważnie. – Musi być gdzieś blisko – szepnął. – Mówię ci: on teraz wstaje wcześniej. Wiatr też. I woda budzi się wcześniej. I góry. Tylko ziemia śpi długo. Długo, długo, długo...

Zabawa odetchnął.

– Jesteś pijany – rzekł. – A ja myślałem...

– To przez te karty – mruknął Apostoł. – Nie dają mi spokoju, i duszę mi dręczą, i wszystko...

– Powinieneś się wyspowiadać – rzekł Zabawa – Niech cię pierwszego załadują, potem skocz sobie do kościoła i już. Tylko idź na trzeźwo.

– Ile ty masz lat, Zabawa?

– Trzydzieści trzy.

– Chrystus w twoim wieku wygłosił już kazanie na górze, a ty kim jesteś? Dręczycielem, synu... Czy tak musi być?

Nie czekając na odpowiedź, przeżegnał się szeroko i odjechał; gnał przez pulchne, złote od słońca błoto doliny. Zabawa stał bez ruchu i patrzył za nim jak urzeczoną.

– Widzisz – powiedziała Wanda. – On już zwariował. Wracajmy, słyszysz. Wracajmy. Zobacysz, wszystko ci wybaczę. Wszystko ci daruję.

Westchnął.

– Przeziębisz się – rzekł. – Wracaj do baraku, córeczko.

Włączył bieg; tryby zazgrzytały opornie w zgęstniałym smarze; błoto wypryskiwało spod kół gęstymi fontannami; potem – kiedy wyjechał już z zalanej słońcem doliny – otworzyła się przed nim droga sucha i jasna, równa i bezpieczna, której koniec ginął gdzieś w złotych mgłach i granatowych spokojnych, wciąż na tę samą nutę śpiewających drzewach. Partyzant patrzył, jak wóz staje się coraz mniejszy, potem odwrócił się od okna.

– Czy tu nie ma jakiejś książki?

– Po co ci książka?

– Jak to po co? Chcę sobie poczytać.

Wzruszyła ramionami.

– Ja nie mam.

– A twój mąż?

– Też chyba nie ma.

– Zobacz dobrze.

– Przecież mówię ci.

– Może Warszawiak coś ma. Zobacz w jego kuferku.

Niechętnie wyciągnęła spod łóżka czarną skrzynkę i szybko przerzuciła rzeczy.

– Nic.

– A Orsaczek?

– Ten dureń?

– Więc może Apostoł?

– On ma tylko książkę do nabożeństwa. Sam mi kiedyś powiedział, że niczego więcej nie czyta.

Partyzant trzasnął pięścią w ramię.

– Więc co ty robisz, kiedy nas nie ma?

– Kiedy jesteście w lesie?

– Tak?

– Nie wiem.

– Nic nie robisz?

– Nic.

– I siedzisz tutaj cały dzień?

– Tak. Czasem wyjdę na dwór i pochodzę trochę. Potem znowu czekam.

Umilkli. Partyzant patrzył na czarne wrony brodzące po kałużach. Potem wrony obsiadły wysokie drzewo i krakały długą chwilę. Wreszcie sfrunęły. Westchnął. Miotał się na łóżku; to przykrywał się kocem aż po samą szyję, to wyciągał ręce i układał je wygodnie; podsuwał poduszkę wyżej, to znów leżał na płask, spozierając z nadzieją przez zamglone szybki, wreszcie, kiedy zawiodło go wszystko, rzekł:

– Swoją drogą jedno mnie dziwi.

Ożywiła się.

– Co takiego?

– Jak wy to robicie?

– Kto?

– Ty i twój mąż?

– Co robimy?

– Nie udawaj. Jak wy to robicie w nocy, że nikt tego nie słyszy. Myśmy tu z chłopakami już rozmawiali. Nikt tego nie może zrozumieć.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– A co cię to obchodzi?

– Mnie? Nic.

– Nic?

– Nic. Dla mojej przyjemności w ogóle możecie tego nie robić.

– Właśnie nie robimy – powiedziała z dumą. – Ale nie myśl sobie, mój mąż to bardzo porządny człowiek.

Podniósł się na łokciu. Oczy błysnęły mu nagle.

– Naprawdę?

– A co ty myślisz? Pewno, że porządny człowiek.

– Nie o tym mówię. Tylko czy wy naprawdę – nic?

– Nic.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? – zawołała. – Dlatego, że go nie kocham. Trzeba człowieka kochać, żeby być z nim blisko.

– Więc po co z nim jesteś, ty ciołku?

– A z kim mam być?

– To rzuć go do diabła, i wracaj do domu.

Wzruszyła ramionami.

– Przecież mówiłam ci, że nie mam żadnego domu – powiedziała cicho.

– Prawda – mruknął.

Odwrócił się do niej plecami, gdyż wydało mu się, że zobaczył w jej oczach łzy. Przetarł szybkę; wrony znów przyleciały na drzewo. Kotłowały się chwilę, wrzeszcząc ochryple, potem usiadły na gałęziach i tępyimi dziobami poczęły czyścić pióra; płaskie łby ptaków lśniły niby posmarowane tłuszczem. Po jakimś czasie znów odleciały, napełniając dolinę wstrętym krzykiem. Słońce świeciło teraz prosto w okno; Partyzant musiał odwrócić się na bok.

– Partyzant?

– No?

– Porozmawiajmy o czymś.

– O czym?

– Nie wiem.

– No więc: jak to jest z tobą i z nim?... O Boże, żebym ja już mógł wstać...

– Przywiózł mnie tutaj. A ja chcę wracać do miasta. Zresztą, nie kocham go.

– To po co wychodziłaś za niego za mąż?

– Myślałam, że będzie lepiej.

– A w mieście? Co będziesz robić?

Milczała. Widział, jak zaciska szczęki. Potem rzekła:

– Nie wiem. Coś bym przecież musiała zrobić.

– Pewnie – mruknął. – Miasto to zawsze co innego... – Poderwał się nagle żywo: po kałuży spacerował jakiś dziwny, filuterny ptak; ani wrona, ani żaden ze znanych mu ptaków: okrągły, niezdarny, na krótkich łapkach – dziób jego tęczywa!. Pluskał się chwilę, podskakiwał śmiesznie, potem uniósł z godnością ciężki kuper i odleciał; jeszcze chwilę drżała powierzchnia kałuży, potem woda zastygła w lustro. – Nudzi mi się – powiedział Partyzant. – Tak mi się nudzi, że coś okropnego.

Usiadła na skraju jego pryczy.

– Ty musisz wrócić do miasta – powiedziała. – Serce mi pęka, kiedy patrzę na ciebie. Jesteś taki młody i... taki ładny. Nie mogę myśleć, że może się z tobą stać to, co z tamtym bandziorem... jak wyście go nazywali? Siódemka...

– Dziewiątka – poprawił Partyzant. Spojrzał na nią ze złością. – Ale cóż ja ciebie obchodzę?

– Ty? – Wzruszyła ramionami. – Nic. Ale lepiej wracaj do miasta.

Potrząsnął głową.

– W mieście mi się też nudziło – powiedział ze smutkiem. – Czasami jeszcze gorzej niż tutaj.

– W mieście musi być inaczej – powiedziała z uporem. – Mimo wszystko tam coś musi być.

– Brednie – warknął. – Patrzył w okno, na drzewo, lecz nic się nie działo; wychylił się trochę i przetarł szybę – dolina milczała; pusta i pełna błota, kołysana leniwym bełkotem strumienia. Spojrzał w sufit – tam na nitce kołysały się dwa pająki poruszające szybko kosmatymi nóżkami; w pewnym momencie zamarły; i znów opadł na poduszkę, pełen gorączki i wściekłości. Milczał, potem ożywił się niespodziewanie. – Więc jak to jest z wami?

– Mówiłam ci przecież.

– Tak – mruknął. Szarpał koc niecierpliwie palcami: rozłaził się jak stara szmata. – Opowiedz coś może...

– O czym?

– O czym chcesz.

– Niebo jest najładniejszą rzeczą na świecie, prawda.

– Tak... Nie... Chociaż zależy... No, opowiadaj.

Pomyślała chwilę, marszcząc czoło.

– Kiedyś miałam koleżankę – rzekła – Nie pamiętam już, jak się nazywała chuda brzydka pociły jej się ręce i stale moczyła je w formalinie, ale to nic nie pomogło. Kiedyś ją chcieli porwać, ale uciekła.

– Kto ją chciał porwać? – z nadzieją zapytał Partyzant.

– Nie wiem.

Westchnął; poprawił sobie poduszkę i znów gapił się w okno. Słońce stanęło u szczytu nieba; resztki śniegu spływały żółtymi strumyczkami, na gałęziach znów siadały i odlatywały wrony. Śmieszny ptak nie powrócił; martwe lustro kałuży odbijało niewzruszone niebo.

– Nudzę się – warknął. – Jutro pojedę z nimi po drzewo, żebym miał nawet kopyta wyciągnąć. Dostyc tego leżenia.. – Popatrzył na nią ze złością. – Czy naprawdę nie potrafisz nic opowiedzieć?

– A ty? – powiedziała tym samym tonem. – Przecież ciągle mówisz: las, las, las... IV opowiadaj o czymś.

– Mogę ci opowiadać... coś z lasu – powiedział. – Jeżeli tylko chcesz, to mogę ci bez przerwy opowiadać o lesie. Mogę się z tobą nawet ożenić i opowiadać ci o lesie dzień i noc, dzień i noc. O gałęziach, o biotach. O śniegach; o tym jak ludzie odmrażają ręce, nogi, tyłki i zęby; i o tym, że nie było ich gdzie chować, więc rzucało się ich po prostu byle jak, a kiedy

wracaliśmy w te same strony wiosną, to zostawały z nich tylko kupa szmat i kości. Mogę ci mówić o tym, że naprawdę las nigdy się nie zmienia: w lecie, w zimie, jesienią jest tak samo nudny i niebezpieczny; tak samo męczący i wredny; i taki sam jest o świcie, wieczorem i w dzień; i zawsze jest w nim pusto; i że jedyną rzeczą, którą czuję, jest nienawiść do lasu, ale ty i wszystkie takie jak ty macie za małe mózdzki, aby to zrozumieć.

Uśmiechnęła się z wyższością.

– Od kiedy tak myślisz?

– Od kiedy diabli mnie tu przynieśli – powiedział. – Gdybym nie przyjechał tutaj – miałbym chociaż wspomnienia. Miałbym to, czego inni nie mają i o czym marzą: walkę, trochę trupów i tę myśl, że człowiek kiedyś nie był szmatą. Teraz mi to wszystko obrzydło; teraz, kiedy wróciłem tutaj.

– Więc wyjedź stąd.

– Gdzie?

– Tam, gdzie mieszkałeś przedtem.

– I co? Żeby ci wszyscy idioci tutaj śmiali się ze mnie; żeby mówili: przyjechał, gadał, podskakiwał i zwiął. Nie.

Zamilkł. Pochyliła się nad nim.

– A jeśli skręcisz kark, ty głupi?

Nic nie odpowiedział: uwagę jego przykuł pająk, który już od rana pełzał po brudnym suficie; teraz kołysał się na długiej nitce, tuż nad jego głową. Przez okno wdarł się strumień słońca i pajęcza nitka lśniła niby złota struna. Oczy Partyzanta rozszerzały się coraz bardziej; widział, jak pająk oplątuje błyskawicznie drugiego; jak chwilę szamocą się z sobą, wprawiając w ruch nić, która gasła i zapalała się niby neon; wreszcie, jak zdławiwszy przeciwnika, pożera go powoli i bez pośpiechu na spokojnej i nieruchomej złotej strunie. Szarpnął głową i w twarzy Wandy zobaczył odbicie własnej – stężalej ze wstrętu i przerażenia. Przyciągnął ją rozpaczliwie – słońce powędrowało dalej: nić zgasła.

– Więc jak to jest z wami naprawdę?

– Mówiłam ci.

– Ciągłe mi się nie chce wierzyć.

– Przecież bym nie kłamała – teraz.

– Może z tobą uda mi się zapomnieć.

– O lesie?

– Tak. Przyjechałem tutaj, żeby pamiętać; teraz ucieknę z tobą, żeby zapomnieć. Widocznie jakieś gówno musi człowieka ścigać przez całe życie.

– Kiedy wyjedziemy?

– Za parę dni. Wezmę tylko wypłatę.

Znów patrzył w pustkę okna; przylatywały i odlatywały ptaki, niebo ciemniało, stapiając się już w oddali z granatową kreską lasu.

– Ubieraj się – rzekł. – Ubieraj się, bo jeszcze kogoś z nich mogą diabli przynieść. Poczekam na wypłatę i pryśniemy do miasta. Niech diabli porwą wszystkie drzewa i wszystkie lasy na świecie...

Patrzył długą chwilę, jak dziewczyna wkłada sukienkę, błyskając nagimi ramionami, potem znów przeleciał jakiś strzęp czasu, znów odwrócił się do okna – wrony poszły już spać, a drzewo szydlerczo poruszało kościstymi ramionami, spoza których księżyc wychylił chudy pyszczek; potem okno stało się ciemne i księżyc zajął miejsce słońca.

– Nudzę się – warknął Partyzant. Naciągnął kołdrę na głowę i nie słyszał już ani głosu dziewczyny, ani warkotu silników, ani przekleństw Warszawiaka i modłów Apostoła.

Pierwsze krople deszczu zaczęły padać w chwili, kiedy kłonicie ostatniego wozu dźwignęły już połowę ładunku. Ludzie przerwali pracę i podnosili głowy; gnane

południowym, ciepłym wiatrem, ciężkie, granatowe chmury przedzierały się od dolin, las ściemniał w jednej chwili ogarnięty posępny mrokiem.

– Tego właśnie brakowało – powiedział Zabawa do Warszawiaka. Rozpinał plandekę nad szoferką; potem podniósł szybę. – Jeśli nie przestanie padać, to licho wie, jak się stąd wydostaniemy.

Warszawiak uniósł do góry sępi nos.

– Przestanie padać – rzekł. – Za trzy dni... – Siedział na stopniu i strugał patyczek. – Chcesz czekać?

– Zwariowałeś? Jedziemy...

– Pewnie, możemy jechać – rzekł Warszawiak. – Ale spuść plandekę i opuść szybę. Jesienią jeździł tu z nami niejaki Albertyniak. Przejeżdżał przez zakręt, miał plandekę nad głową, przyczepa mu się obsunęła i szlag go trafił na sucho.

– Co znaczy: na sucho?

– Nie chciało mu się opuszczać plandeki – wtedy właśnie padał deszcz; zarzuciło przyczepę i nie zdążył wyskoczyć. To był bardzo miły człowiek, jeździł w garniturze i w ogóle można powiedzieć, że dbał o siebie... – Znów zajął się patyczkiem, potem rzeki: – Sam zobaczysz, jak to będzie, musimy lecieć przez ten zakręt.

– Może jednak poczekać?

– Trzeba by czekać trzy dni, aż przestanie padać. Potem do lata, aż wyschną drogi.

Zabawa opuścił szybę.

– Jedna rzecz mnie zawsze dziwiła w Bogu – powiedział. – Dlaczego mu się nigdy nie nudzą te ograne sztuczki. Najpierw wiosna, potem lato, najpierw deszcze, potem śniegi i tak w kółko, nigdy się nie zmienia. Zupełnie tak jak u kobiety: wszystko można z góry przewidzieć.

Warszawiak uniósł głowę.

– Tak myślisz?

– Pewnie.

– U własnej żony też potrafisz wszystko przewidzieć?

– Oczywiście – powiedział Zabawa. – Wszystko. Każda kobieta jest podobna do Boga. To mnie zawsze odpychało od religii... – Westchnął, potem zapytał: – Kto jest pierwszy?

– Partyzant.

– Potem?

– Apostoł, Orsaczek, ty i ja.

Zabawa przyjrzał mu się uważnie.

– Dlaczego ty, dziecino, jedziesz na końcu? Kiedyś lubiłeś prowadzić innych. Dobrze chyba pamiętam, nie?

– Może – powiedział Warszawiak. – Dużo rzeczy kiedyś lubiłem, dobrą jazdę, gadanie z ludźmi, uczciwego pokera... Ale tutaj wolę przejeżdżać ostatni... – Znów opuścił głowę, rysował patykiem jakieś świństwa. Potem uśmiechnął się. – Wtedy tam już będzie smar zamiast ziemi. Poczekam, aż wy przejedziecie, a wtedy polecę na całym gazie, ile wóz wyciągnie – innej rady nie ma. Jeśli już mam być następnym...

Umilkł.

– Następnym? – powtórzył jakby ze zdziwieniem Zabawa.

Warszawiak milczał; pochylił jeszcze bardziej głowę i rysował zawzięcie patykiem. Litery były duże i niezgrabne, chwiały się w błocie jak płomień świecy. Zabawa spojrział na napis z góry, siedział już w szoferce, a ludzie wrzeszczeli, aby jechać. Napis brzmiał: NASTĘPNYM DO RAJU. Warszawiak skończył, rzucił patyk, potem deszcz rozmazał litery, gołe kobiety potężnej wielkości i dziwnie wyglądające męskie genitalia, stwierdzenie: „Moja ciocia jest blać”, i zaraz potem przewaliło się nędznym skrawkiem ziemi kilkaset ton drzewa i stali, a

kiedy wozy były już daleko – na miejscu tym pozostała kałuża; olbrzymia i pełna gęstego błota.

Na kilometr przed zakrętem zatrzymali się. Tutaj nie padał deszcz, wiatr pognał dalej zwały chmur – dusiły się teraz w dolinach przypląszczone do ziemi. Wyskoczyli z wozów i ciężko człapiąc, powlekli się do zakrętu. Ziemia była grząska, buty tonęły w niej z tłustym chlupotem; stali w milczeniu, patrząc na otwierającą się jak znak zapytania przepaść po swojej lewej ręce – była tam dolina sieczona różgami deszczu; z rzadka odsłaniały ją przelatujące chmury; nagle wydarło się zdziwione słońce i zobaczyli wtedy swoje długie cienie, które spadały aż stąd w pustkę pełną słońca, chmur, hałasu i wody.

– Ładne miejsce na grób – powiedział Zabawa.

– Wilgotne – rzekł Orsaczek.

– Ty i tak się branzlujesz w nocy, więc jesteś przyzwyczajony – rzekł Warszawiak.

Zabawa przeszedł parę kroków – ziemia ugięła się pod nim jak materac.

– Tędy nie można przejechać – powiedział.

– Więc co zrobić? – zapytał Partyzant.

Zabawa kopnął butem jakiś kamień, potoczył się z grzmotem.

– Trzeba przejechać.

– Ty też zwariowałaś tutaj, prawda?

– Prawda. Ale nie tutaj. Już dawno. – Usiadł na kamieniu i majdał nogami nad pustką. –

Kto chce, niech zjedzie na bok – powiedział, nie patrząc na nich. – Kto chce, niech zjedzie na bok i zrzuci do diabła całe drzewo. Będziemy puste wozy przeciągać na linach; jeden wykręci tyłem i będzie przeciągał na bębnach. Nie wierzę, żeby tędy można było przejechać. Przyczepa ściągnie w dół. Amen. Kropka.

– Nie wierzysz? – zapytał Warszawiak.

– Nie.

– Więc zrzucaj drzewo. Pomogę ci.

– Nie – powiedział Zabawa. – Ja przejadę. O innych historiach będę myślał po tamtej stronie... – Dźwignął się ciężko i otrzepał spodnie.

– Kto chce, niech zrzuci drzewo – rzekł.

– Zjeżdżajcie na bok i dajcie drogę. Tu trzeba przejechać do dechy, żeby samochód nie zdążył pomyśleć. Dalej. A kto chce jechać, niech się przedtem wysika – to dobra rada. Ale już.

– Jeśli ktoś się zatrzyma na zakręcie – powiedział cicho Warszawiak – nigdy się stąd nie wydostaniemy. Trzeba będzie zrzucić drzewo na drodze i przeciągać linami przez zakręt. Trzy dni roboty.

– Dwa – rzekł Zabawa. – No, dalej. Zjeżdżajcie na bok i dajcie drogę. Trzeba uciekać przed nocą... gdzie ty idziesz, Partyzant?

Odwrócili się. Partyzant szedł przez błoto w swoich lśniących butach. Początkowo przeskakiwał jeszcze z kamienia na kamień, potem brnął ciężko środkiem duktu, nie zważając na wodę. Widzieli, jak idzie do wozu, uśmiechając się dziwnie; z białą twarzą i rozszerzonymi niesamowicie oczyma; słyszeli głuchy ryk jego silnika i zgrzyt kolejno przerzucanych biegów; weszli wyżej – na wysoką ścianę jaru – i stamtąd widzieli, jak wóz jego staje się coraz większy – czarna larwa miotająca fontanny błota swym długim odwołkiem; widzieli, jak kładzie się na masce – wóz biegł coraz szybciej, wyjąc coraz głośniejszymi wszystkimi trzema mostami; a kiedy zrozumieli już, że piłujący mózgi dźwięk dobiegi do szczytu, na kilkadziesiąt metrów przed zakrętem pisnęły hamulce i wóz – podrygując gwałtownie i dzwoniąc łańcuchami – zarył się nagle w błoto. Partyzant wysiadł; zataczał się, rozglądając błędnie; potem osunął się w błoto, dysząc jak zwierzę. Podniósł wzrok do góry i widział tylko ich szeroko rozstawione nogi, białe twarze i złote policzki; niby wycięci z tektury, znieruchomieli we wściekłym słońcu.



– Skurwysynu – krzyknął i podniósł pięść ku górze, ku niebu i słońcu, które dwa razy przetaczało przez nieskończoność swą obojętną kulę, nim przeciągnęli jego drzewo, jego wóz i jego strach przez zakręt; nim przejechali sami i stanęli znów naprzeciw niego, patrzył na nieogolone, zaskorupiałym brudem pokryte twarze i nie mógł wyczytać z nich nic; brud i zmęczenie zamieniło je w maski.

– No, bohaterze – powiedział Zabawa. – Nie kazałem ci przecież jechać.

I uderzył pierwszy; pięścią ciężką jak dzwon roztrzaskał mu okulary, które miały chronić jego oczy od słońca; a potem pięści ich wszystkich wbijały okruszyny szkła w jego twarz, aż do chwili, w której czyjaś noga nie wbiła mu się w kiszki – dalej, gdzieś pod kręgosłup, rozniecając ogniste plamy w jego mózgu; potem wdeptywali go w błoto, we własny strach, nie mówiąc, jeden do drugiego, ani słowa – od trzech dni; a potem pojechali do miasta – jasną, bezpieczną i twardą drogą, którą wysuszył wiatr i słońce biegnące szeroko wśród spokojnych drzew.

Apostoł zakasał rękawy i wziął się do dzieła. Rzucił na stół olbrzymie ilości mięsa i rozdzielił je potężnymi uderzeniami błyszczącego noża, mięso mlaskało, stół jęczał, Apostoł nucił ponurym barytonem – ludzie leżeli na pryczach, nie mówiąc, nie myśląc i nie czując nic. W kotle stojącym na ogniu już od godziny szumiąca przyjacielsko woda; kiedy poczęły wyskakiwać bąbelki – Apostoł rzucił całą torbę kaszy i miskę starannie oskrobanych kartofli. Chwilę zastanawiał się, twarz jego stężała od wysiłku; potem nagle klepnął się w czoło, pobiegł do wozu, a po chwili wrócił, trzymając pęki pietruszki i selerów. Usiadł na stołku i przyglądał się swemu dziełu z miną zwycięzcy.

– Tak, panowie – rzekł. – Kiedy byłem młody, znałem pewną dziewczynę, która potrafiła gotować krupnik na żeberkach. Lata minęły, dziewczyna zapewne stała się potworem, ale ja ten jej krupnik pamiętać będę aż do zgonu. Gdyby dzisiejsze kobiety potrafiły gotować tak jak tamte, świat inaczej musiałby wyglądać. Nie byłoby wojny, pożarów ani zgliszcz. Po cholere ludzie mieliby wojować, kiedy w domu mieliby tłuste żony i przyzwoitą wyżerkę? Wszystko powoduje nadkwasota i złe żarcie... – Zamieszał z rozmachem: krupnik chlupnął aż na sufit, potem Apostoł ciągnął: – Najgorszą rzeczą jest, jak chudzielcy dorwą się do władzy; taki gówniarz, jeden z drugim, nie potrafi zeżreć porządnego obiadu i zachciewa mu się mieszać milionami. Napoleon był kurduplem; upijał się od setki wódki, a jadł tylko jarskie dania. Dodek Hitler też nie znał się na kuchni, no i proszę. O Zjutku nie będę mówił ze względu na Zabawę – ostatecznie święty Szymon Słupnik też był piździelcem i Zabawa może mi to wypomnieć w każdej chwili, ale jeśli chodzi o naszego Bolka, to też mi nie wygląda za zdrowo – coś tam z nerczkami musi być nie tak. Pod tym względem mam zaufanie tylko do Kostii, u nich, narodowo, można powiedzieć, lubią tłusto podeżreć i fest popić, a do ruskiej gorzały człowiek musi mieć żołądek jak się patrzy... – Zamieszał, tym razem krupnik zalepił oczy Orsaczka. Apostoł przeżegnał się i ciągnął: – Gdyby Chrystus miał ochotę zejść na ziemię po raz drugi, powinien to zrobić dzisiaj – zjadłby coś takiego, o czym nawet Bóg nie ma pojęcia... – Zwrócił się do Partyzanta, groźnie potrząsając łyżką: – Gdybyś zjadł tego przedtem, gówniarzu, przeleciałbyś przez ten zakręt jak na skrzydłach...

Partyzant dźwignął się z pryczy. Chwiejnym krokiem przeszedł przez izbę i pchnął drzwi – wilgotny wiatr runął na niego; zataczając się, brnął przez mrok; padał i znów dźwigał swe ciężkie, połupane ciało; szedł naprzód w stronę lasu, nad którym przecierały się dopiero gwiazdy niepewne i drżące.

– Partyzant!...

Nie odwrócił się, nie przystanął. Słyszał, że biegnie za nim, po błocie, i przyśpieszył kroku.

– Partyzant!...

Rozglądał się jak osaczone zwierzę, gdzieś majaczyło drzewo, nad suchą koroną płonęły światła Wielkiego Wozu. Poszedł tam, znów upadł i ręce zapadły mu po łokcie w gęstą maź; gwiazdy świeciły mu teraz prosto w oczy. Leżał chwilę bez ruchu, oddychając ciężko; w baraku gruchnął śmiech – wtedy wyciągnął się z trudem; kosząc ścieżkę długim i fioletowym cieniem udreżonego ciała, począł biec w wilgotną, mroczną pustkę.

– Partyzant!...

Uwiesiła się jego ramienia; chciał ją odepchnąć, lecz nie miał siły; upadłby znów, gdyby go nie podtrzymała – jej ręce były silne i ciepłe. Doszedł do drzewa i oparł się o nie; znów ból wypełnił podruzgotane jego ciało, wtedy zgasła i ciemność, i gwiazdy, i nadąsany pysek księżycy.

Objęła go, płynęło od niej ciepło, ból mroczniał.

– Widzisz – szepnęła – Trzeba było od razu, wtedy.

– Nie bałem się nigdy – wybełkotał. – Słyszysz, nigdy.

– Odejdziemy stąd – szepnęła – Odejdziemy stąd i zapomnisz o wszystkim. Nie będziesz już myślał o lesie ani o tamtym. Już jutro możesz o tym nie myśleć. Będziemy daleko, a to wszystko jest śmieszne.

Potrząsnął głową.

– Nie bałem się nigdy – powtórzył. – Nigdy. Teraz to już wszystko nic nie znaczy, ale kiedyś byłem inny. Powiedzieli mi: zabij. Szedłem przez miasto, był straszny upał, widziałem, jak koń wpadł pod tramwaj i obcięło mu kopyta; miałem pistolet i zimną pustkę pod czaszką. Nie myślałem o niczym, nie czułem ani strachu, ani gorączki – wiedziałem tylko, co mam zrobić. Ulicą jakaś mamka pchała wózek z dzieckiem, ten dzieciak darł się obrzydliwie i pamiętam, że jego, najchętniej jego bym trzasnął – taki mały zaryczany ślimak w gorących pieluchach. Gdzieś wyszedł ten człowiek; było gorąco, a on miał na sobie czarny płaszcz; poprosiłem go o ogień i strzeliłem mu prosto w twarz, kiedy się pochylił z papierosem, łysy, spocony łeb – i ten łeb otworzył się jak orzech, zanim jeszcze upadł. Ludzie na chodnikach uciekali; zrobiło się cicho – tylko ten gnój w wózku darł się jeszcze głośniej; mamka porzuciła go i uciekła. Może to zresztą była jego matka A ja wiedziałem, że muszę się pochylić nad tym swoim sztywnym i chwilę zostać z nim, żeby już na zawsze przestać się bać. Potem wepchnąłem wózek z tym szczeniakiem do bramy, dałem mu w papę i poszedłem przed siebie...

Umilkł; pot na jego pokrwawionym czole lśnił niebiesko w zimnym świetle gwiazd.

– To wszystko przez ciebie – powiedział. – Gdybym był sam, przejechałbym jak nic. Ale tam, na zakręcie, myślałem o tobie; o tym czarnym trójkącie między twymi nogami... – Potrząsnął nią. – Człowiek musi być sam, rozumiesz? Zawsze sam, jeśli chce zrobić cokolwiek. Bóg dał człowiekowi jedno dobrodziejstwo – to jest właśnie samotność. To wszystko dobre, czym człowiek może być. Każdy drugi jest wrogiem. Ludzie tego nie rozumieją i łażą po sobie jak pająki w gównie. Byłem sam i było dobrze, a kiedy myślałem o tobie? Nie, trzeba być samemu, zawsze samemu, aż stąd do wieczności... Tylko wtedy jest siła i pragnienie, i nie ma ni cierpień, ani strachu, ani złych snów po drodze... A teraz odejdz. Odejdz już, kochanie. Nie mógłbym cię nawet dotknąć – czuję, że jestem kupą gówna. Może dlatego, że naprawdę cię pokochałem. Spotkaliśmy się w złym miejscu drogi. Odejdz, słyszysz. Przecież ty też mnie kochasz... zrozum to.

Uderzyła go w twarz; głowa głucho stuknęła o pień.

– No, panowie – rzekł Apostoł. Postawił na stole dymiący kocioł. – Ten krupnik jest nagrodą od Boga i losu za wszystkie złe chwile naszego życia...

Brzęknęła szyba, zupa uniosła się olbrzymią fontanną i zapryskała wszystkim oczy. Zabawa skoczył na równe nogi z rewolwerem w rękę i przywarł do ściany. Znieruchomieli

wszyscy ogłuszeni nagłym wyciem silnika. Apostoł przetarł oczy; sięgnął do kotła i wyciągnął stamtąd czaszkę; zaklejona gęstą zupą wyglądała figlarnie.

– Dzisiaj będzie spał w mieście – powiedział Warszawiak. Podeszedł ociężale do okna i przytulił czoło do zimnej szyby. Widział niewyraźną sylwetkę dziewczyny oblaną zimnym światłem – wyglądała jak posąg, groźny i niemy – patrzyła za odjeżdżającym samochodem. Partyzant zjechał z doliny, uciszył się głos jego silnika i znów zapadła cisza nad mrocznym, kłamrami gwiazd zamkniętym światem.

## Apostoł i Judasz

Warszawiak z Orsaczkim pierwsi ukończyli załadunek; wyjechali z lasu i w mieście byli wczesnym popołudniem. Miasto wyglądało wiosennie; w otwartych szeroko oknach wiatr kołysał kolorową bielizną, gapie siedzieli przed bramami, z tępych zachwytem wpatrując się w przeciwległą stronę ulicy; tęgie, jasnowłose dziewczyny o głupich twarzach i ogromnych tyłkach łąziły ulicami, trzymając się pod rękę – odpowiadały na zaczepki szczęśliwym chichotem lub odęciem tępych twarzyczek; powietrze zgęstniało od kurzu, potu, lichych perfum i benzyny. Warszawiak z Orsaczkim jechali wolno, rozglądając się z chciwością; na rynku kilku rozleniwionych słońcem rzemieślników snuło się wokół olbrzymiej sterty desek – budowali trybunę pierwszomajową; ulicami ciągnęły samotne furki, na których wracali do domu pijani po jarmarku kmiotkowie, a przed magistratem stała grupka ludzi, słuchając komunikatu radiowego.

Przed restauracją Orsaczek zatrzymał wóz; po chwili nadjechał Warszawiak.

– Napijem się jedno piwko? – zapytał Orsaczek.

– Stawiasz?

– Ma się rozumieć. Ty sobie spokojnie wypij, a ja zaraz przyjdę. Muszę jeszcze wstąpić na pocztę.

– Od kiedy lewe kurwy sprzedają na pocztę? – zapytał Warszawiak. – Zakładasz album ze znaczkami pocztowymi? Możesz zresztą nie stawiać; dzisiaj i tak Bużka przywiezie pieniądze.

Wziął pod pachę korbę i wszedł do środka. Usiadł przy stoliku – miał stąd widok na słoneczną stronę ulicy – i położył czapkę na kolanach. Chwilę siedział bez ruchu; potem zawył przeciągle, nie otwierając ust. Kelner drzemiący przy stoliku w kącie otrząsnął się, przetaił oczy i podszedł.

– Szaaaawanie – rzekł.

– Daj pan coś do poczytania – rzekł Warszawiak. Kelner odszedł, nie było go piętnaście minut, potem położył przed Warszawiakiem kartę.

– Kotlet schabowy proszę – rzekł Warszawiak.

– Nie ma.

– To siekany.

– Tylko dorsz w śmietanie może być.

– Tylko?

– Tylko.

– To gdzieś pan chodził przez ten czas?

– Życzył pan kartę czy nie?

– Jeśli jest tylko dorsz, to na cholerę mi karta?

– Też gość – powiedział kelner; patrzył przez zakurzoną szybę na słoneczną stronę ulicy.

– Tu nie tacy jak pan przychodzą i jest dobrze. Jaśnie pan szofer, tak?

Warszawiak klepnął go w plecy.

– Kierownika lokalu – powiedział. – Dorsza możesz pan wsadzić w tyłek swojej kochance; ona pana pewno i tak podgląda w ubikacji. Książkę zażaleń i kierownika lokalu. Szybciutko.

Kelner odszedł. Warszawiak położył czapkę na krześle i wyciągnawszy swobodnie długie nogi, zapalił papierosa. Na murze ulicznym ktoś przylepił plakat: „Wszyscy do czynu pierwszomajowego”, nalepiacz odszedł, przed plakatem stanął jakiś człowiek o wyglądzie kretyna; przeczytał plakat i zerwał go; nalepiacz powrócił i bez najmniejszego zdziwienia nalepił ten sam plakat po raz drugi, odszedł – zaraz zjawił się kretynek; począł czytać plakat, tak jak i poprzednim razem wodząc po nim paluchem; zerwał i odszedł – z drugiej strony ulicy już nadchodził nalepiacz.

– To ten gość – powiedział kelner i wskazał na Warszawiaka. Kierownik lokalu był wysoki i chudy, miał taki sam długi i ponury zagięty nos jak i Warszawiak; spojrzeli na siebie z nienawiścią.

– Czego pan życzy? – zapytał ostro kierownik.

– Kotlet schabowy ze świeżymi kartofelkami – rzeki Warszawiak.

– Niech pan pilnuje, żeby nie był za bardzo przysmażony, a kartofle mają być ze świeżym masełkiem. Zresztą zawołaj pan kucharza – sam mu powiem, co i jak ma być zrobione.

– Jest tylko dorsz – powiedział kierownik. – Kelner panu mówił...

– Chciał odejść, lecz Warszawiak przytrzymał go.

– Siadaj pan – rzekł, podbijając mu nogi krzesłem; kierownik klapnął miękko. – Pan mnie naprawdę nie pamięta?

– Nie.

– Naprawdę?

– Panie...

Warszawiak pochylił się ku niemu, uderzając prawie swym nosem w nos tamtego.

– A podczas okupacji, to pan mnie też nigdy nie widział, co? Kierownik milczał. Kelner sapnął i wytarł spocone czoło białą ścierką. Bufetowa nastawiła adapter; szczekliwy tenorek zapewniał o wierności.

– Co pan życzy? – zapytał kierownik. Wyrwał z rąk kelnera białą ścierkę i wytarł nią własne czoło. – Może co... z drobiu?

– Nie, po co tyle fatygi. Proszę o kotlet schabowy.

– Proszę uprzejmie... – Skłonił się Warszawiakowi, potem ryknął na kelnera: – Co mi się pan przyglądasz? Gość czeka.

Odszedł. Warszawiak znów patrzył na ulicę; przystanęła fura z węglem. Furman kłócił się z milicjantem – stanął nieprzepisowo; z tyłu wozu człowieczek o wyglądzie kretyna napełnił pośpiesznie worek; dwaj żołnierze obserwowali to wszystko z twarzami pełnymi szczęścia.

– Skąd ja wezmę o tej porze schabowego? – zapytał ktoś w kuchni.

– Milczeć! – krzyknął gniewnym basem kierownik. – Raz-dwa! Bufetowa przewróciła płytę na drugą stronę; szczekliwy tenorek tym razem groził zerwaniem. Szczęknęły drzwi; do środka wszedł motocyklista Buźka. Zobaczył Warszawiaka, skinął ręką i przysiadł do niego.

– No, jak u was?

Wiosenny wiatr opalił go, był jeszcze ładniejszy niż zazwyczaj.

– Masz pieniądze dla Partyzanta?

– Mam.

– Ale Partyzanta już nie ma. Będziesz mógł ukraść.

Buźka uniósł długie rzęsy.

– Po połowie.

– Nie chcę. Zostaw mi moje.

Odliczył pieniądze i wstał.

– Muszę lecieć – powiedział. – Złapię ich jeszcze w lesie?

– Chyba. Apostołowi coś się z zapłonem popaskudziło, zostali z Zabawą. Zostań, zjedz coś.

– Jest coś dobrego?

- Jest. Dorsz.
- Skrzywił się.
- Nie lubię.
- Wierzę ci.
- Słuchaj – rzeki Bużka – a jak tam ta wasza dziewczyna?
- Co znaczy: jak?
- Jest?
- Gdzie jej będzie lepiej?
- Ona mi się podoba – powiedział Bużka. – Jak myślisz: wyjdzie coś z nią?

Warszawiak poprawił się na krześle, wyjrzał na ulicę; milicjant wypisywał furmanowi mandat, sprawdzając jego wszystkie dokumenty; kretynek w tyle wozu operował już ze współnikami – żołnierze przyprowadzili jeszcze trzech kolegów i ryczeli ze szczęścia.

– Nie myśl o tym – powiedział Warszawiak. – Masz dosyć dziwek w mieście, ją zostaw. Jesteś ładny chłopaczek i zawsze dasz sobie jakoś radę. Słyszysz, serce?

– Co ci do tego? Płaci ci Zabawa, żebyś pilnował jego garażu?

– Jesteś ładny – powtórzył Warszawiak. – Sam chciałbym wyglądać tak jak ty. Mnie wszyscy od dziecka mówili, że mam pysk bandyty; nawet matka. Gdybym miał twój wygląd, nie szukałbym awantury. Brzydkie chłopaki nie mają szczęścia; często muszą myć ręce pachnącym mydłem. Pamiętaj, że ja ci to mówiłem.

– A co to takiego: ty?

– Ja się na tym znam. Jedź, złapiesz ich na drodze.

Bużka wyszedł. Po chwili kelner przybiegł z podrygach i nakrywszy stół czystym, lśniącym obrusem, postawił przed Warszawiakiem talerz.

– Służę.

– Dzięki.

Pochylił się.

– Panie – szepnął – czy on naprawdę... podczas okupacji?

– Rzeczywiście – potwierdził Warszawiak.

– Pan go znałeś?

Warszawiak spojrzał pogardliwie.

– Nie – rzekł. – Ale znam swój naród: tu nic nie trzeba wiedzieć, żeby człowiek trząsł się ze strachu... – Przełknął kęs, pochylił się ku niemu i wrzasnął nagle: – Co pan robił w czterdziestym siódmym roku w Wałbrzychu? Skąd pan zna Michałaka?

Kelner uciekł. Warszawiak zul powoli, wpatrując się w ulicę, na ławeczce pod drzewem zasiedli Orsaczek i właściciel stolarni – Marcinkowski. Rozmawiali z ożywieniem, pochyliwszy głowy.

– No, panie Marcinkowski – powiedział Orsaczek. – Już niedługo i będę miał wózek.

– Pewnie – rzekł Marcinkowski. – Kto odkłada, to i ma. Chce pan forszę?

Orsaczek wzdrygnął się.

– Nigdy – szepnął. – Panie, jaz kolegami jestem, pan wie, jak bywa; podkuszają człowieka i już po gotówce. Niedawno przegrałem w karty... – Poczzerwieniał ze wstydu i ugryzł się w język. Zmienił szybko temat: – A panu jak idzie?

– Źle. Słuchaj no pan: co jest z Warszawiakiem?

A co ma być. Lata.

– Kiedy on mi zwróci forszę?

– Spytaj pan jego.

– Ja już go nie widziałem Bóg wie jak długo.

– Wie pan co – rzekł Orsaczek – on poszedł do knajpy coś zjeść i czeka na mnie. Niech pan idzie do niego i powie mu przy okazji, że ja pojechałem po pióra do resorów. Ja już nie będę zachodził po niego; jeszcze mnie podkusi albo diabli wiedzą co.

– W porządku – rzekł właściciel. – Czołem.

Przeszedł przez ulicę i wszedł do lokalu. Warszawiak siedział szeroko rozwalony i smakowicie ogryzał kość.

– Dzień dobry – rzekł Marcinkowski. Usiadł, nie zdejmując zielonego kapelusza. – No i jak?

Warszawiak odłożył kość.

– Piwo – rzekł do kelnera. Zdjął Marcinkowskiemu kapelusz i położył delikatnie na krześle. – Słucham pana? – zapytał uprzejmie.

– Kiedy będą pieniądze?

– Pieniążki? A za co?

– Jesteś mi pan winien pieniądze – rzekł Marcinkowski. Przeciągnął dłonią po łysinie. – Dziesięć tysięcy.

– Pan raczy żartować – rzekł Warszawiak. Nalał sobie piwa. – A ja będę zmuszony szanownego pana opieprzyć. Czy nie przywoziło się drzewka?

– Przywoziło się – rzekł Marcinkowski. – Ale zaliczkę się wzięło?

– Może – rzekł Warszawiak i wzruszył ramionami – ale się nie pamięta. Z powodu ciężkie przejścia się jest roztargnionym. Się rozumie? – Pochylił ku niemu głowę. – Ale mam dla pana ważną wiadomość.

– No?

– W socjalizmie łysych będą kryć papą.

Marcinkowski sapał.

– Kiedy będzie drzewo?

– Nie będzie w ogóle – rzekł Warszawiak. – Nie mam ochoty iść do pudła, rozumiesz pan? Niech pan kombinuje z Orsaczkim.

– Panie Warszawiak – rzekł Marcinkowski. – Co się z panem stało? Ja pana nie poznaję, dlaczego się pan tak zmienił?

– Zagadka życia – rzekł Warszawiak i znów popił piwa.

Marcinkowski uderzył dłonią w stół.

– Jutro mi pan przywiezie drzewo – syknął.

Warszawiak odstawił kufel.

– Nie będzie drzewa – powiedział. – Może być coś ze szkłą. Dobrze?

Schwycił butelkę od piwa, rąbnął nią o stół i podsunął tamtemu pod oczy lśniąca gwiazdkę ze szkła. Potem wstał, wziął czapkę i podszedł do drzwi.

– Hej, panie! – krzyknął kelner. – A rachunek?

Odwrócił się. Popatrzył na kelnera z miłym, pełnym przyjacielskiej nagany uśmiechem, potem wskazał na właściciela stolarni siedzącego bez ruchu z otwartymi ustami.

– Ten pan zapłaci – rzekł. – Odjeżdżam. Żegnaj, miasto...

Przesłał całusa bufetowej. Wyszedł.

Buźka zahamował z piskiem; oparł motocykl o drzewo, zdjął okulary, otrzepał spodnie i poszedł przez polanę do baraku, wesoło wymachując skórzaną torbą. Wszystkie wozy były jeszcze w lesie; o tym, iż tutaj – w samym sercu spiętrzonej zieleni: od wschodu, zachodu, południa i północy – są samochody, świadczył tylko pocięty koleinami plac; z lotu ptaka musiało to wyglądać jak porysowany przez dzieciaka arkusz papieru. Buźka zapukał do drzwi, lecz nikt nie odpowiedział; napał ręką na klamkę – drzwi były otwarte, ale w baraku nie zastał nikogo; rozglądał się chwilę: jedno łóżko było posłane, inne rozgrzebane, jak je opuścili rano. Zaklął i wyszedł przed barak.

– Panie Boże – powiedział głośno motocyklista Buźka. – Czy po to człowiek jedzie setkę jak głupi, łyka kurz, robi marmoladę z pieska, opryskuje się błotem – żeby teraz nie zastać nikogo? Gdzie ta małpa poszła?

– Małpa stoi przed drzwiami – odezwał się głos Wandy.

Bużka skoczył jak oparzony.

– Gdzie pani jest? – krzyknął.

– Na dachu.

Podniósł głowę do góry. Wanda leżała na dachu, ubrana w kostium kąpielowy, chłoneła słońce całym ciałem.

– Dzień dobry – powiedział grzecznie Bużka. – Jak się pani tu podoba?

Nie otrzymał odpowiedzi. Przewróciła się na plecy, zaplatając ramiona pod głowę. Przeształ z nogi na nogę.

– Dlaczego pani nic nie mówi?

– O czym mam z panem mówić?

– Kiedy wrócą chłopcy?

– Nie mam pojęcia – rzekła. – Czasem się tak zdarza, że w ogóle nie wracają... Wyjechali rano. Niech pan jedzie do lasu; teraz są dłuższe dni i robią po dwa kursy.

– Wolę poczekać tutaj – rzekł Bużka. – Już od świtu jestem w drodze. Mogę wejść do pani na dach?

– Po co?

– Porozmawiamy.

– O czym będziemy mówić?

– Opowiem pani kino.

– Potrafi pan opowiadać kino?

– Pewnie – rzekł z przechwałką Bużka – Kino, teatr – co pani tylko chce.

– Niech pan idzie do baraku – rzekła. – Może pan sobie i tam wypocząć. Zresztą... niech pan wchodzi.

Położył się obok niej na rozgrzanym kocu.

– Niech pan opowiada – rzekła.

– Jeden facet kupił sobie los na loterię. Zgubił go razem z portfelem. Portfel znajduje drugi, patrzy – a tu los. Wziął i schował. Aha, a znowuż narzeczona tego faceta...

– Którego?

– Tego, który zgubił – wyjaśnił Bużka. – To była taka jedna dziewczyna, która pracowała w hotelu. Blondyna taka, ciało miała, że mówię pani. Kochał się w niej jeden książę, starszy człowiek. „Co chcesz – mówi – dla ciebie będzie: samochód, willa, brylanty”. Ale ona w ogóle nic do niego nie czuła. To ten facet...

– Który?

– Ten, co znalazł. Przychodzi do niej i mówi: „Żebyś wygrał jakieś pieniądze, tobyśmy sobie kupili mieszkanie, motor i co niedziela za miasto”. Aha, a w niej się kochał taki sklepikarz: starszy, wredny, zawsze na kredyt jej dawał, co potrzebowała. Ale tak w ogóle, to był Świnia: ciągle ją namawiał, a ona – nie i nie. Zaraz, aha... No więc wtenczas, ten gość...

– Który?

– No ten, który miał tę a la narzeczoną. Przychodzi do niej i mówi...

– Koniec – powiedziała Wanda. Popatrzyła na niego pogardliwie. – Nic pan nie potrafi – rzekła. – Sam pan chyba nie rozumiał tego filmu.

Bużka uśmiechnął się marzycielsko; był tak śliczny, że patrzyła na niego tak, jak się patrzy na silne światło – musiała zmrużyć oczy. Uniósł długie rzęsy; jakoś rozmyślnie bardzo powoli, a wtedy jego zielone oczy wypełniło światło: gęste i gorące.

– Dobrze – rzekł. – Opowiem pani inny film, który rozumiemy oboje. To było daleko stąd, w obcym kraju. Żył jeden człowiek, z obcej ziemi, i chciał wrócić do siebie. Poznał dziewczynę ze swego kraju, która też się tam jakoś zaplatała, zaczął z nią chodzić, potem wzięli ślub i wrócili do starego kraju. Rozumie pani czy jeszcze raz powtórzyć początek?

– Mów.



Przysunął się do niej. Widział złote włosy na jej opalonym i giętkim karku; smagły brzuch przecięty pasemkiem ciemnych włosów; widział teraz, że dolna jej warga jest bardziej wypukła od górnej, i że stale, w sposób prawie niedostrzegalny, przygryzają delikatnie, sama nie zdając sobie z tego sprawy.

– Mów – powtórzyła.

– I wyjechali do Polski – powiedział. – Daleko, w lasy, gdzie nikt nie mieszkał i nie przychodził; i nie było z kim pogadać ani gdzie pójść. Dobrze? Niech pani mówi: dobrze czy nie?

– Masz dom w mieście? – zapytała cicho.

– A tam, w lasach – ciągnął Buźka, nie zwracając na nią uwagi; podparł brodę pięściami i wpatrywał się w niebo – żyła łobuzeria, złodzieje, grandziarze; bo, proszę pani, jej mąż dostał robotę w takiej firmie, gdzie żadnego porządnego człowieka nie przyjmowano do pracy, bo wiadomo, że porządnych ludzi to w ogóle szkoda. Więc jak kogoś wypuścili z kryminału i nie mógł się nigdzie zahaczyć – to szedł do tej firmy; jak ktoś śmierdział politycznie – szedł do tej firmy; jak ktoś się chciał na parę lat zamelinować przed bezpieką – szedł do tej firmy, a bezpieka siedziała spokojnie, bo i tak wiedzieli, że klient pewnego dnia poleci na łeb na szyję...

Ścisnęła jego ramię.

– Masz dom w mieście? – powtórzyła.

– I tam właśnie, w te cholerne lasy – ciągnął Buźka niewzruszenie – zawiózł ją jej mąż. I nie miała nikogo, kto by ją stamtąd zabrał, i tak płynęło to życie bez śmiechu, bez ludzi, bez radości. Aż pewnego dnia...

– Ja dokończę – powiedział Warszawiak. Stał na dole, nieruchomy jak posąg z rękami w kieszeniach. – Pewnego dnia zjawił się facet, który potrafił ładnie mówić. A sam też bardzo ładnie wyglądał. I opowiadał takie różne historyjki. Ale wiedział o jednym – bo to był mądry chłopczyzna – że w górach bardzo łatwo o wypadek, że motocykle też spadają na łeb na szyję, że faceta można w górach bardzo łatwo przesłać do raju i że żadna bezpieka na świecie nie zatroszczy się o takiego gnojka: bo bezpieka ma bardzo dużo innych rzeczy do roboty... – Podczas gdy Buźka zszedł na dół i zapalał swój motor, Warszawiak ciągnął: – I ten mądry chłopiec posłuchał rad swego starszego, kochanego kolegi – wsiadł na motor i pojechał do wszystkich diabłów.

Umilkł.

– A co z dziewczyną? – zapytała po chwili.

– Wiem, co było z Dziewiątką – powiedział Warszawiak.

Spojrzeli na siebie; on pierwszy spuścił oczy.

– Z Partyzantem było to samo – rzekła. – Tylko że jeszcze przyjemniej.

Milczał; twarz pociemniała mu od krwi.

– Powiem Zabawie – rzekł. – Nie mogę patrzeć, jak dziwka robi szmatę z mężczyzny. Nie mogę patrzeć, jak śpi ze wszystkimi naraz.

– Nie ze wszystkimi – powiedziała. – Ze wszystkimi na świecie, ale z jednym – nigdy. Z takim jednym wysokim, chudym, który ma wielki nos, twarz jak pusty plac i oczy bandyty. Ze wszystkimi na świecie, tylko z tym jednym nigdy i nigdzie. Żeby nawet nie móc odezwać się do nikogo aż do samej śmierci, żeby po śmierci również był las i ci sami ludzie, i wszystko tak samo, to z tym jednym – nigdy, nigdy i nigdzie.

Podniósł głowę.

– Przecież ja cię kocham – wybełkotał. – IV to widzisz. Chodź, odejdz ze mną. Ja jeden mam naprawdę dom w mieście, matkę i braci. Oni będą cię kochać, zobaczysz... I mogę tam wrócić, i naprawdę wziąć cię ze sobą. Nie mogę myśleć o tym wszystkim, co się tutaj dzieje. Odejdz ze mną, słyszysz?

Roześmiała się.

– Z tobą? Kup sobie lusterko i popatrz na swoją mordę, słyszysz? – krzyknęła. Odwrócił się i odszedł powoli w dolinę. – Kup sobie lusterko, małe lusterko i stań przed nim. Patrz ciągle w lusterko; w lusterko, w lusterko...

Dolina powtarzała; lusterko, lusterko, lusterko. Potem umilkły ptaki i znów kolorowa cisza przeszła nad doliną; wypełniona pasmami mgieł i srebrnym światłem księżyca milczała w pośepnym oczekiwaniu świtu, słońca i światła. Tylko potok śpiewał nieprzerwanie; wyźłobił w rozmięklej, wiosennej ziemi szerokie koryto i spadał po szerokich kamieniach – płaskich i gładkich jak policzki dziecka – niosąc w doliny aż do rzeki świętą i mroczną ciszę gór, kotlin i spokojnych drzew.

Kiedy wiedział już, że ludzie wszyscy śpią – ich zmęczone oddechy rwały się w ciemności – usiadł koło niej; teraz, po ucieczce Partyzanta i śmierci Dziewiątki, spali na osobnych łózkach.

– Wanda – szepnął.

Objęła go za szyję.

– Uciekajmy stąd – szepnęła. – Wszystko ci przebaczę. Zobaczysz, że wszystko ci daruję, tylko uciekajmy stąd... – Rozpłakała się nagle. – Nie mogę tu żyć: bez ludzi, bez nikogo, bez żadnej radości. Cały dzień jestem sama, nie mam do kogo otworzyć ust.

Położył ręce na jej gorącym ciele.

– Posuń się – szepnął.

– Ale powiedz, że jutro mnie stąd zabierzesz.

Pogłaskała ją po twarzy, mokrej od łez i rozpalonej; chwyciła jego dłoń i poczęła ją całować.

– Musimy jeszcze zostać – szepnął w ciemność. – Jeszcze trochę.

– Ile?

– Dopóki mnie nie odwołają.

– Kiedy to może być?

Patrzył za okno: księżyc błakał się między gałęziami uschłego drzewa, blady i nastraszony.

– Nie wiem – rzekł.

– Wrócimy już do miasta – mówiła. – Urządzimy sobie życie inaczej. A ja ci wszystko przebaczę.

– Co masz mi do przebaczenia, dziecko? – powiedział. – To tylko obowiązek. Chcesz, żeby się ze mnie śmieli i ci tutaj, i ci tam?... – Położył głowę na jej ramieniu. – Posuń się, córeczko. Trzeba sobie przebaczyć. Tak dawno nie było nic... między nami.

Chciał ją objąć, lecz odskoczyła w ciemność.

– Nie, nie... Dopóki nie wrócisz tam, nie...

Uniósł rękę do góry, lecz opuścił ją bezsilnie. Narzucił na ramiona kozuch i wyszedł na dwór, szedł przed siebie – śliską i srebrną trawą – a nagle dostrzegł jakiegoś człowieka, stał oparty plecami o pień drzewa i patrzył w niebo.

– Aposto! – szepnął Zabawa. – Dlaczego nie śpisz?

Aposto! odwrócił się bez pośpiechu. Patrzył na niego poważnie i spokojnie.

– Dręczy mnie ta noc – powiedział.

– Co cię dręczy?

Aposto! uniósł dłoń ku górze.

– Czy Bóg mnie widzi?

Przystanął obok niego. Obaj patrzyli w niebo, gwiazdy drżały, siejąc światłem w lodowatej pustce, księżyc przekornie czmychnął za chmury.

– Tak – powiedział Zabawa – na pewno... ty... pijany?

– Pijany, bracie.

Milczeli. Zabawa palił papierosa; Apostoł stał bez ruchu, patrząc w pustkę nieba szklanymi oczyma. Księżyc znów wypłynął, wędrował spokojnie, pyszny niby paw, wśród przestraszonych gwiazd.

– Co zrobisz, jeśli ludzie będą chcieli wrócić do miasta? – zapytał Apostoł.

Zabawa przydeptał papierosa.

– Puszczę ich – rzeki. – A wtedy ri z miasta przyślą mi innych.

– I będziecie wozić od początku?

– Tak.

– IV naprawdę nie wierzysz w Boga?

– Nie.

– Ib lepiej.

– Dlaczego?

– Nie będziesz miał wyrzutów sumienia.

Zapalił nowego papierosa i zaciągnął się głęboko; czerwone światło zagrało krótkim poblaskiem na jego umęczonej twarzy.

– Nigdy ich nie miałem – rzekł. – Czy nie zostało ci trochę wódki?

Apostoł wyciągnął z kieszeni butelkę.

– Pij – rzeki. – To głuszy i Boga, i sumienie, i wszystko.

– Tak.

Dokończył i rzucił butelkę, poleciała aż w dolinę.

– Bóg już śpi – powiedział. – Zawsze miał twardy sen. Nie myśl teraz o nim... A ty co?

– Myśli – rzekł Apostoł. – Myśli do rana, bracie. Coś mi nie gra w mojej wierze.

– Mnie w mojej też – powiedział Zabawa. – Szkoda, że nie mamy jeszcze wódki.

– Szkoda – powiedział bezbarwnie Apostoł.

Księżyc znów zapadł w pierzynę chmur; fioletowy cień powlókł dolinę. Odezwał się jakiś ptak; zaskrzeczał krótko i umilkł natychmiast, jak człowiek przestraszony własną śmiałością.

– Słuchaj – rzekł nagle Apostoł. – Czy z tymi kartami to prawda?

Zabawa milczał; patrzył ponad głową Apostoła w rdzawe plamy na księżycu i w gwiazdy poniewierane wiatrem.

– Prawda – rzeki wreszcie, a słowa jego zabrzmiały jak nikiel rzucony o szkło. – Idź już spać, stary.

– Mnie się czasem wydaje – powiedział Apostoł – że to wszystko, bracie, bluff...

Podniósł ku górze swą ogromną rękę i cień jej spłynął aż w dolinę. Księżyc wyskoczył; płynął spokojnie niebem szerokim i pustym; i znów ożyły wszystkie cienie i szmery świata.

– Każdemu się czasem tak wydaje – powiedział Zabawa. – Ale to wszystko, niestety, prawda. Gdyby to nie było prawdą, nie trzeba by było ani Boga, ani безпеکی, ani...

– Ani ciebie.

– Ani mnie – powiedział Zabawa. – Chodź już spać, stary.

Objął go ramieniem; powlekli się zgarbieni po srebrnej trawie.

Jechał bardzo powoli, oślepiiony zachodzącym słońcem. Stąd, z góry, widział wszystko: przydymione już wieczorną mgłą lasy, ogarnięte chłodem doliny, wygasające palenisko słońca i połyskliwy strumień, którego bełkot towarzyszył mu już od godziny. O kilkaset metrów przed nim warczał silnik Apostoła – jeździli teraz parami do miasta; Warszawiak i Orsaczek powinni już być w powrotnej drodze. Dukt skończył się nagle; Zabawa skręcił w prawo, rozmiijając się ze strumieniem i jechał przez podmokłą dolinę, skracając sobie w ten sposób o parę kilometrów drogę do szosy. Wóz zaczął zwalniać, a silnik mruczał niechętnie, dławiony wilgotnym powietrzem – podniosły się już wieczorne opary – włączył więc duplikator i przedni napęd niby hałaśliwy owad wwiercał się całą mocą swych stu koni w miękką ciszę wieczoru.

Zobaczył nagle, że wóz Apostoła stoi, a on sam kręci się przy nim z ogromnym drągiem, wymyślając wściekle. Zahamował.

– Łańcuch mi pękł na przyczepie – powiedział Apostoł. Stał po kolana w biocie, starając się podeprzeć wóz drągiem; drzewo zsuwało się na bok, pogrążając coraz bardziej koło w rozwilgłej, cmokającej z zadowoleniem ziemi. Apostoł rzucił ze wściekłością drąg. – Muszę czekać na chłopców.

– Sami nie podciągniemy? – rzekł Zabawa.

Wzruszył ramionami.

– Nie.

– Oni będą za jakąś godzinę – powiedział Zabawa. – Nie zdążymy już potem do miasta.

– Będziemy nocować z wozami. To już nie pierwszy raz.

Patrzyli obaj na obsuwające się drzewo; przyczepa pochyliła się skośnie, wyginając ramiona kołowrotu, a koło ugrzęzło po oś.

– Niech to diabli – powiedział Apostoł, znów sięgnął po porzucony drąg. – Jeszcze parę minut i cała bryczka się przewróci.

– Może nie... Ale przyczepę diabli wezmą, to fakt.

– Słuchaj – rzekł Apostoł – gdybyś utrzymał łańcuch z tamtej strony – spróbowałbym może spiąć kłonicę klamrami.

– Będiesz miał cały ciężar na sobie. Człowieku...

– Nie martw się o mnie. Ale ty utrzymasz?

– Postaram się. Daj mi drąg, powieszę się na nim.

Przeszedł na drugą stronę wozu; odpiął bezpiecznik kłonicy, podparł korbę drągiem i uwiesił się na nim całym ciężarem swego ciała. Apostoł siedział już okrakiem na kłonicach i walił młotem w klamry.

– Jedna jest – krzyknął.

– Dobra – rzekł Zabawa. Krew przepłynęła w nim gorącym strumieniem, żyły na szyi i przegubach rąk nabrzmiały jak postronki, patrzył na nie z przerażeniem, doznając wrażenia, że za chwilę pękną, w uszach głucho łoskotało mu serce i uderzenia młotem słyszał jak przez szczelnie owiniętą wokół głowy kołdrę. Po chwili Apostoł krzyknął:

– Druga...

– Dobrze... – wymamrotał Zabawa. Czul każdą chrząstkę, kostkę i żyłę swego ciała; był teraz tamą położoną między życiem tamtego a dwudziestoma tonami drzewa. Uderzenia brzmiały teraz delikatnie niby niekontrolowane bębnienie palcem po stole; szum w uszach gęstniał, ogarniając go całego szczelnym prześcieradłem. Odetchnął głęboko i wraz z oddechem frunął nagle w górę wyrzucony nieznaną jakąś i niesamowitą siłą; guma prawego koła przyczepy nie wytrzymała – wystrzeliła z hukiem, wyrzucając w powietrze fontannę, zaraz potem rozległ się krzyk Apostoła odbity przez mroczniejsze niebo; leżał na ziemi skulony w kłębek – drzewo przetoczyło się po nim, a wszystkie dziesięć kół przewróconego samochodu kręciło się w górze.

– Apostoł! – krzyknął Zabawa.

Wstał z ziemi i zataczając się błędnie, poszedł ku niemu; szum w uszach trwał jeszcze ciągle. Upadł; począł pełznąć ku niemu na czworakach, przełaząc przez śliskie pnie.

– Apostoł – bełkotał. – Ty mów coś, mów...

Dociągnął wreszcie do niego swe potłuczone ciało. Powstał; chciał dźwignąć tamtego z miejsca, lecz Apostoł odepchnął go resztką sił; leżał na boku z podkurczonymi nogami i wydawał się teraz o wiele mniejszy.

– Nie ruszaj – jęknął.

– Boli?

Poruszył głową z wysiłkiem. Pogrążał się coraz bardziej w bulgocące wokół niego błoto. Zabawa klęknął obok niego.

– Daj rękę – szepnął Apostoł. Zacisnął ze straszną siłą swe palce na przegubie tamtego; Zabawie ból zmoczył oczy.

– Wyciągnę cię – powiedział. Szarpnięciem uwolnił dłoń, Apostoł znów krzyknął takim głosem, że mróz przeszył plecy Zabawy. Puścił, stał nad nim z bezwładnie opuszczonymi rękami, dysząc rozpaczliwie.

– Nachyl się – wycharczał Apostoł.

Przyklęknął.

– Jeszcze.

Oparł się ręką, która natychmiast po łokieć zanurzyła się w mazi. Leżał teraz prawie. Apostoł wyciągnął dłoń ku niemu, Zabawa patrzył, jak rozcapierzone palce tamtego błędzą wokół jego pasa.

– Nie nosisz ze sobą? – szepnął Apostoł.

– Nie mów tak.

– Daj – wybełkotał Apostoł. – Chrupnęło, słyszałem... Daj.

Zabawa milczał, wpatrując się w twarz Apostoła; bieląla ciągle, a krew wokół jego głowy mieszała się z błotem. Apostoł otworzył oczy, widział pochylonego nad sobą Zabawę, zdziwiony i błydy rózek księżycy nad szczytami i rdzawe plamy słońca konające na bagnisku. Uśmiechnął się.

– Wyciągnij – szepnął. – Jest... na piersiach.

– Co?

– Książka.

Zabawa wyciągnął z jego kieszeni książkę do nabożeństwa i otarł ją z błota.

– Modlitwa za konających... jeszcze nie teraz.

– Chodź – krzyknął Zabawa.

Pokręcił głową. Krew wypełniła mu usta i odpluł ją z trudem.

– Czy Bóg mnie widzi? – szepnął. – Mów...

– Jest przy tobie – rzekł Zabawa. – Zawsze był. Jest tutaj, obok. Nie czujesz go?

– Czytaj – szepnął. – Już...

– O najłaskawszy Jezu – wybełkotał Zabawa. Otarł pot z czoła; małe czarne literki biegły jak myszki. – O najłaskawszy Jezu. Miłośniku dusz, błagam Cię przez konanie Najświętszego Serca Twojego i przez boleść Matki Twej Niepokalanej, obmyj we Krwi Swojej grzeszników całego świata, co teraz w konaniu zostają...

– Czekaj – szepnął Apostoł. – Czy On jest kimś... czy do niego można oko zmrużyć?...

– Na pewno jest – powiedział Zabawa. – I będziesz już teraz przy nim. Będziesz miał spokój i wolny czas, i dobry sen; nie będzie ani więzień, ani bezpieki, ani politruków. Zacznie się wszystko, czego nie było tutaj.

– Czytaj...

– ...obmyj we Krwi Swojej grzeszników całego świata, co teraz w konaniu zostają i dziś jeszcze umrzeć mają. O Serce Jezusa Konające, zlituj się nad konającymi... – Modlitwa skończyła się, dalej już było co innego, lecz Zabawa patrzył na Apostoła i mówił: – Daj im prawdę o śnie, o życiu, o spokoju, o odpoczynku, o sumieniu i wolności. Daj im ziemię bez drzew i bez gwałtu, na której mogliby czynić i robić to, co myślą, co czują, czego pragną, spraw, aby zapomnieli o broni, gwałcie i przemocy.

Przerwał, widział, jak Apostoł rozwiera usta do krzyku, i przykrył mu delikatnie dłonią, czuł teraz – drgającą na swej dłoni – całą siłę płuc tamtego. Krzyk zamarł i Zabawa dostrzegł w jego oczach wdzięczność.

– Czy to była prawda? – szepnął Apostoł.

– Co?

Patrzył na bezgłośnie poruszające się usta tamtego – zsiniałe i starczo obwisłe – lecz nie słyszał nic. Pochylił się nad nim, ujął jego głowę i przechylił ją delikatnie; znów krew z jego

ust spłynęła w bioto, łącząc się swym kolorem z resztkami czerwonego słońca. Przeleciało wysoko – z posepnym wrzaskiem – stadko dzikich ptaków i zdawało im się, że czują na swych twarzach twardy powiew ich skrzydeł.

– Prawda?

– Co?

– Karty – szepnął Apostoł. – Karty, Boże...

Milczał i przemówił dopiero wtedy, kiedy dostrzegł, jak ucieka światło w źrenicach tamtego.

– Gównno – powiedział. – Gównno jest prawdą.

A potem ciągnął to potężne, nieruchome i nieczujące już nic ciało przez błoto, sam w nie zapadając, ciągnął je do stojącego daleko samochodu przez łąkę, na której zgasło już światło dnia – był z nim sam wobec zachodzącego słońca, chłodu ziemi i nieba, które nie zawala się nigdy i którego obojętności nie można dotknąć słowem, ręką ni pociskiem. Ułożył go wreszcie na suchej trawie, był tak zmęczony, że padł zaraz przy nim i leżał, oddychając ciężko i chrapliwie jak zmęczone zwierzę. Słońce ślizgało się już końcem swego rozpędu; potem zdławił je mrok.

Warszawiak i Orsaczek dostrzegli przewrócony wóz. Poczeli biec ku leżącym przez mokrą łąkę. Pierwszy dobiegł Orsaczek.

– Zabawa? – zapytał Warszawiak.

– Apostoł.

Zabawa podniósł się z trudem.

– Dziwne – rzeki Warszawiak. – Nie wiem dlaczego, myślałem, że to ty teraz będziesz.

Zabawa milczał.

– Zwalajcie drzewo – rzeki. – Tutaj, ty i Orsaczek.

– Dlaczego go ruszałeś? – spytał Orsaczek. – Powinieneś go zostawić do jutra, aż przyjedzie komisja i zrobi szkic wypadku. Ty chyba wiesz o tym najlepiej, nie? Chcesz, żeby się milicja przyczepiła?

– Zamknij pysk, szczeniaku – powiedział Zabawa. – Idź do samochodu i zwalaj drzewo tam, gdzie leży wóz Apostoła... – Zwrócił się do Warszawiaka: – Ty na co czekasz?...

Orsaczek już odszedł. Warszawiak patrzył za nim, uśmiechając się w zamyśleniu.

– Chcesz tutaj – powiedział – na pamiątkę?

Zabawa szedł już do swego wozu. Przystanął.

– Gównno – powiedział. – Pamiątki to gównno.

Warszawiak milczał.

– Dlaczego nie zwalasz? – krzyknął Zabawa.

Uśmiechnął się.

– Myślę o tym – rzeki – że jeśli kiedyś komu przyjdzie ochota podpalić ten stos – całe lasy pójda z dymem. Takiego pożaru nic nie ugasi, ani samoloty, ani cała straż pożarna na świecie – święci popiekliby się w niebie. To są góry – wiatr z tego ognia zrobi drugie słońce – i nie znajdzie się ludzi z piaseczkiem.

Zabawa zbliżył się do niego.

– Tak myślisz? – szepnął.

Rozległ się przeciągły łoskot i odwrócili głowy; to Orsaczek rozpiął kłonicę i zwałił drzewo.

– Byłoby na co patrzeć – powiedział Warszawiak. Uśmiechnął się. – Przez parę lat samochody nie miałyby tu nic do roboty. Dwa miesiące żaru, a potem – drogi pozawalane, górki łyse... – Westchnął, poklepał Zabawę po ramieniu. – Nie miałbyś po co i z kim grać w pokera, przyjacielu – rzekł.

Zabawa popatrzył na niego.

– Wrócisz jutro do miasta – rzekł.

– Nie – powiedział Warszawiak. – Nie bój się, ja nie zrobię tego. Zostanę z tobą. Chcę jeszcze coś zobaczyć.

– Co?

Warszawiak nie odpowiedział, poszedł wolno do swego samochodu. Znów rozległ się łoskot, który odbiło niebo i który powtórzyła zasnutą mrokiem dolina, potem podjechał Zabawa – rozpiął kłonicę, drzewo poleciało w dół.

– A teraz śpij – powiedział. – Nareszcie śpij... – usłyszał nagle gwałtowne uderzenia i odwrócił się. – Warszawiak – krzyknął. – Co robisz, bydlaku?

Warszawiak nie odwrócił się. Stał przy samochodzie Apostoła i uderzeniami korby rozwałował silnik; roztrzaskał już delko, gaźnik i karter, z którego ciekła brunatna oliwa. Demolował systematycznie i spokojnie; tak spokojnie i pewnie, jak niegdyś Apostoł reperował swój gaźnik, swoje delko i sprawdzał stan oliwy w swoim karterze. Zabawa podszedł wolno ku niemu.

– Stój – powiedział. – Nie w ten sposób. Ja...

Odsunął Warszawiaka. Wyciągnął rewolwer i strzelił parę razy w bak; kule przebiły blachę, benzyna poczęła cieknąć cienkimi strużkami, ale wybuch nie nastąpił. Warszawiak uśmiechnął się krzywo.

– W kinie takie numery przechodzą – rzekł.

Pstryknął niedopałkiem papierosa i nitka ognia z ziemi uniosła się do baku; pociągnął Zabawę na ziemię, a w następnej chwili szczątki baku z hukiem przeleciały im nad głową. Wóz płonął, paliła się poczerniała od deszczu plandeka nad szoferką i teraz dopiero – w ogniu pomarańczowym i pełnym dymu – widzieli, ile na niej cer i szwów, ile razy zszywał ją Apostoł; paliły się pokrycia siedzeń i gumy, i kable, i przesycone smarami okładziny koła kierownicy, a obdrapany lakier samochodu ożył w tej chwili – skwierczał i gotował się na rozgrzanej, dziesiątki razy prostowanej i spawanej blasze. Wielki wóz leżał przewrócony w jakiejś wstydlivej pozie, a płomyki ognia lizały go zawzięcie niby szczeniaki ogromnego psa.

– On by tak chciał – powiedział Warszawiak. – On by zwariował w niebie, gdyby widział, że jakiś pętał jeździ na jego wozie... – Podniósł ku górze krzywy nos i wciągnął z zadowoleniem woń spalenizny, a pomarańczowe płomyki czyniły jego puste oczy jeszcze wstrętniejszymi. – A jednak – rzekł z żalem – nie zapaliło się ani jedno drzewo. Ani jedno mokre drzewo.

– Gówno – rzekł Zabawa. – Gówno.

## Domy bogów

– Nie ma kawałka drzewa – powiedział Orsaczek. – Co mam robić?

Zabawa podniósł się z pryczy.

– Szukałeś wszędzie?

– Tak, łąziłem po podwórzu... Zresztą ciemno. Nie ma.

– Wszystko jedno – rzekł Zabawa – Musimy mu zrobić jakąś trumnę. Rozwalaj pryczę.

Orsaczek wyciągnął z kąta siekiere.

– Partyzant – rzekł i trzasnął siekierą; prycza rozleciała się na kawałki. – Dziewiątka – powiedział; znów zamachnął się krótko i z pryczy pozostała kupka desek. – Aposto! – ta prycza była największa i najsilniej zrobiona; musiał zdrowo uderzyć parę razy, zanim deski rozsypały się bez sensu po podłodze. – Gdzie idziesz, Zabawa?

– Znajdę Warszawiaka i pójdziemy do lasu po jedlinę – rzekł Zabawa, przypiął sobie do pasa latarkę. – Pospiesz się, Orsaczek. Już noc.

Wyszedł.

– Otwórz okno – powiedziała Wanda do Orsaczka. – Zobacz, jaki kurz.

– To właśnie z tych desek – wyjaśnił Orsaczek. Podeszedł do okna i pchnął je ramieniem; wtargnął słup tęgiego powietrza nocy. Wyjrzał, księżyc drętwiał już na swoim zwykłym miejscu. – Ej – powiedział Orsaczek – w taką noc myśleć nawet nie można o śmierci... – Pozbierał deski do kupy i począł mierzyć je sznurkiem; miara była ogromna i Orsaczek gwizdał raz za razem. – To nasza stachanowska – powiedział do Wandy. – Nie znam się na numerach trumien, ale chyba coś takiego jak czterdziesty czwarty numer butów... – Przez chwilę walił łbem siekiery w zardzewiałe gwoździe, wysuwając z przejściem koniuszek języka, potem westchnął głęboko i zwrócił się do Wandy: – Mój Boże, już takiego drugiego mechanika nie znajdzie w całej Polsce. Cóż on miał za ręce. Do czego się nie dotknął – zaraz wszystko żyło. A teraz on sam... – Pochylił głowę i walił z całej siły, aż mu delta żyły nabrzmiała na czole. Zbił już ramię, potem począł przybijać dno, mijały chwile i księżyc wzięty w środek okna łpał podejrzliwie niklowym oczkiem. – Z nim mieć na spółkę warsztat – powiedział Orsaczek – człowiek by nie zginął. Tu się z niego zawsze ludzie śmieli, że wozi z sobą drugi samochód w częściach, a on był tylko jedynym z nas, który nigdy nie stał, nikt go nigdy nie brał na dewizkę i zawsze dojeżdżał, gdzie chciał i kiedy chciał. On nie znał tajemnic, zawsze sobie dawał radę ze wszystkim, nawet z takimi rzeczami, których ludzie w warsztatach nie rozumieli, ludzie z przyrządami i w ogóle... – Przewrócił skrzynię na bok. – Tak – wybełkotał niewyraźnie: w zębach trzymał calowe gwoździe. – To on powinien być Panem Bogiem, a nie kto inny. On by wykombinował człowieka jak się patrzy. A tak co? Człowiek choruje, męczy się, a jak ma już jaki wypadek i nogę mu na przykład wyrwie, to co? Kaleka, nic się nie da wymienić. Żeby nie wiem co, to najsilniejszy gość jest zawsze kościotrupem...

– Ty, ty mądralko – powiedziała Wanda. – Zamiast się mądrzyć, przygotuj sobie od razu taką samą gablotkę. Myślisz, że ty się migniesz?

Orsaczek uśmiechnął się pogodnie i z wyższością.

– O mnie możesz być spokojna – rzekł. – Ja mam swój cel. Pojeżdżę jeszcze jakiś czas i nie zobaczę mnie więcej cudne twe oczy... – Walił z pasją, już dwa boki były gotowe. –



Zresztą – powiedział, wyjmując z ust kolejny gwóźdź – może tu jeszcze kiedyś zawitam... – Przerwał, popatrzył na nią zwycięsko. – Własnym wózkiem.

Roześmiała się.

– Wujek z Ameryki ci przyśle, prawda?

– Nie potrzeba aż tak – powiedział Orsaczek. – Potrzeba tylko tutaj – klepnął się w czoło – żeby główka pracowała. Mój ojciec zawsze mówił do mnie: „Synu: koń ma grzbiet, baba ma tyłek, człowiek ma ręce, a mądry człowiek – głowę...”. Tak, proszę pani.

– I co się stało z twoim ojcem?

– Co się miało stać? Murował, spadł i umarł.

– Dużo swoją głową wykombinowałeś, chłopku-roztropku?

– Na samochodzik wystarczy.

Usiadł okrakiem na skrzyni, bił teraz gęsto – łebek przy łebku.

– Mówię ci – rzekł. – Przyjadę tu jeszcze własnym wózkiem. Takim, że wam oczy wyskoczą z nitek.

Podeszła do niego.

– Widziałam już paru takich – rzekła, patrząc ponad jego głowę w księżyc, który pulchniał z chwili na chwilę. – Jechali gdzieś, mówili o samochodach, sklepach, warsztatach, a potem – przepijali wszystko, w czym startowali, okradali ich jacyś kanciarze lub dziwki i wracali boso. Wracali boso i wszyscy śmieli się z nich... – Poglądziła go po zjeżonej czuprynie. – Co ty wiesz o świecie, chłopaku – rzekła – i o ludziach? Znajdzie się jakaś dziewczyna, zawróci ci w głowie i po pieniądzech. Albo jaki cwaniak. Czy wiesz, ilu ich kręci się w mieście i czeka na takich jak ty? W każdym mieście pełno jest cwaniaków...

Orsaczek zamarł z młotkiem wzniesionym do góry.

– Słuchaj – rzekł. – Ty... naprawdę?

– Naprawdę – rzekła. – Ludzie czekają tylko na to, żeby się wzajemnie oszukiwać... – Westchnęła – Szkoda mi ciebie – rzekła. – Jesteś młody i jeszcze mógłbyś chyba żyć inaczej... – Przysiadła obok niego i oparła podbródek na pięściach. – Kupiłbyś sobie jakiś samochodzik – rzekła – potem, po jakimś czasie, drugi i trzeci, i byłbyś człowiekiem. Mógłbyś spać do dziesiątej, jeść, co ci się podoba, a inni ludzie kłanialiby ci się na ulicy i z daleka pełzali przed tobą. Miałbyś mądrą żonę, która by pilnowała każdego twojego grosza i pędziła won wszystkich koleżków, którzy by skamlali u ciebie o pożyczkę...

– Tak – rzekł Orsaczek. Opuścił młot i przymknął oczy. – Wiesz, na początek kupiłbym kompresor. Każdy, komu by się nie chciało pompować, podjeżdżałby do mnie, minuta i – dziesięć złotych. Raz po raz, proszę ciebie – dziesiątka, dziesiątka, dziesiątka. A ja bym się kręcił po mieście wózcikiem, kursik po kursiku, kursik po kursiku...

– No – rzekła – a kto by przez ten czas pilnował kompresora? Minuta – i dziesięć złotych, minuta – i dziesięć złotych...

Spojrzał na nią baraniami oczyma.

– Tak – wybełkotał ze zdumieniem. – Właśnie... kto?

– Widzisz – rzekła – tak to jest z wami: porywacie się na coś, o czym pojęcia nawet nie macie. Minuta – i dziesięć złotych, minuta – i dziesięć złotych – ale dla kogo?... Przynęła do niego skurczoną wściekłością twarz. – Zginiesz – syknęła – jeśli nie tutaj, bo głupcy mają szczęście i zawsze wierzą w poranek, to tam, w mieście, na pewno. – Zaczęła śmiać się histerycznie. Chwyliła go za rękę i wykrzykiwała mu się prosto w twarz. – Minuta – dziesięć złotych. Minuta – dziesięć złotych. Ty matołku. Przybijaj, na co czekasz? Minuta i dziesięć złotych, minuta...

Rozległy się kroki po błocie, potem skrzyknięcie drzwi, Zabawa z Warszawiakiem weszli do środka, niosąc naręcza jedliny – jedlina była mocna i elastyczna; ułożyli na niej wielkie ciało Apostoła, obmyli z błota jego stężyła wciąż z bólu twarz, opletli mu zgrabiałe ręce wytartym różańcem i przenieśli skrzynię w mrok – przez plac, na którym nie stał już jego

samochód. Potem pędzili przez mrok i deszcz, który zjawiał się nagle, jakby rzucony im naprzeciw za sprawą nocy; pędzili w milczeniu, rozcinając ciemność żółtymi nożami reflektorów, w górę i w dół, ku zamglonym i nieprawdziwym gwiazdom i w płaczące pod deszczem doliny; silnik dudnił ciężko – już zostawili za sobą zdrętwiały w mokrym śnie las i pędzili po szosie, rozniecając kołami monotony śpiew.

– Daleko jeszcze ten kościół? – zapytał Zabawa.

– Nie wiem – rzeki Warszawiak. – Ja się nie modłę.

– Nie wierzysz w Boga?

– Po co jest zarost na twarzy?

Z hukiem przelecieli przez most.

– Musimy to zrobić dla niego – rzeki Zabawa. – Umarł jak wielkie zwierzę. Czytałem to – dawno – wielkie, silne zwierzęta umierają w samotności i milczeniu. Odchodzą w pustkę i nie skarżą się nikomu. Tylko człowiek szczeka wspomnieniami.

– Nie krzyczał?

– Nie – rzeki Zabawa. – Ani razu. Wstał jeszcze po tym wszystkim i chciał dojść do wozu; dopiero potem go złamało. Pozdrowiał was i życzył wam szczęścia.

– O mnie nic nie mówił? – spytał Orsaczek.

– Chyba nie.

Orsaczek westchnął.

– Był mi winien pięćdziesiąt złotych.

– Ach – rzeki Zabawa – racja, zapomniałem... Mówił mi, żeby ci oddać. Ja byłem mu winien jakiś pieniądz, zwrócę ci.

– Możesz zaraz? Bo potem... wiesz.

– Proszę cię uprzejmie.

– Wiedziałem – szepnął z rozczuleniem Orsaczek. Schował pieniądze do kieszeni i zapiął ją na zmyślnie przyszyły guziczek. – On był taki.

– Jaki?

– Właśnie... taki.

Przejeżdżali przez wieś, wszystkie okna były ślepe, wiatr szarpał w zgniłych gontach i siekł deszczem po zmytych czarnych polach, tylko na końcu wsi w gospodzie ludowej paliło się światło, szalała pijana harmonia i kłębił się głupi tłumek.

– Stop – powiedział Zabawa. – Nacisnął nogą hamulec. – Nie jedziemy dalej na trzeźwo...

– Wóz stanął, poruszyła się przypięta łańcuchami trumna, Zabawa spojrział na Warszawiaka. – Złe sny po drodze, tak?

– Tak.

– Orsaczekowi – postawimy – rzekł Zabawa. Wskoczył w bioto. – Chodźcie.

Weszli do środka ogarnięci dymem, wrzaskiem, złymi spojrzeniami. Kupili litr wódki i usiedli w kącie; na blat stolika kapąła woda z sufitu.

– Może on był już ostatni – powiedział cicho Warszawiak, obracając w rękach szklanę. – Jak myślisz, Zabawa?

Drgnął wyrwany ze snów.

– Co?

– Może on był już ostatnim – powiedział Warszawiak. – Może już ludzie nie będą ginąć. Jak myślisz?

– Nie.

Wypili, odstawili szklanki. Woda z sufitu odmierzała czas nocy. Przysiadł się do nich harmonista, krzywonosy chłopek bez nogi. Zmrużył oko do Zabawy i zaśpiewał:

*Kałokolczyki, bubieńczyki lublu.*

*Zawtra na rabotu nie pajdu.*

*Puskaj – rwiotsia – dynamitnyj amonał.  
Na chuj zdalsia Bielomorski nam kanał?...*

Zabawa uśmiechnął się, wpadł mu w głos. Ryczeli obaj:

*A jeśli na rabotu nie pajdiosz.  
W ciemnoju izboszku papadiosz.  
Tam – w karty nie sigrajesz.  
Nikawo – nie ogrywajesz.  
Tam – systematiczeskoj dajdiosz...  
Pijem, kolek i stradajem.  
Wsiech legawych preklinajem.  
Ej – za czem nas mama rodila?...*

Harmonista odszedł i skończył; znów podniosła się bełkotliwa wrzawa. Uchodziła noc w kroplach z sufitu; deszcz za oknami dręczył gołą ziemię; przepływały mgły i daleki szum lasów.

– Cóż – rzekł Zabawa. – Nalej, Warszawiak. Jutro znowu jest dzień, chwal się imię Twoje. Las, chwal się imię Twoje. Ziemia jest niewzruszona: żywi czy zdechli, tak czy owak, musimy się kręcić. Pojedziemy jutro po drzewo i będziemy je wozić, wozić, wozić – w poprzek drzew i wzdłuż szosy. Tony, kubiki, metry, sągi, całe, milimetry... – Wyciągnął rękę w kierunku okna. – Słyszysz ten szum? To las wzrusza ramionami. Zawsze będę to słyszeć, choćbym nawet spał w centrum piekła. – Wychylił szklanę. – Ale humorek jest, prawda? Chciałem kiedyś zostać lotnikiem. To dobry zawód, taki człowiek ma prawo czuć pogardę do innych ludzi. Nawet drzewa są małe.

– Lotnicy najlepiej zarabiają – rzeki Orsaczek. – Znałem jednego porucznika, miał wypadek, uznali, że stracił zdrowie, dostał odszkodowanie i kupił sobie...

– Taksówkę – powiedział Zabawa. – Wózeczek. Samochodzik. Automobil.

Orsaczek drgnął.

– Skąd wiesz?

– Ja dużo wiem – powiedział Zabawa. – Nawet pojęcia nie masz ile.

Warszawiak podniósł głowę.

– Słuchaj – rzeki. – Jak myślisz: czy tamci, w mieście, wiedzą o nas?

– Wszystko wiedzą – powiedział Zabawa. – Wszystko wiedzą. To przecież jasne. Wiedzą o wszystkich naszych kłopotach i nieszczęściach. O tym, że nie mamy samochodów, forsy, części, oleju. Wiedzą o naszych wypadkach i rozumieją to tak, jak my byśmy chcieli. Jest w Warszawie taki dom, gdzie wszyscy ci ludzie pracują i myślą o nas jak o własnych dzieciach. Myślą o wszystkich robotnikach i o tym, co ich dręczy. Odmawiają sobie wszystkiego i żyją tak samo biednie jak i my. Tak samo nie mają ubrań, mięsa i forsy. Sami przecież byli robotnikami i rozumieją to wszystko dobrze.

– Jak wygląda? – zapytał Warszawiak.

– Co?

– Ten dom.

– Nie wiem – powiedział Zabawa. – Napijmy się.

Wypili. Łysnęło zdradzieckim oczkiem dno. Warszawiak uniósł pustą butelkę.

– Jeszcze raz?

– Tak.

Orsaczek przyniósł butelkę; pili w milczeniu i szybko, ludzie brali czapki i chwiejnie pełzali do domu – od plotka do plotka – przez bioto, glinę i wodę. Krople spadające z sufitu

utworzyły już kałużę, starli ją rękawem, potem znowu woda odbijała ich zmętniałe twarze i znowu łysnęło dno.

– Jak wygląda ten dom? – powtórzył Warszawiak.

– Nie wiem – powiedział zmęczonym głosem Zabawa. – Wiem tylko, że jest. Nigdy go nie widziałem.

– Może jest z piaskowca? – wykrztusił Warszawiak. – U nas, na Marymoncie, mieszkali ludzie w budach, budy, papa, rura od piecyka i to wszystko... – Twarz jego przecinały spadające krople, nie bronił się przed nimi. – Może jest biały? – powtórzył. – Z ogromnymi oknami?

– Może – rzeki Zabawa. – Jedźmy już.

Wyszli. Silnik nie chciał zaskoczyć i starter jęczał boleśnie, mocując się z siłą sprężonego tłokami powietrza. Znow pędzili, śpiewając idiotyczne piosenki, spleceni ramieniem i niepamiętni czasu, drogi i jutra, a zimny blask zegarów oświetlał ich ciemne twarze. Droga przed nimi biegła z uporem w ciemność, rozpływała się w mgłach i skotłowanych masach wody, migotały ostrzegawcze tablice zakrętów, huczały mostki i brzęczał wiatr.

– Kiedy byłem dzieckiem – bełkotał Zabawa – chciałem zostać lotnikiem. Świat jest okrągły, ale trzeba to zobaczyć...

– Znałem jednego lotnika – tłumaczył Orsaczek, ściskając chude dłonie Warszawiaka. – Zaczął od tego...

– Człowiek działa na jednej zasadzie – krzyknął Warszawiak. – Na scenę wyszedł garbus; śmiechom i żartom nie było końca...

– Kiedy byłem dzieckiem – ryczał Zabawa – kochałem jak dziecko. A kiedy osiągnąłem wiek męski, wziąłem do ręki broń, aby mścić i zabijać tak samo nieszczęśliwych i zagubionych w ciemności życia jak i ja...

Naprzeciw nich wyskoczyła z mroku tablica; przystanęli.

– Z JEDNEGO DRZEWA – czytał Zabawa – MOŻNA ZROBIĆ TYSIĄC ZAPALEK. ALE JEDNA ZAPALKA MOŻE PODPALIĆ TYSIĄCE DRZEW. STRZEŻ SIĘ POŻARU.

Zatoczył się.

– A gdzie kościół?

– Tam – powiedział Warszawiak i wyciągnął rękę; ruszyli przez wieś prowadzeni zajadłym szczekaniem psów. Gdzieś na końcu drogi majaczyła wieża kościoła, przekreślając cieniem swego krzyża, na który wbijał się księżyc, asfalt szosy, pola i wypalone chałupy. Przystanęli i wyszli z szoferki, trzymając się rozpaczliwie pod ręce. Teraz szli w poprzek wiecznego biegu ziemi; ciągnęła ich w dół i w dół, kołysała ich bezsilnymi ciałami dręcząco i boleśnie; ukazując ich niebu – pustej bani bez jednej nawet gwiazdy.

– Do zakrystii – wybełkotał Zabawa.

Długo walili pięściami w drzwi; wyszedł wreszcie ksiądz, oświetlając ich twarze blaskiem naftowej lampy.

– Czapki, dranie – syknął Zabawa.

Zerwał im czapki.

– Niech będzie pochwalony – rzekł Zabawa, usiłując przytrzymać zębami rozlatujące się złośliwie słowa: – Przywieźliśmy człowieka.

– Co z nim?

– Nie żyje.

Ksiądz uniósł lampę wyżej, miał młodą, jasną twarz i czujne oczy.

– Panowie są bardzo pijani – rzekł. – Prawda czy mi się tylko zdaje?

– Prawda – powiedział Zabawa. – Ale tak jest lepiej.

Warszawiak wysunął się do przodu.

– Ojciec – rzekł nienaturalnie głośno. – To był nasz przyjaciel. Wierzył w Boga tak, jak nikt chyba na świecie. Odpraw nabożeństwo, ojciec. Nic więcej nie możemy dla niego zrobić.

Umilkł; zmrużył oczy, uśmiechając się głupio. Narastało w nim pragnienie, aby zaśpiewać z całych sił: plugawie i głośno. Mamrotał coś, ocierając z uporem mokrą od deszczu twarz.

– Ojczy – rzekł Zabawa. – Wysłuchaj nas. Jesteśmy sami. Jutro musimy jechać dalej i nie będziemy nawet wiedzieć, gdzie on jest pochowany. Nikt z nas nie pójdzie nigdy na jego grób... – Oparł się ciężko o framugę drzwi i histerycznie załkał. – Zginął człowiek – krzyknął.

– Ktoś, kto żył. Czy to nie wystarczy za wszystko? – Podniósł rękę, wyrwał księdzu lampę i zaświecił mu prosto w twarz. – Czy naprawdę nie istnieje miłosierdzie?

Ksiądz w milczeniu odebrał lampę i uniósł ją jeszcze wyżej; rozświetlił błoto, podwórce i udreżone ich twarze.

– Wnieście go do środka – rzeki. – Ja zaraz przyjdę.

– A drzwi?

– Co?

– Zamknięte?

– Zamknięte? – rzeki ksiądz i uśmiechnął się. – To jest dom Boga.

Weszli z trumną i przystanęli na środku. Kaszlący dziadek zapalił świece i znaleźli się w kręgu woskowego ich blasku, ze ścian patrzyły posępne twarze świętych, konał w mroku bolesny grymas rozciągniętego na zimnym krzyżu Chrystusa. Pachniało kurzem i starymi książkami; tu gdzieś – pośród kamiennych ścian, cieni i męczeńskich oczu nieruchomo wpatrzonych w przestrzeń – zamykała się pełna wściekłości wieczność. Ksiądz wyszedł po chwili.

– Nic nie mogę zrobić – rzeki. – Nie mam ministranta.

Milczeli; trumna kołysała się na ich ramionach.

– Czy nikt z was nie służył do mszy w młodości? – zapytał ksiądz.

– Kiedy to było? – szepnął Zabawa. – I tutaj?

– Nikt? – powtórzył ksiądz.

– Ja nie – powiedział Warszawiak.

– Ja nie – powiedział Orsaczek.

– Stawiajcie trumnę – rzekł Zabawa – Chyba jeszcze pamiętam...

Ostrożnie opuścili trumnę; dziad – wciąż zaspany i pokaszujący – obstawił ją świecami.

– Jak się nazywał ten człowiek? – spytał ksiądz.

– Apostoł – rzekł Orsaczek.

– Który?

– No ten.

– Apostołów było dwunastu.

– Ten był tylko jeden – rzekł Warszawiak. – Tak mówiliśmy na niego; on wierzył w Boga, był pobożny. On... nawet wódki... nie pił.

– A organista? – zapytał Zabawa. – Kto będzie grał requiem?

– Organista pojechał do miasta – rzekł ksiądz. – Odprawimy cichą mszę.

– Musi być requiem – rzekł Zabawa. Potrząsnął z pijackim uporem głową... – Musi być requiem. On był taki pobożny... – Drgnął nagle, chwycił Orsaczka za ramię. – IV przecież – powiedział. – Ty przecież potrafisz grać.

– Ja, ja... ja?...

– Dalej. Idź tam. Dam ci znak ręką.

Warszawiak z Orsaczkiem odeszli.

– Pamięta pan początek mszy? – zapytał ksiądz. – Na pewno?

– Pamiętam – rzeki. – Pamiętam jak dziś.

Ksiądz ruszył w milczeniu do ołtarza Zabawa podniósł wzrok ku Orsaczkowi i pogroził mu pięścią. Katastrofa nastąpiła już w czasie mszy; Zabawa dał znak ręką, a Orsaczek – rozpaczliwie zmrużywszy czoło – milczał, ręce znieruchomiały mu na klawiaturze, jakby

przyciśnięte ciężarem. Ksiądz przerwał z rękami wzniesionymi ku górze i spojrzął na Zabawę, wtedy ten – podkasując komżę – pobiegł na górę.

– Graj! – krzyknął. Podstawił mu nagan pod nos: – Zabiję!

– Nie pamiętam – wyjąkał Orsaczek. – Nic nie pamiętam.

– Graj... byle co.

Orsaczek przebiegł palcami po klawiaturze; nie wierząc sobie i własnym uszom, zrozumiał nagle, że gra tę samą piosenkę, którą grał im zawsze – tam. Spojrzeli na siebie – przerażeni melodią – potem unieśli twarze ku górze; górą przebiegał wiatr, przebiegały gwiazdy, prądy międzygwiazdne i miliony lat świetlnych; krzyżowały się odległości, których nie może obliczyć i zrozumieć zaplątany w słowa, kłopoty, długi i pragnienia człowiek, lecz im – stojącym nieruchomo z czapkami w rękach, zdawało się, że ponad wszystkie odległości i sprawy dochodzi do nich szum spokojnych drzew.

– Nie płacz – wybełkotał Zabawa do Warszawiaka. Śpiewaj...

I śpiewali we trójkę:

*Harmonia na trzy czwarte z cicha rżnie.*

*Ferajna tańczy – ja nie tańczę.*

*Z szaconkiem, bo się może skończyć źle.*

*Gdy na Gnojnej bawimy się.*

*Bez jedzenia i bez spania.*

*Ale było za co pić.*

*Antoś na harmonii z cicha zaiwania*

*Trzeba tańczyć, trzeba żyć.*

*Świt latarnie już zagasił.*

*Z cicha gwizdże nocny stróż.*

*A pod szubienicą, tam daleko, na Antosia*

*Kat Maciejewski – czeka już...*

Potem wyszli na dwór. Wiatr rozgonił chmury, zdławił deszcz i niebo ukazało swe kamienne oblicze. Na wschodzie gasły już ostatnie gwiazdy. Z dolin i miast – ku przejaśnionej górze – podniósł się świt pełen mgieł i lęku; i znów – dzwoniąc pod kołami – uciekała droga w pełen jeszcze mroku las.

## Ohydni i śliczni

I znów oko księżycy znieruchomiło w tym samym punkcie okna. Wanda już spała. Orsaczek także; Warszawiak wyjechał do miasta wieczorem, aby się upić, i do tej chwili nie powrócił. Zabawa wstał cicho z łóżka, usiadł przy stole i podkręciwszy nieco leniwy płomień lampy naftowej, począł pisać:

### *Do Egzekutywy Partyjnej Drzewa.*

*Oświadczam, co następuje: dłużej drzewa wozić rady nie dam. Ludzie mi się kruszą jeden po drugim, już zostało nas tylko trzech, części nie mamy i wozy nam się sypią, aż strach na nich jeździć. Dwa dni temu zginął nasz najlepszy kierowca, o czym meldunek załączam osobno, oraz szkic wypadku. Zwiozłem już całe wyrąbane drzewo z rejonu szóstego, a teraz muszę jechać na osiemnasty, co jest jeszcze wyżej, przy samym pasie granicznym, droga gorsza i piętnaście kilometrów dalej do zwalki. Ja jestem człowiek prosty i starałem się jak najlepiej, ale oświadczam: jeśli nie dostanę nowych wozów – przestanę wozić drzewo, bez względu na konsekwencje. Wykonywałem zadanie, dokąd mogłem, i nie patrzyłem na nic, ale wiem, czym to się skończy, i dlatego proszę, żeby mnie przerzucono na inny odcinek, w niższe góry, lub dano mi wozy zdolne do normalnej eksploatacji...*

Urwał nagle i cisnął ołówek o stół. Podszedł do okna i otworzył je szeroko, usiadł na parapecie i wsłuchiwał się w ciszę: patrzył w błyszczące nad doliną gwiazdy i zdawało mu się, iż przerywany, głuchy szum potoku jest ich głosem. Daleko gdzieś błysnęły reflektory, potem przybliżył się wrzask silnika, żółte światła przesunęły się po jego twarzy i Warszawiak chwiejnie wyszedł z kabiny. Śpiewał skrzeczącym głosem:

*Miły – nabawiłam się kiły...*

Dotoczył się do okna, złapał ręką futrynę i ciężko dysząc, wpatrywał się w twarz Zabawy.

– Humorek jest – powiedział Zabawa – prawda?

Warszawiak milczał i uśmiechał się.

– Ty będziesz następnym – powiedział wreszcie.

– Ja mam już upatrzone miejsce na dołek – powiedział Zabawa.

– Nie masz mnie co straszyć.

Warszawiak uśmiechnął się smętnie.

– Będę pluł na twój grób – wymamrotał. – Będę pluł na wasze groby. Na wasze wszystkie groby...

– Dobrze, serce. Potem możesz sobie robić, co ci się podoba. Ale dopóki ja żyję, daj spać mojej żonie.

Warszawiak otrzeźwiał nagle. Podniósł twarz do góry, przekreślając krzywizną nosa spokojnie nieba.

– Twojej żonie? – powtórzył. – Czy ty masz jeszcze żonę? Czy ty jeszcze w ogóle coś masz? Z czym przyjechałeś tu do nas? Z kłamstwem – że przyjdą nowe wozy; ze spluwą – kiedy kłamstwo nie pomogło; z bluffem – żeby zatrzymać ludzi; z dziwą – którą podajesz za swoją żonę, a która...

Umilkł nagle.

Patrzyli na siebie w milczeniu, a sekundy rozszerzały ich źrenice. Potem Zabawa chwycił Warszawiaka za koszulę i przyciągnął go do siebie.

– A gdzie spluwa? – zapytał Warszawiak. – Zapomniałeś już, że masz to żelazne oczko?

– Mów, co wiesz.

– Ej – powiedział Warszawiak – nie wygłupiaj się... – Strącił jego rękę. – Przecież i tak nic nie zrobisz, a nieboszczycy są małowówni. Bohaterowie także. Tylko ty dużo gadasz. Partia. Drzewo. Wozy. Ludzie...

Czego ty chcesz od niej? Puść ją, niech jedzie do miasta. Niech jedzie do wszystkich diabłów. Masz drzewo, spluwę i nas. Mało?

– Gdzie idziesz? – krzyknął Zabawa.

Przystanął, odwrócił się.

– Od dziś śpię w wozie – powiedział. – Nie będę spać w baraku. Tam śmierdzi tą dziwą, twoją żoną. I spermą nieboszczyków. Dobranoc.

*Miły – nabawiłam się kiły...*

*Miły – wiem na pewno, że ty...*

Odszedł do swego wozu, do jednego z trzech ostatnich samochodów, które stały w swych odwiecznych koleinach, a trzy puste koleiny obok nich ciągnęły się aż w mrok doliny; napelnione połyskującą w księżycu wodą, lśniły niby srebrne wstęgi. Zabawa stał chwilę nieruchomo, potem odszedł od okna. Wziął do ręki naftową lampę i pochylił się nad Wandą; spała spokojnie, założywszy jedną rękę pod głowę, a drugą przesłoniwszy oczy, jak dziecko, a spokój jej snu był – jak zdawało mu się – spleciony z ciszą i milczeniem doliny. Stał w milczeniu, patrząc na nią rozszerzonymi oczyma, wciąż z wyciągniętą w rękę lampą, potem nagłym ruchem postawił ją na stole.

– Obudź się – rzekł. – Słyszysz?

Otworzyła oczy i powracała przez chwilę ze snu.

– Wrócisz jutro do miasta – powiedział. – Dobrze?

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc nic, potem przytuliła się nagle swym rozgrzanym, ciężkim od snu ciałem.

– Kochany – rzekła – kochany... Wszystko ci przebaczę.

– Wszystko?

– Och, tak. Wszystko.

Wstał.

– To dobrze. Jutro wrócisz do miasta – sama. Spakujesz swoje manatki, a ja rano odwiozę cię na pociąg.

– Sama?

– Nie słyszałaś?

– Co będę robić – sama?

– Twoja sprawa.

– Ty zwariowałeś?... – Roześmiała się nagle. – Wiem, ten bydlak powiedział ci, tak? Ale ja sama nie wrócę, słyszysz? Ty mnie tu przywiozłeś. Ty mnie przywiozłeś stamtąd i obiecywałeś mi złote góry: życie i mieszkanie, i dzieci, i spokój. Ty czy nie ty?

Milczał.

– Dobrze – rzekł po chwili. – Zostaniesz, dokąd będziesz chciała. Przyjdą nowi ludzie i nowe wozy. Znow będą się sypać. Zostań, jeśli lubisz miauczeć pod nieboszczykami. Obrączkę!

– Co?

Zdarł jej z palca obrączkę i cisnął ją w ciemność.



– Śpij, kochana – powiedział. – I nie myśl dużo. To nie dla ciebie. Pracuj raczej czym innym, a miasto będzie blisko.

– Śmieliby się ludzie w mieście – rzekła – gdybym im powiedziała.

– Co?

– O tobie. Że przez cały czas, jak jesteś tutaj – ani razu mnie nie miałeś. Że zawsze było tak, jak ja chciałam, a nie jak ty. Zwariowaliby ze śmiechu. Wykończyłeś ludzi, wykończyłeś wozy, a mnie nawet nie tknąłeś. I chodziłeś z kutasiną po prośbie. Bo ja tak chciałam. Dobranoc.

– Dobranoc, kochanie.

Znów usiadł przy stole. Przeczytał swój list raz i drugi, potem unióśł go nad płomień lampy; patrzył, jak gorący podmuch unosi sadze ku górze i jak wsysa je ciemność za oknem, następnie począł pisać:

*Zwiozłem – zgodnie z poleceniem i z zadaniem wyznaczonym mi przez Partię – drzewo z rejonu dwudziestego szóstego. Strat w drzewie nie było. Jutro rozpoczynam zwożenie z rejonu osiemnastego. Zostało nas tylko trzech kierowców. Zgodnie z Waszym poleceniem prowadzę akcję uświadamiającą – upolityczniającą wśród ludzi. Już są pewne wyniki. Potrzeba mi ludzi. Czekam na następnych.*

– O czym myślisz, kochanie?

Uśmiechnął się.

– Myślę o tym – rzekł – że gdybym potrafił wymyślić o kobiecie jakieś nowe słowo, będące czymś więcej od „kurwy” – byłbym bogatym człowiekiem i wtedy mógłbym ci kupić całe miasto. Świat by mi za to zapłacił wszystkimi swoimi drzewami. Dobranoc, kochanie...

Odwrócił się do okna i patrzył do świtu w gwiazdy – owe posępne róże nocy, rozkwitające w jej sercu i więdące wraz z urodą poranka, kiedy jasność i słońce zdobywają władzę nad pogrążonym w chłodzie świtem. Potem ubrali się i odjechali na swych gruchotach w wysokie, omotane jeszcze mgłami góry, tam skąd słońce wydaje się jeszcze dalsze, jeszcze bardziej zimne, i jeszcze bardziej niepotrzebne.

Słońce było już wysoko; wylegiwała się w jego promieniach jak puma i kiedy usłyszała znajomy grzechot motocykla nadjeżdżającego od szosy, nie chciało jej się nawet otworzyć oczu i poruszyć ociężałego od wchłoniętego słońca ciała. Ranek był wyjątkowo ciepły i jasny, duszny od zapachu ożyłego już lasu i nic nie mąciło jego spokoju, a cikliwy bełkot strumienia w dolinie sprzyjał temu, by nie myśleć o niczym i trwać w bezruchu, ze słoneczną ciemnią pod powiekami.

– Ej – powiedział Buźka, ustawivszy motocykl na podpórcę. – Kiedy byłem tu dwa tygodnie temu, leżała pani tak samo na słońcu, prawda?

– Nie, nieprawda Na plecach.

– Tak, pewnie – przyznał motocyklista Buźka Ściągnął już z zakurzonej twarzy okulary i stanął przed nią promienny i radosny. – Tylko ja jestem delikatny.

Usiadł na pieńku do rąbania drzewa i począł grzebać w swojej skórzanej torbie; obliczył pieniądze, układał je w małe kupki na ziemi.

– Może pani pokwituje – rzekł, skończywszy robotę. – Niech pani przeliczy i pokwituje. Nie chce mi się czekać do wieczora.

Zeskoczyła z dachu i zbliżyła się do niego. Była zupełnie brunatna, dzięki czemu twarz jej sposepniała Kiedy widział ją ostatni raz, była zaledwie złotawa, tak jak potrafi tego dokonać z ludzkim ciałem pierwsze, delikatne słońce.

– Opaliła się pani – rzekł, oblizując zeschnięte wargi. – Kiedy?

– Mam chyba czas. Jak pan myśli?

- Myślę – rzeki Bużka i westchnął. – Proszę liczyć... Zabawa – zgadza się?
- Tak.
- Warszawiak – zgadza się?
- Tak.
- Orsaczek?
- Tak.
- Apostoł?
- Nie – powiedziała. Odsunęła pieniądze na bok.
- Nie? – zdumiał się Bużka. – Dlaczego?
- Nie ma Apostoła.
- A gdzie jest?
- Poszedł.
- Dokąd?

Popatrzyła ponad piękną jego głową na bliskie i dalekie korony drzew; były prawie tak samo zielone jak w chwili, kiedy przyjechała tutaj, choć wtedy leżał jeszcze wszędzie śnieg i wilki zostawiały na nim ślady swych wstrętnych łap; tak samo odgradzały ten skrawek rozjeżdżonej i porytej ziemi od nieba, miasta i świata, i ciągły ich szum był wtedy tak samo spokojny.

- Dokąd? – powtórzył Bużka.

Odwróciła się.

- Drogą wszystkich ludzi.

Bużka skrzywił się.

– Mój Boże – rzekł. – Niech pani powie... To człowieka już nie ma, a oni tam nic nie wiedzą i przysyłają pieniądze dla niego, i ją jadę, i wiozę...

Przerwała mu.

– Niech się pan nie wygłupia – rzekła. – Tu wszyscy wiedzą i mówią o tym, że to pan kombinuje, żeby brać wypłatę za nieboszczyków, korzystając z bałaganu w centrali i z tego, że oni o nas nic nie wiedzą. Raz, jak mówią, woził pan przeszło trzy miesiące wypłatę komuś, na kim już dawno przekwitły tuje. Do mnie proszę tak nie mówić, śliczny chłopcze.

Popatrzył na nią zimno.

– Kłamstwo – powiedział. – Po pierwsze; nie trzy miesiące, a dwa Po drugie: temu człowiekowi nikt nie sadził na grobie kwiatów, tak jak nikt nie sadi kwiatów Dziewiątce ani Apostołowi. Pani dobrze wie, jacy ludzie pracują w Drzewie, o groby takich ludzi nikt nie dba. A w końcu: umarli są umarłymi i pani się też o tym przekona, przymierzając pewnego dnia welon przed lustrem. I wreszcie jedno: w Polsce tylko ci nie kombinują, którzy nie mogą, bo potrafi prawie każdy. Ja okradam tych, co są albo w rajku, albo w piekle, a tam nasza waluta i tak nie ma wartości; a ci w centrali i ci jeszcze wyżej okradają nas i z życia, i z zarobków, kombinując w ten sposób, że Drzewo jest dla wszystkich tutaj ostatnim miejscem, gdzie mogą pracować. Ja kombinuję na grobach, a oni na żywych ludziach. Niech pani mi powie, śliczna panienko: kto tu naprawdę jest złodziejaszkiem?

Milczała, patrząc na niego z uwagą. Wstał i począł chodzić wielkimi krokami, a w pewnym momencie spostrzegł leżące na ziemi pieniądze i kopnął je w bok. Ogarnęła go wściekłość i szarpnięciem rozerwał koszulę na piersiach. Teraz był naprawdę śliczny, kiedy tak chodził kocimi krokami, z pociemniałą twarzą i rozszerzonymi pasją oczyma – wodziła za nim wzrokiem jak za ptakiem zwiastującym burzę.

– Co ty myślisz? – powiedział. – Mam żyć tak jak wy tu? – Podskoczył do baraku i kopnięciem otworzył drzwi. – W takiej norze? W zaduchu? Czekać, aż połamię sobie nogi i ręce, i kark? A wtedy przyjdę do ciebie i ty mi dasz żyć, prawda? – Otrząsnął się jak pies. – Nie, miła – powiedział. – Wszystko, tylko nie to. Opowiadałem ci wtedy film, ale ten bandzior nie dał mi skończyć. Skończę go teraz – szybko i bez pudła. Słuchaj: oni wszyscy

powędrują w chmury lub do piekła, gdzie ich tylko będą chcieli przyjąć. Twój mąż z nimi. Może zresztą zostanie ci wzruszający kaleka? Kto to wie? Nie wiem, ile to potrwa: tydzień czy rok, głupcy mają w końcu szczęście. Może pięć lat? Nikt tego nie wie. I wtedy ty...

Urwał nagle i pochylił się nad nią.

– Co – ja?

– Wtedy ty – rzekł – wrócisz do miasta, to pewne. Ale już nie będziesz taka, jaka jesteś teraz. – Uśmiechnął się i przeciągnął dłonią po jej twarzy. – O, nie – rzekł – ten film nie skończy się ładnie. Do miasta wróci stara, brzydka baba, z którą nikt się nie ożeni i która będzie musiała płaszać pod latarnią, żeby pijani chcieli na nią popatrzeć...

– Urwał, potem rzekł: – Smutne, prawda? Cóż robić? Ja bym sam chciał, żeby mogło się to skończyć inaczej.

– Ty masz dom w mieście?

Wyprostował się.

– Mam – powiedział. – Pewno, że mam. I dom, i trochę forsy, która kwitnie na waszych grobach. I żebym miał jutro skonać, to dziś jeszcze składałbym forszę na nowy, czarny, porządny garnitur, żeby się odróżnić czymś od was i waszego przeklętego życia.

– Jak wygląda twój dom?

– Jak wygląda? – powtórzył. Znów pochylił się nad nią; ujął jej głowę w ręce i przyciągnął do siebie. Teraz z bliska ujrzała jego oczy – czułe i jasne, pełne dobrego światła.

– Po co ci mam mówić? – rzekł.

– Opowiem ci, odjadę, a ty wrócisz do baraku, będziesz liczyć pluskwy tych szmaciarzy i myśleć o tym. Po co ci to potrzebne? Kiedy żyje się w takim miejscu jak tutaj, człowiek nie powinien marzyć o niczym.

Wstał, raz jeszcze przeciągnął suchą dłonią po jej twarzy; podszedł do motocykla i sprowadził go z podpórki.

– Jak wygląda twój dom? – powtórzyła.

Uśmiechnął się.

– Codziennie rano trochę słońca – rzekł. – A to przecież najważniejsze. Nic nadzwyczajnego, ale człowiek lepiej myśli niż tutaj... – Kopnął rozrusznik i silnik zagrzecotał monotonna. – Żegnaj – krzyknął Buźka, przekrzykując warkot; miał już zasunięte na oczy okulary i wyglądał bardziej na przybysza z obcej planety niż na tego pięknego chłopca, z którym rozmawiała przed pięcioma minutami; pomyślała wtedy, że wszystko by dała, aby raz jeszcze spojrzeć w prawdziwą jego twarz. – Żegnaj – krzyknął – i nie pamiętaj o tym...

– Pojadę z tobą – krzyknęła – Słyszysz? Wezmę tylko sukienkę.

Zdjął rękę ze szpuli gazu: silnik przycichł i pykał teraz niby kolosalna fajeczka Popatrzyl na nią i uśmiechnął się.

– Nie bierz nic stąd – rzekł. – Jedź tak, jak teraz. Po co ci sukienka? Chodź, oni mogą nadjechać...

Objęła z tyłu jego szyję i pędzili teraz przez dolinę i ciepły wiatr, przechylając się to w prawo, to w lewo, zwyciężając raz po raz swymi rozgrzanyimi ciałami i rozdygotaną masą żelaza wszystkie prawa ziemi i równowagi – potem – przez zakręt Warszawianka i Zabawy, Partyzanta i Dziewiątki; potem koło ogromnego stosu drzewa, które obmyły już gwałtowne deszcze i którego górne bierwiona prawie na białą, w ciągu dwóch dni, spłowiły od słońca; wyjechali wreszcie na szosę, która oddalała ich od baraku i przybliżała do miasta i której oslepiająco biały asfalt mętniał z chwili na chwilę, gdy motor wciąż nabierał szybkości; aż w końcu stał się szarym, zatartym pasem biegnącym wśród niewzruszonej zieleni. Nagle Buźka skręcił w bok tak gwałtownie, aż krzyknęła z przestachu i jeszcze mocniej przycisnęła się do jego twardej szyi; motocykl znów biegł w podskokach po leśnej drodze przez dobre kilkaset metrów. Potem Buźka zatrzymał się.

- Chodź – szepnął.
- Tu? To może w mieście?
- W mieście? – rzekł. – Daleko jest miasto.

Znów ustawił motor na podpórcie – tuż nad stromym urwiskiem, którego dno wyszczerzyło swe zęby kamieniami, ona powlokła się za nim. Nie myślała o niczym i nie czuła nic, teraz – kiedy przedzierali się przez gąszcz, obcierając swe nieosłonięte ciało szorstkimi gałęziami, i potem – odsunawszy z ramienia jego spocone, nieco podrygujące czoło. Poprzez ciemne kopuły drzew patrzyła w niebo i do rozedrganej maszyny, włączającej jej ciało w ostre, słońcem nagrzane igły, mówiła – zamiast tysiąca przygotowanych – tylko dwa prawdziwe słowa, brzmiące jak jęk i które on brał za jęk:

- Miasto, miasto.

Warszawiak skończył pracę pierwszy; zrzucił drzewo w tartaku i wracał już do domu, ciągnąc za sobą spiralę białego kurzu. Przejeżdżając przez ostatnią wieś na swojej drodze, musiał przystanąć – szosą ciągnął uroczysty orszak weselny; druźbowie i ciemno ubrani goście kompletnie pijani tarzali się na rozklekotanych furkach; chudym szkapom powbijano w wypłowiałe grzywy kolorowe wstążki i papierowe kwiaty, co przy ich pokraczności i wychudzeniu nadawało im wygląd i śmieszny, i żalony. Panem młodym był tęgi chamuś o spoconej twarzy; siedział dumnie i sztywno, rozglądając się władczo tępyimi oczami. W pewnym momencie spojrzenia jego i Warszawiaka skrzyżowały się – Warszawiak mrugnął na niego i narysował palcem kółko na czole.

– Po co ci to było, kochany? – krzyknął. – A nie lepiej tak na rybki pójść? Taka sama przyjemność i z rybą nie trzeba się od razu żenić...

Ruszył na cały gaz, przerażając i konie, i pijanych weselników. Szosa ukryta była w cieniu, słońce pastwiło się nad nieruchomymi drzewami i stamtąd tylko – kiedy budził się ciężki wiatr – dochodził podmuch; niemrawy i lepki; w tym powietrzu gęstym jak smoła silnik pracował ciężko i bezdźwięcznie.

Daleko przed sobą zobaczył służbę pograniczną, jechali otwartym łązikiem, a jeden z żołnierzy podniósł już do góry żółtą chorągiewkę: stop. Warszawiak uśmiechnął się.

- O nie, kochani – powiedział. – Nie lubimy się przecież, prawda?

Zerknął wprawo, lecz tu trwała niewzruszona ściana lasu. Wychylił się w lewo i zobaczył leśny dukt; wyboista droga prowadziła w ciemną, senną wilgoć. Rzucił w bok kierownicę, aż piszczały koła, wyłączył silnik i na jałowym biegu zjeżdżał w dół przez las skryty w cieniu, a wszystkie dziesięć kół jego wozu miażdżyły gałęzie i konary: dukt był wąski i Warszawiak co chwila pochylał głowę, aby uniknąć uderzenia gałęzią w twarz.

Kiedy zobaczył motocykl Buźki – zatrzymał się. Wyszedł z wozu i stał nieruchomo, wysunawszy do przodu krogulczy nos; chudy, wysoki, z ciemną, spaloną twarzą i w brudnej koszulce gimnastycznej, na tle świeżej, spiętrzonej i nieprzytomnie radosnej zieleni – wyglądał jak zły duch wszystkich ciemnych lasów i trzęsawisk. Nad głową jego wrzeszczały ptaki, a błotnistą ścieżką przesunął się miękko zielonkawy, mały wąż. Stał wciąż nieruchomy i oczekujący, patrząc przed siebie pustymi oczyma i kołysząc długimi rękami, a potem – kiedy usłyszał ich głosy – jego oczy napełniły się powoli zielonym światłem. Rozejrzał się raz jeszcze; w górze było niebo i oni, i las; po prawej stronie drogi – błoto i urwisko.

A potem wszedł na górę ciszej od węża i widział ich leżących obok siebie – obezwładnionych upałem i miłością; i widział ich miłość taką, jaką widywał czasem w postrzępionych książkach i na brudnych zdjęciach, które przeszły przez tysiące rąk, budząc uśmiechy niedowierzania; i patrzył na to wszystko przez czas bardzo długi, nie zamykając oczu ani na sekundę – i niebo, i zieleń pozostały nieruchome, i tak samo spokojnie szumiał las.

- Jedźmy już – powiedziała Wanda.

- Dokąd?
- Jak to – dokąd? Do miasta.
- Pojedziemy – rzekł Buźka – ale nie wszyscy.

Podniósł się.

– No, no – rzekł. – Ale ciebie łatwo obujać. Mój dom? Mieszkam w hotelu robotniczym, kochana. Czterdziestu na jednej sali; nocami awantury, pijaństwa, kradzieże. Kiedy chcę robić z własną żoną to co z tobą – musimy się spotykać na korytarzu albo jeszcze gdzie indziej...

– Uchwycił tuż przed swoją twarzą jej rękę. – Ej – rzekł. – Nie wygłupiaj się. Bądź miła do końca.

Pozapinał się, naciągnął okulary na twarz i zszedł na dół, mruczając coś do siebie, a kiedy stanął już na drodze, zobaczył Warszawiaka; Warszawiak siedział okrakiem na zderzaku swego wozu – był uśmiechnięty, palił papierosa i wyglądał milej niż zwykle. Buźka rozejrzał się: motocykla nie było. Podbiegł do urwiska: kilkadziesiąt metrów pod nim leżała kupa potrzaskanego żelastwa, karter silnika rozłupał się na kawałki i wyciekła oliwa lśniła tłusto w zachodzącym słońcu.

– Mój motocykl – wybełkotał Buźka. Złapał się rękami za głowę.

– Spadł...

– Mnie się też tak wydaje – powiedział Warszawiak. Siedział nieporuszony i uśmiechał się; jak zwykle w każdej wolnej chwili rysował patykiem brzydkie rzeczy na ziemi, tym razem była to naga kobieta rozpięta na krzyżu.

– I co teraz będzie? – wymamrotał Buźka.

Warszawiak uniósł głowę i odrzucił patyk. Przyglądał się chwilę swemu dziełu, potem rozmazał rysunek obcasem.

– Wiele różnych rzeczy – powiedział.

Buźka oprzytomniał nagle. Spojrzał na Warszawiaka i cofnął się do tyłu.

– No – powiedział Warszawiak – jak ci tam poszło z nią, Buźka?

Buźka wsadził rękę do kieszeni i nieznacznie wyciągnął nóż; położył palec na cynglu sprężyny.

– Nie najgorzej.

Warszawiak skończył palić, rzucił niedopałek i starannie zgasił go nogą. Wciąż siedział na zderzaku, majdając nogami.

– Przykro mi – rzekł. – Ale to już chyba ostatnia dziewczyna w twoim życiu, mój śliczny.

– Tak ci się wydaje, Warszawiak.

– Ech, skąd. To ty raczysz żartować.

Stała nad nimi i widziała, jak Warszawiak, nie zmieniając wyrazu twarzy, chwycił się nagle rękami za zderzak i ruchem sprężyny wyrzucił obie nogi prosto w twarz Buźki, miażdżąc ją w ciągu sekundy; jeszcze mokry dźwięk uderzenia wisiał nad drogą, a ona widziała już, jak Buźka wali się do tyłu przez głowę w najgęstsze błoto i Warszawiak skacze ze zderzaka znów obcasami na twarz tamtego; a potem już nie mogła odróżnić, kto jest kim – w tej mazi błota walczyły ze sobą dwa upiory bez twarzy i oczu, zanurzając nawzajem w breję własne głowy i przelewając się wciąż uderzeniami w brzuch, w twarz, w kręgosłup, w nerki i w wątrobę; celując kolanami w krocza i palcami w oczy; a wszystkie te uderzenia – szybkie i dławiące – brzmiały w tym błocie niby klekotanie pralki o wodę; aż w końcu jeden wywindował się na drugiego, chwycił jego głowę za włosy i zanurzył ją w błoto, siedząc na drgającym niby stalowy resor karku – a wtedy na powierzchnię błota poczęły wyskakiwać, jeden za drugim; szalenie szybko i w sposób jakiś komiczny – pęcherzyki powietrza, podczas gdy nogi tego człowieka młóciły w tyle breję, unosząc aż ku koronom drzew fontanny gęstego błota, które bryzgało i na jej twarz, i na szybę samochodu; wreszcie zamarły i nogi, i powierzchnia błota.

Warszawiak wstał, otarł twarz. Chwycił Bużkę za nogi i wyciągnął go z błota. Podniósł z ziemi nóż, który już w pierwszej sekundzie wypadł z dłoni tamtego.

– Mój śliczny – wymamrotał. – Bużka...

I znów patrzyła, jak Warszawiak – niby leśnik starannie nacinający korę żywiczną drzew – starannie i bez pośpiechu szpeci twarz tamtego, otwierając ją ze wszystkich stron. Podniosła ręce do góry, zasłoniła nimi twarz.

– Przestań! – krzyknęła.

Wstał i odrzucił nóż. Zatoczył się parę kroków i upadł, leżeli teraz obok siebie. Uniosła go z trudem.

– Uciekaj – krzyknęła – Coś ty zrobił?

Popatrzył na nią błędnie, potem wstał. Wciąż patrzył na nią, mrugając oczami, potem uśmiechnął się nagle.

– Kto teraz ładniejszy – rzekł. – Ja czy on?

Wstał i szedł ku niej, błędnie wyciągając przed sobą mokre ręce; patrzyła na niego i nie miała siły się cofnąć.

– Wszystkie jesteście jednakowe – powiedział, łapiąc z trudem oddech. – Moja matka była taką samą dziwką, moje siostry były takie same i ty jesteś taka sama. Wszystkim wam... patrzy z oczu; nawet na krzyżu widzicie nie Boga, a jego koniec... – Chwycił ramię jej stanika i zerwał go; stała wciąż z opuszczonymi rękami. – Pewnie cię boli tam wszystko w środku, prawda? Czy możesz od początku? Ale to nic, przejdzie. I te twoje śliczne usta też cię bolą, co? Przestaną. Może cię nawet i boli, ale nic po tobie nie widać. Nigdy po was nie widać. Można bawić się z wami, podmywać, i bawić od początku... – Znów wyciągnął rękę; szarpnął perkalik, który pękł jak pajęczynka, a ręka jego pozostawiła na jej ciele ślad błota. – Czego szukacie, czego pragniecie, ponure bydlęta? Po nagłą cholere rodzicie się wśród nas? Nylonowe zwierzęta...

– On umrze – rzekła.

– Umrze? – powtórzył. – Taki prędko nie umiera To by było za dobrze.

Chwycił Bużkę za włosy i postawił go na nogi. Skrwawiona twarz patrzyła na niego jednym okiem, otworzywszy kilka ust. Odwrócił go szarpnięciem i kopnął; upiórek szedł wśród spiętrzonej zieleni, oblany czerwienią konającego słońca: wyciągnął przed siebie ręce i szedł, i padał, podnosił się i brnął od urwiska do ściany lasu, ni to płacząc, ni wyjąc, ni śmiejąc się głupekowato. Warszawiak usiadł na błotniku.

– Wracaj – rzekł po chwili. – Uciekaj stąd w każdym razie.

– Warszawiak – szepnęła – Ja teraz wiem, że tylko ciebie...

Zatrząsł się ze wściekłości i umilkła Podniósł na nią oczy, znów tak samo puste jak zwykle i bez światła.

– Lusterko – syknął. – Lusterko. Teraz ty się sobie przyjrzyj...

Odwrócił tylko lusterko i pochylił jej twarz; patrzyła chwilę w śmiesznie zmniejszone odbicie własnej twarzy; a po chwili – poprawiła włosy i oblizwała usta; teraz wyglądała już o wiele lepiej. Okręcił ją w miejscu i pchnął kopniakiem; odeszła w drugą stronę, tak samo zataczając się jak Bużka, lecz już po kilku metrach zrównała krok i szła spokojnie. Został sam, na środku porytej drogi; ptaki wciąż śpiewały nad jego głową, a daleka dolina powtórzyła po wielu chwilach słowo: lusterko. I znów wąż przemknął ścieżką, unosząc na swej połyskliwej skórze skradziony słońcu promień; zresztą było ono ogromne i oświetlało wszystko: i węża, i doliny, i kamienne drzewa, i kałużę oliwy z roztrzaskanego motocykla, i czerwone ręce Warszawiaka, który oglądał je ze wstrętem, marszcząc krogulczy nos.

Wóz nadjeżdżał z doliny i Wanda wyszła przed barak. Orsaczek wysiadł z kabiny, lecz nie kwapił się wcale z powrotem do baraku; podniósł maskę, sprawdził stan oleju, cmoknął przy tym, mamrotał coś do siebie, kręcąc jasnym łbem; potem wyciągnął smarownicę i

rozłożywszy na błocie brudną derkę – wpełzł pod samochód. Patrzyła długą chwilę, jak Orsaczek morduje się z zapiekłymi sworzniami, zwyciężając je stopniowo żółtym smarem, który lśnił w słońcu jak bursztyn, wreszcie zapytała:

– A gdzie tamci?

– Nie wiem – rzekł, a głos jego, dochodzący spod ramy brzmiał głucho i bezdźwięcznie. – Jeśli nie wrócili jeszcze, to musiało im coś nawalić.

– Ty, oczywiście, wyrwałeś się pierwszy do miasta – rzekła. – Kursik, co? Taksóweczka.

– Taksóweczka – potwierdził Orsaczek.

Wylazł spod wozu; otarł starannie smarownicę i schował ją do skrzynki, którą zamknął na małą kłódeczkę. Potem obszedł jeszcze kilka razy swój samochód, pochylając się i wspinając na palce – wycierał szmatą niewidoczne dla niczyjego oka pyłki; walczył stalową szczotką z plamami rdzy i sprawdzał ciśnienie w oponach; potem raz jeszcze zapuścił silnik i podstawivszy rękę pod uciętą pod tłumikiem rurę wydechową – wahał ją przez chwilę – wreszcie uznał, że wszystko jest w porządku, i wrócił do baraku. Tam ściągnął koszulę i począł się myć, parszając przy tym jak koń. Umyty już i ogolony, położył się wygodnie na pryczy.

– Widzisz – rzeki i uniósł rękę: na ścianie, tuż nad łóżkiem, miał naklejone wycięte z gazet fotografie samochodów. – Coś takiego będzie się mieć.

Popatrzyła na jego uśmiechniętą twarz, potem – na oblepioną fotografiami ścianę i roześmiała się.

– Nic z tego, dzieciaku – powiedziała. – Do niczego nie dojdiesz tutaj, nie masz nawet co o tym myśleć. Do końca życia będziesz nalepiał na ścianach własne sny.

Uśmiechnął się z wyższością, lecz dostrzegła w jego oczach niepokój.

– Wydaje ci się – rzekł. – Mam już trochę forsy.

– Wiesz, ile kosztuje wóz w mieście?

– Rozmaicie można pokombinować – rzekł.

Znów spojrziała na jego uśmiechniętą, pewną siebie twarz – wyglądał jak człowiek, który wie, czego chce, i zdaje sobie sprawę, że nic z jego pragnień nie jest mrzonką. Podeszła do ściany i w milczeniu poczęła drzeć i zrywać fotografie.

– Co robisz? – wrzasnął.

– Idź – powiedziała – pojedź do miasta, upij się, rób, co chcesz, ale nie myśl o tym. Już teraz na to za późno.

– Za późno? Co ty o tym wiesz?

– Zabawa mi mówił – powiedziała. – Od pierwszego maja nie będzie już wolno kupować prywatnym ludziom samochodów, on chyba zna się na tym, prawda? A dziś jest dwudziesty siódmy kwiecień. Przez trzy dni nic nie zrobisz, a więc po co masz o tym myśleć? Zajmij się czym innym. Możesz na przykład kupić maszynę do szycia.

– A ja chcę taksówkę – zawył Orsaczek. – Trzy dni.

– Och – rzekła – cóż to jest: trzy dni? Mam jednego znajomego, który się tym zajmuje – pośredniczy, kupuje, spekuluje – i on mi się nieraz skarżył, ile czasu trwa załatwienie takiej sprawy.

Orsaczek usiadł na pryczy i złapał się za głowę.

– Gdzie jest ten twój znajomy? – szepnął.

– We Włocławku – rzekła. – On wiedział, jak się urządzić.

Zeskoczył na podłogę.

– Daj mi jego adres – powiedział, wciągając gorączkowo buty. – Szybko.

– Adres? – powtórzyła ze zdziwieniem. – Adres? Ty myślisz, że on nieznanemu człowiekowi coś załatwi? To są delikatne sprawy. Powiedz, Orsaczek, czy ty jesteś rzeczywiście taki głupi, czy tylko udajesz?

Ale Orsaczek biegł już do samochodu, zapinając po drodze kurtkę.

– Adres – krzyczał, kopiąc w akcelerator. – Błagam cię! Albo pojedź ze mną.  
– Oszalałeś. Przecież wiesz, że mam męża.  
– Do cholery z twoim mężem – ryczał Orsaczek, bezskutecznie naciskając rozrusznik; jego wycackany silnik jak na złość nie chciał zaskoczyć. – Do diabła z twoim mężem. Jedź ze mną po taksówkę.  
– Aha – rzekła, uśmiechając się do niego niewinnie. – A potem zostanę sama?  
– Nie sama – krzyczał – nie sama. Ze mną, z taksówką. O Boże. To przecież teraz albo nigdy.  
– Tak – powiedziała niewzruszonym tonem. – Teraz – albo nigdy.  
– Ożenię się z tobą – krzyczał. – Siadaj. Z tobą, z twoją babką, z kim tylko chcesz. Zresztą... Kocham cię. Najdroższa, siadaj.  
Pokręciła głową.  
– Tere-fere kuku, mój drogi – rzekła. – Teraz tak mówisz, a potem w mieście mi prysniesz i tyle cię będę widziała. Już raz to zdaje się zrobiłeś, prawda? Masz gdzieś słodką dziecinę, tak?  
– Ja prysnę? – krzyczał Orsaczek, patrząc na nią obłąkanymi oczyma. – Ja prysnę? Taksówka przecież. Panie Boże święty, no siadaj już. Niech ja jednej szczęśliwej chwili w życiu nie doczekam, jeśli ci prysnę. No, siadaj. Najdroższa.  
– Przysięgnij.  
– Przysięgąm, przysięgąm.  
Jechał jak szalony; zmieniając biegi, nie zdejmował wcale nogi z gazu; jego ukochany silnik, który ani przez sekundę nie pracował na pełnych obrotach, teraz wył potępieńczo, jakby za chwilę miał wyrwać się z ramy i pobiec swoją drogą; świat wokół nich zawarł się i stanowił mętną, szarozieloną plamę wirującą półkuliście, gdyż wciąż przelatywali przez zakręty – z prawa w lewo, i z lewa w prawo – a wskazówka licznika biła o sztyft osadzony za cyfrą sześćdziesięciu mil. Orsaczek zmarszczył niskie czoło i zacisnął zęby tak silnie, że zsiniały mu mięśnie szczęk.  
– Co to za drzewo tu leży? – krzyknęła.  
– Apostoł tu zginął.  
Nie dosłyszała.  
– Co?  
– Apostoł tu trzasnął kopytami.  
Wzdrygnęła się; wóz pędził dalej środkiem szosy, ciągnąc za sobą welon kurzu. Z daleka zobaczyła coś, od czego ścierpła jej skóra na głowie; tuż przed zakrętem, na żelaznym pomoście, ustawiona była roztrzaskana karoseria samochodu; na zardzewiałej blasze ktoś wymalował kulfonami: RAJ JEST BLISKO. CHCESZ BYĆ NASTĘPNYM? Chwyliła Orsaczka za ramię.  
– To Dziewiątka się sypnął – krzyczał Orsaczek. – Zabawa kazał ustawić, żeby widzieli lepiej zakręt A litery to już Warszawiak. On lubi hece...  
Przeskoczyli przez luk zakrętu i znów Orsaczek położył nogę na gazie. Po raz pierwszy jechała tym posępnym światem w świetle dnia: wszędzie widziała potrząskane drzewa, kłody leżące obok drogi, doły pełne błota i kamienie wyszczerzone na dnio przepaści, z których kończyły się jedne, a zaczynały drugie; gdzieniegdzie wyciągały się ku niebu kominy spalonych w czasie wojny chałup – nieorane od lat pola zdziczały, a na zgorzeliskach rozpleniły się beztrąsko chwasty. Wszędzie były tablice ostrzegawcze: Z JEDNEGO DRZEWA ZROBIĆ MOŻNA TYSIĄC ZAPALEK, ALE JEDNA ZAPALKA MOŻE PODPALIĆ TYSIĄC DRZEW – na których Warszawiak rysował wstrętne rzeczy i napisy. Wóz to zwalniał, to pędził, wskazówka znów biła o sztyft, lecz jej zdawało się, że nigdy już nie wyjadą z tego lasu i nigdy nie skończą się drzewa.  
– O – powiedział nagle Orsaczek. – Patrz...



Zwolnił i wskazał ręką – tuż przy drodze stał lśniący samochód, którego lakier przekreślała pozioma kreska: taksówka. Koło samochodu, na kraciastym kocu, leżał tęgi mężczyzna w gimnastycznej koszulce i pił z termosu, naokoło niego walało się mnóstwo skorup i tłustych papierków, i tęgi człowiek spoczywał wśród tego wszystkiego otoczony jakby koroną. W samochodzie zainstalowane było radio i tęgi człowiek na kocu poruszał owłosioną głową w takt dziarskiego walczyka.

– Boże – wybełkotał Orsaczek. – To taksówka...

Patrzył chwilę na tęgiego człowieka z uwielbieniem, wreszcie rzekł nieśmiało:

– To pana wóz?

– Ano – rzekł tęgi – mój.

– To opel kapitan.

– Zgadza się. A bo co?

– Nic – rzeki Orsaczek i zaczerwienił się. – Można obejrzyć?

Tęgi spojrział na niego uważnie.

– A proszę – rzekł łaskawie. – Oglądaj pan.

Wanda szarpnęła Orsaczka za łokieć.

– Jedźmy...

Spojrział na nią błędnie.

– Zostaw – pisnął i wyszarpnął łokieć.

Wyskoczył z kabiny i podszedł do taksówki. Przeciągnął dłonią po lakierze, lecz cofnął ją natychmiast jak oparzony – to spocone palce pozostawiły na błyszczącej gładzi tłusty ślad i człowiek na kocu zmarszczył groźnie grube brwi – przyglądał się temu wszystkiemu z szyderczym uśmiechem, wolno zataczając kręgi nogą; teraz słychać było tango.

– Ile pali? – zapytał Orsaczek kościelnym szeptem.

– Czternaście.

– Zmienił pan żychlery?

– No jasne.

– I jak teraz ciągnie?

– Oo, ho – powiedział tęgi.

– To w mieście pan kręci?

– A gdzie mam kręcić? Pewnie, że w mieście. Przyjechałem sobie tutaj odpocząć dwa dni... – Tęgi człowiek wskazał ręką na drzewa.

– Lubię las – oświadczył.

– Las – wybełkotał Orsaczek – las... Pewnie, że to przyjemne.

– Znów zniżył głos do szeptu. – Tłoki ma pan oryginalne?

– No chyba.

– Ale po remoncie?

– Sam robiłem – oświadczył tęgi.

– Cordsy mu pan zastosował?

– Tak, będzie dłużej chodził. Cordsy można stosować od nowości, tylko...

Wanda patrzyła w lusterko i widziała zbliżające się dwa samochody: Zabawy i Warszawiaka. Cmokała, mrugała i krzyczała na Orsaczka, lecz ten – zdawało się – oślepił i ogłuchł, wsadził głowę pod taksówkę i stamtąd coś gadał do tęgiego, który odpowiadał mu nonszalancko, wciąż popijając z termosu, wyszedł zaś spod taksówki dopiero wtedy, kiedy Zabawa delikatnie kopnęła go w zadek.

– Majóweczka, co? – zapytał.

Orsaczek stał niemy i skulony; patrzył okrągłymi oczami w pas Zabawy, zza którego wychylała swój łebek kolba rewolweru. Zabawa nie zwrócił nawet uwagi na to.

– Wracaj – powiedział – do drzewa... – Ujął Orsaczka za ramię i okręcił go w miejscu; Orsaczek poszedł do swego wozu na zgiętych nogach. Zabawa poszedł za nim i wyciągnął z kabiny Wandę. – Ty do miasta – rzekł. – Ale on wróci.

– Słuchaj – krzyknęła. – Ja wrócę z tobą. Teraz będzie dobrze. Ja ci wszystko...

Odszedł; patrzył, jak Orsaczek wykręca swym ogromnym wozem w poprzek szosy i wraca; potem – nie bacząc na czepiające się go ręce – odjechał sam.

Warszawiak patrzył w swe znienawidzone lusterko i widział jej małą postać biegnącą za nimi i słyszał jej krzyk: przyśpieszył, lecz zdawało mu się, że Wanda biegnie razem z samochodem – w lusterku była wciąż taka sama i zdawało mu się, że jej wyciągnięte ręce dotykają jego; włączył sygnał, aby zagłuszyć jej krzyk, a kiedy i to nie pomogło, bo wciąż jeszcze widział jej twarz – uderzył w lusterko łyżką od montowania opon i wtedy dopiero wszystko rozprysnęło się w słońcu jak tęcza: i mała, wciąż biegnąca kobieta, i jego ponury nos, i ściekające po nim łzy.

Przystanąła na środku szosy; wozy były już daleko, a po chwili zniknęły za zakrętem, przed którym ustawiony był szkielet z pytaniem: TY BĘDZIESZ NASTĘPNYM? Patrzyła chwilę, a kiedy urwał się już ich głos, zawróciła i poczęła iść z powrotem w kierunku taksówki. Tęgi człowiek w dalszym ciągu popijał z termosu, a radio znów grało walczyka.

– Chce pani gdzie jechać? – powiedział.

– Do miasta.

– Do jakiego miasta?

Popatrzyła na niego z nienawiścią.

– Wszystko jedno – rzekła.

– W porządku – rzekł tęgi. Starannie otrzepał kraciasty koc i zwinął go; potem zakręcił termos i schował to wszystko do kufra, potem – zerknąwszy na nią i upewniwszy się, że nie widzi – ściągnął z pulchnego palca obrączkę i schował ją do kieszeni. Wsiadł do samochodu i wskazał jej miejsce obok siebie. – Taki piękny las – rzekł – i taki ładny wóz. Aż przykro czasem, że człowiek jest sam zupełnie na świecie.

Silnik nie chciał zaskoczyć i tęgi musiał wyjść; kiedy podniósł maskę, która zasłoniła jego twarz, spojrzęła na palec i chciała ściągnąć obrączkę, lecz obrączki przecież nie było – na palcu pozostało tylko jaśniejsze kółeczko. Rozejrzała się szybko i upewniwszy się, że tęgi nie widzi – schyliła się i potarła ręką o gumową podłogę; po chwili kolor palca się zrównał.

– Pan jest sam? – zapytała.

– Tak. A pani?

– Ja? – zdziwiła się. – No, pewnie...

Tęgi wrócił i usiadł przy kierownicy. Lśniący wóz ruszył.

## Następny do raju

– No – powiedział Zabawa – ubierać się, panowie. Jedziemy do miasta na Pierwszego Maja. Raz w życiu popijemy sobie na wesoło.

Poczęli się golić i ubierać starannie i bez pośpiechu, wydzierając sobie z rąk szczerbate lusterko. Zabawa włożył czarny garnitur i białą koszulę. Warszawiak – granatowy w białe paseczki, żółte półbuty, cytrynową koszulę, krawat z tandetnego jedwabiu z ręcznie wymalowaną papugą, a jego posępny łeb zdobiła kremowa, jasna cyklistówka. Orsaczek włożył samodziałową marynarkę, bryczesy i buty z długimi cholewami, które czyścił już od świtu, plując co chwila na szmatkę.

– Wyglądasz jak stróż w Boże Ciało – powiedział Zabawa, przyjrzawszy się Warszawiakowi.

Warszawiak popatrzył na niego.

– A ty – rzekł – jakbyś się przed chwilą zerwał z katafalku.

– A ja? – odezwał się Orsaczek.

Odwrócili się i popatrzyli na niego.

– Ty – rzekł Warszawiak – jak zwykle, dziecino.

– Znaczy się?

– ...na kaczych nogach.

– Dlaczego na kaczych nogach? – zapytał Zabawa.

– Zagadka życia – powiedział Warszawiak. – Kiedy jeździłem jeszcze za pomocnika, mój król mówił do mnie: jak cię kopnę w tyłek, to zeskoczysz z kości i na żyłach będziesz chodził. Nikt tego nie mógł zrozumieć.

– A ty?

Warszawiak uśmiechnął się ponuro.

– On to mówił już po wszystkim – wyjaśnił. – Jedziemy?

– Jedziemy.

– No to już.

Wsiadli w dwa wozy, aby siedzieć wygodnie i nie pobrudzić garniturów. Zabawa i Warszawiak siedli do wozu Warszawiaka, Orsaczek jechał sam swoim wozem – wypucowanym i lśniącym od ropy. Kiedy przyjechali do miasta – wczesnym popołudniem – na rynku kłębiła się już masa ludzi; wszędzie porozwieszano transparenty i olbrzymie portrety wąsatego człowieka o dobrotliwym spojrzeniu gospodarza. Ktoś przemawiał z czerwono przybranej trybuny, lecz instalacja nawaliła i nie słychać było jego słów; tylko od czasu do czasu kilkunastu młodych ludzi w czerwonych krawatach wznosiło okrzyki: „Niech żyje”, a tłum podchwytował ten okrzyk. Nagle monterzy od instalacji włączyli głośnik i ktoś zaśpiewał potężnym tenorem, podrywając ludzi na rynku: „Już nikt nie zatańczy jak ty...” – głośząc już zupełnie mówcę na trybunie; powstał niesamowity rwetes, umundurowani milicjanci rozbiegli się po rynku z szybkością błyskawicy, lecz po chwili wszystko wróciło do porządku.

– Towarzysze – ryczał mówca na trybunie. – A teraz przemówi przodownik pracy ze spółdzielni wikliniarsko-koszykarskiej, towarzyszy Wieczorek. Niech żyją wikliniarze – duma i chluba klasy robotniczej.

– Niech żyją – podchwycili ludzie. – Niech żyją, niech żyją...

– Towarzysze – zaczął bąkać przodownik pracy, wlepiając przerażone oczy w ludzki tłum.

– Towarzysze...

Zabawa rzekł:

– Towarzysze... krzyknem zachrypniętym głosem. Zachwiejem się, zapłaczem i zaryjem w dupę nosem.

Warszawiak spojrział na niego z boku.

– Mówiłeś co?

– Zdawało ci się.

Postawili wóz w bocznej ulicy.

– Spotkamy się po zabawie – rzeki Warszawiak. – Nie później jak o dziesiątej. Jak się schlejesz – nie będę czekał.

– To cześć.

– Cześć.

– Czołem.

Pożegnali się i wszyscy trzej poszli w jednym kierunku: ku trybunie. Usiłowali nie patrzeć na siebie, lecz po kilku krokach Warszawiak przystanął.

– Dlaczego, do cholery, idziecie za mną?

– Ja idę za tobą? – powiedział Zabawa. – To ty wleciesz się za mną.

– Ja?

– Ty.

– Na pewno nie.

– A gdzie ty w ogóle idziesz?

– Nie wiem. A ty?

– Też nie wiem.

– Mój Boże – rzeki Warszawiak. – W mieście też nie możemy się rozstać. Chodźmy wobec tego na wódkę; tu i tak jest tylko jedna knajpa.

– Dobrze – zgodził się Zabawa.

Orsaczek zatrzepota! rękami.

– O, nie – rzekł. – Ja nie idę. Spotkamy się potem.

– Słusznie, młodzieńcze – rzeki Zabawa. – Idź sobie na strzelnicę. Na pewno taniej wypadnie, a może nawet coś wygrasz.

Orsaczek odszedł. Wstąpili do malej knajpy i siedzieli tam do wieczora, nie mówiąc prawie do siebie nic poza słowami: „No, więc” albo jeszcze krócej: „Przytyk”. Kiedy wyszli na rynek, trzymając się pod rękę – nad miastem płonęły już gwiazdy. Przystanęli nagle.

– Od nas lepiej je widać – powiedział Warszawiak.

– Co?

– Gwiazdy.

Zabawa podniósł twarz ku górze.

– Lubisz gwiazdy? – zapytał.

– Nienawidzę – rzekł Warszawiak.

– Dlaczego?

– Wcale ich nie ma na niebie – powiedział Warszawiak. – Wymyślili je tacy sami dranie jak ty, żeby ludzie mieli się czym dręczyć.

– Racja – rzeki Zabawa – ale zapomniałem ci powiedzieć: jutro przyjeżdżają nowe wozy. Tym razem już naprawdę.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Po co?

– Spakowałbym od razu manatki.

– Odjeżdżasz jednak?

– Tak.

Ruszyli przed siebie, pracując łokciami, i szli w milczeniu: wokół pełno było pijanych, śpiewających, zakochanych; miasto nabrzmiało mrokiem i bełkotem. Nad miastem toczył się gładki talerz księżycy po niebie rozjaśnionym sztucznymi ogniami; wystrzelivano je gdzieś nad rzeką i każdej rakiemie towarzyszyło wycie zachwytu – ludzie podnosili ku górze ręce i otwierali usta, a kiedy purpurowe kwiaty rozpryskiwały się na niebie, tu, na zaśmieconej i zaplutej ziemi, rodził się wrzask: „, Aaaa...”. Do Zabawy i Warszawiaka podbiegł nagle jakiś facet z opaską na rękę i chwycił Zabawę za łokieć.

– Towarzysz Zabawa – sapnął – co za szczęście, co za szczęście. Szukaliśmy was wszędzie, chodźcie szybciej...

– Gdzie?

– Na trybunę, do mikrofonu. Powiecie ludziom coś od siebie, parę słów wystarczy... zresztą powiem wam co... Coś serdecznego, coś o swojej pracy, tak po naszymu... Chodźcie.

Złapał Zabawę za rękaw i pociągnął go za sobą z siłą motoru. Zabawa uczeplił się rozpaczliwie Warszawiaka i pobiegli ku trybunie wszyscy trzej. Kiedy ocknęli się i opamiętali – było już za późno; stali na czerwono udekorowanej trybunie i tysiące ludzi patrzyło na nich.

– Towarzysze – krzyknął facet z opaską do mikrofonu. – Teraz przemówi towarzysz Zabawa, delegat kierowców Drzewa. Niech żyją nasi kierowcy – duma i chluba klasy robotniczej.

– Niech żyją – zawył tłum. – Niech żyją. Niech żyją...

Facet wręczył mikrofon Zabawie.

– Powiedzcie, towarzyszu – zawołał. – Powiedzcie coś o swojej ukochanej pracy, o swoich kłopotach i radościach, i osiągnięciach. Proszę... – Na ułamek sekundy przysłonił mikrofon dłonią i warknął do Zabawy: – Uważać. Nic nie mówić o mięsie...

Zabawa milczał. Stał pośrodku trybuny – jasny, groźny i niemy; patrzył na twarze ludzi otaczających podium, pijane i znudzone, przestraszone i zaciekawione, obojętne i tępe, i zniecierpliwione – orkiestra przestała grać, a wszyscy rwali się do tańca; spocone dziewczuchy we wstrętnych sukienkach przestępowały z nogi na nogę. Stał i milczał, i patrzył, a mikrofon parzył jego dłoń; wreszcie uśmiechnął się – triumfalnie i tak wstrętnie, że jego ostra twarz stała się nagle najohydniejsza w tłumie. Podniósł mikrofon do ust.

– Towarzysze – rzekł, a jego chropawy głos powtórzyły wszystkie głośniki miasta. – Cóż tu mówić, to ciężko idzie. Ale powiem po naszymu, po robotniczemu; kochamy swoją pracę. Co dzień rano budzimy się z radością, że mamy nowy dzień przed sobą i nowe zadania, które musimy wykonać. Pracujemy ze śpiewem i radością, z ochotą i ze szczęściem, bo wiemy, że serca wszystkich prostych ludzi są z nami, że myślicie o nas, że kochacie nas i naszą piękną pracę. Kochają nas nasze kobiety, nasze żony i nasi towarzysze pracy i co jest najpiękniejsze, to właśnie to, że nas wszystkich – kierowców Drzewa – łączy prawdziwa ludzka przyjaźń. I że praca nasza jest po raz pierwszy w historii naszego kraju – pracą radości, a nie pracą niewoli, pracą wolności, szczęścia i lepszego jutra... Wciąż trzymając mikrofon, odwrócił się do Warszawiaka i wskazał go ręką. – Oto stoi koło mnie kierowca, towarzysz pracy, mój najlepszy przyjaciel, który będzie chciał wam powiedzieć więcej niż ja i lepiej ode mnie. Oddaję mu mikrofon.

Wcisnął mikrofon w drewniane ręce Warszawiaka; ten patrzył na niego, mrugając oczami.

– Co mówić? – szepnął.

– Wszystko – rzekł Zabawa. – Co chcesz. Prawdę.

Warszawiak stał nieruchomo, patrząc głupimi oczyma na mikrofon. Potem spojrzął przed siebie i napotkał tysiące oczu.

– Mówcie – syknął ktoś.

– Wał prawdę, mój przyjacielu – krzyknął wesoło Zabawa.

– Towarzysze – wybełkotał Warszawiak. – Towarzysze... To znaczy, co ja chciałem powiedzieć? Tak jest, tak jest... Piosenki też śpiewamy, to prawda. Kochać też kochamy...

Co to ja chciałem powiedzieć?... – Zaciął się nagle beznadziejnie. Patrzył przed siebie, potem zawył rozpaczliwie: – Niech żyje.

– Niech żyje – powtórzyli wszyscy ludzie miasta.

Zeszli z trybuny i szli obok siebie w milczeniu, przepychając się między tańczącymi parami. Napotkali po drodze Orsaczka; zataczał się i płakał.

– Co ci jest, bydlaku?

– Oszukali mnie – bełkotał. – Wiecie, ile kosztuje dobry wóz? Półtora miliona, nawet dwa. A ile ja ukradłem? Siedemdziesiąt tysięcy... – Wyciągnął z kieszeni garść pieniędzy i podetknął Zabawie pod nos. – O – krzyknął – gównu za to mogę kupić, nie samochód. On mi tak mówił, żebym mu wozził drzewo; wozilem. A kiedy dziś przyszedłem do niego, to go już upaństwowili i nie będzie mógł ode mnie kupować więcej drzewa. Więc wziąłem forszę. Chodźcie, bawcie się chociaż wy...

Odrącili go; pojechał twarzą po bruku. Poszli dalej – w kierunku ulicy, na której pozostawili samochody; tam Warszawiak zatrzymał się przy swoim wozie.

– Masz spluwę, Zabawa?

– No?

– Weź do ręki.

Zabawa spojrział na niego i wyciągnął broń; żelazne oko patrzyło prosto w twarz Warszawiaka. Warszawiak uśmiechnął się – uderzył Zabawę na odlew w twarz: raz i drugi – rewolwer wyskoczył z ręki i chlupnął w rynsztoku.

– Wiesz za co? – cicho spytał Warszawiak.

Zabawa uśmiechnął się. Otarł krew z warg.

– Ja wiem – powiedział. – Ale po co oni mają wiedzieć? Widziałeś ich twarze? Te głupie ryje? Cóż, mamy powiedzieć im prawdę o nas? Że nam źle? Że się nienawidzimy? Że przeklinamy i siebie, i ich, i ziemię, i lasy, i wszystko, co nam tylko przyjdzie na myśl? Po co? Co my ich obchodzimy? To wszystko musi zostać z nami. A te nieszczęśliwe mrówki muszą przecież w coś wierzyć... – Przeciągnął ręką po czole i powtórzył: – To wszystko musi zostać z nami. Wszystko, co żeśmy przeżyli. Bardzo złe rzeczy wydają się innym ludziom głupie i nie chcą w nie wierzyć. Pytają: to takie jest życie? – i mrugają na siebie. A życie jest jeszcze gorsze i jeszcze paskudniejsze od wszystkiego, co da się na ten temat powiedzieć... – Spojrzał na Warszawiaka, który stał nieruchomo. – Dlaczego ty im tego nie powiedziałaś? – zapytał.

– Nie mogłem – powiedział głucho Warszawiak. – Było ich tu tylu i takie głupie mordy. Zrozumiałem, że człowiek zawsze, zawsze, zawsze jest sam. Myślałem teraz, że strzelisz do mnie, ale też nie potrafiłeś; nic nie potrafimy dla siebie zrobić... – Pochylił swe długie ciało ku Zabawie. – Więc nikt – rzekł – nie dowie się naprawdę, co my, robotnicy, przeżyliśmy w naszym raju?

– Nie – powiedział Zabawa. – I nie myśl o tym. Każda ziemia, choćby najgorsza, jest prawdą; a każdy raj, choćby najlepszy, jest, mimo wszystko, kłamstwem. I nic więcej nie warto na ten temat mówić. Jedźmy.

Wyjechali z pijanego, pełnego zgiełku i zaduchu miasta i znów pędzili szosą ku jasnym gwiazdom, ciemnym drzewom i sercu nocy – tam gdzie stał ich dom.

Obudził się nagle porażony chłodem; usiadł z jękiem i począł przecierać oczy rękami. Leżał na stosie porwanych plakatów, papierków, kolorowych serpentyn; jacyś figlarze owiązali mu wokół szyi papierową girlandę. Bolała go głowa, wstał i chwiejąc się na nogach, poszedł parę kroków przed siebie. Miasto już opustoszało; został sam na rynku, w środku rozjaśnionej gwiazdami nocy. Wszystkie okna miasta były ciemne.

– Warszawiak! – krzyknął. – Zabawa!... Gdzie wy jesteście, świnię?

I nagle uświadomił sobie wszystko – echo zadudniło w kamiennej pustce i odpowiedziało: świnie. Sięgnął ręką do kieszeni, tam gdzie schował niedawno plik pieniędzy – kieszeń była pusta, inne również. Upadł na ziemię i wył jak pies, wałąc łbem w zapluty cement rynku. Potem podniósł się: łąził na czworakach i gmerał rękami w tłustych papierkach, skorupach, skórkach od kiełbasy, w plwocinach, rzygowiskach i ekskrementach; łąził po gnojowisku tysiocy ludzi na czworakach, pełzał, zapadając raz po raz ciężko głową w stosy oślizgłych śmieci, lecz nie znalazł ani złotówki. Podniósł głowę; gwiazdy uśmiechały się do niego z wysoka, księżyc wychylił zza drzew swój łysy, ciekawy łeb; z pustej trybuny patrzyły na niego twarze dostojników – dobre i szczerze.

– To wy – powiedział Orsaczek. – Półtora miliona...

Wstał; chwielejąc się, patrzył prosto w tekturowe oczy tamtych. Girlanda wciąż jeszcze otaczała jego szyję i litościwie przykrywała strzępy samodziłowej marynarki. Schylił się nagle, wyrwał z ziemi jakiś kamień i cisnął nim w portret – tektura otworzyła się dziurą pełną gwiazd; potem drugi i trzeci, a potem Orsaczek wskoczył na trybunę i poczył demolować ją systematycznie. Miasto spało, a w jego centrum milczący człowiek szalał, łamiąc drzewo, drąc płótna, zrywając transparenty i druty od megafonów, gołymi rękami odrywał bariery, które przybite były calowymi gwoździami, roztrzaskiwał tablice, darł portrety, wyrwał deski z podium i łamał je na trzaski, przewracał budki, w których sprzedawano piwo, i wył przy tym od czasu do czasu.

– Pół-to-ra mi-lio-na...

Z bocznej ulicy wyszło dwóch milicjantów. Podeszli do niego od tyłu. Szarpał się chwilę z nimi i zataczali się po pustym podium niby trójka szalonych tancerzy; wreszcie – uderzony kolbą pistoletu w tył głowy – wyskoczył w górę jak szczupak i upadł bezwładnie między nimi. Taszczyli go, a nogi jego obijały się o bruk i ciągnęły bezsilne jak i girlanda.

– Cholerę w bok – powiedział jeden milicjant do drugiego. – Nie damy rady. Spiło się ścierwo na amen.

Z daleka zobaczyli światło taksówki. Zatrzymali ją i upchnęli Orsaczka na przednim siedzeniu.

– Co jest? – zapytał kierowca.

– Ciężko gość posiedzi – powiedział jeden z milicjantów. – Piątkę najmarniej. Może i więcej? Obraził głowy państwa.

Kierowca gwizdnał. Orsaczek ocknął się na moment i otworzył oczy; zobaczył przed sobą świecącą chorągiewkę licznika z napisem: wolny. Uśmiechnął się szczęśliwie; położył rękę na liczniku i przekręcił chorągiewkę – teraz zapali! się napis: zajęty.

– Taksówka – wybełkotał. – Taksóweczka... – Znów stracił przytomność; głowa opadła mu między nogi.

– Co on mówi? – spytał jeden milicjant drugiego.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – odparł drugi. – Bredzi coś. Wszyscy oni bredzą.

– Dokąd? – spytał kierowca.

– Do bezpieczki.

– Dla mnie każdy klient dobry – rzekł kierowca. – Jak zapłaci – mogę go nawet do raju zawieźć.

Roześmiali się wszyscy trzej.

I znów przyszedł dzień; i słońce dźwignęło już swe leniwe cielsko ponad chłodny świat.

– Świta – rzekł Zabawa. – Może zagramy w karty?

– Chyba tylko w oko – rzeki Warszawiak. – Orsaczka też diabli wzięli.

– Uciekł?

– Chyba. Miał przecież jakąś forszę.

– To dobrze – powiedział Zabawa.

- Dobrze?
- Może jemu się przynajmniej uda.
- Co?
- Nie wiem. Byle co.

– Może – powiedział Warszawiak. – Może... – Wstał i wyszedł przed barak – mgły już uciekały i było prawie jasno. – Będę jechał – rzekł. Odwrócił się i patrząc na puste łóżka, na poobrywane fotografie nad pryczą Orsaczka, na walającą się na stole książkę do nabożeństwa Apostoła, na czaszkę wyzierającą z kąta, na rozrzuconą talię kart. – Zabawa – rzekł. – Słyszysz?

- No?
  - Wierzysz w to jeszcze, co mówiłeś na początku?
- Zabawa stanął obok niego: obaj patrzyli w dolinę.
- Nie – rzekł po chwili.
  - W to, co robiłeś na początku?
  - Nie.
  - W to, co wierzyłeś na początku?

Zabawa milczał; coraz wyżej podnosiły się mgły, ukazując ich oczom zmaltretowaną kołami ziemię.

- Nie wierzę – w wiarę – rzekł Zabawa.

– Chciałem cię zobaczyć takiego – powiedział Warszawiak i uśmiechnął się. – Chciałem zobaczyć szmatę, która już w nic nie wierzy i która niczego nie potrafi już zrobić. Najpierw chciałem cię skończyć, ale potem przyszło mi na myśl, że to drugie będzie lepsze. Człowiekowi nie potrzeba od razu ucinać kutasa, żeby zrobić z niego szmatę, czasem wystarczy tylko rozmawiać, czekać i przyglądać się z boku. Można mu nawet robić manikiur, cóż to szkodzi? – Odwrócił się ku niemu. – Zmarnowałeś ludzi – rzekł – zmarnowałeś żonę, wozy, wszystko. Apostoła, Partyzanta, Dziewiątkę.. Żyliśmy tu z nimi, piliśmy, mieszkaliśmy, a co o nich wiemy? Nawet nie wiem, jak się naprawdę nazywali... Jak ty się nazywasz na imię, Zabawa?

- Stefan. A ty?

– Tadek. Nazywam się Tadek – powiedział Warszawiak. I po chwili ciągnął: – Przecież oni by nawet nie mogli wrócić do miasta – nikt by ich nie przyjął, wszyscy byli spaleni. Mówili, żeby im łatwiej było żyć, a tyś im pokazywał spluwę, mówił o wozach i oszukiwał w karty. A Wanda? Przecież nawet nie była ładna... była jedna, i to wszystko. Czego chciała? Trochę radości, trochę miasta... a tyś ją walił jak sukę, żeby trzymała krótko pysk i nie budziła nas. Mój Boże, oni wszyscy przecież chcieli tak mało, tak strasznie mało... – Przeszedł parę kroków, potem znów odwrócił się. – Nigdzie nie można uciec – rzekł.

– Tylko oni o tym nie myśleli. Miasto? W mieście są tysiące takich jak ty: tutaj – byłeś tylko jeden, i to było lepsze. Nigdzie nie można uciec. Zamieniliście życie w tak wielki koncentrak, że nie potrzeba nawet drutów kolczastych i strażników, psów i karabinów maszynowych. Wystarczą przecież tacy jak ty, tacy, którzy wierzą w coś, o czym nie są do końca przekonani. A reszta poleci sama... – Umilkł, podniósł głowę do słońca, potem mówił dalej: – Miałem brata i to był śliczny chłop, ładniejszy od Bużki i od wszystkich. Przesłuchiwali go po swojemu i dzisiaj jest wariatem. Miał taki śliczny nos, pogruchotali mu krzesłem, spacerowali mu między nogami... – Znów umilkł. – On miał taki śliczny nos – powtórzył z żalem – a dziś wygląda jak widmo. Żegnaj, Stefan. Żyj choćby sto lat i myśl o tym wszystkim, co widziałeś.

- Gdzie jedziesz?

– Szukać – powiedział Warszawiak. – Szukać następnego mocnego ze spluwą. I tych, którzy śpieszą do rajów.

- Cicho – rzekł nagle Zabawa. – Słyszysz? Jadą?



– Co?

– Nowe wozy.

Patrzyli w milczeniu; a potem widzieli je, jak wyjeżdżają z szosy i skręcają w dolinę.

– Jadą – powtórzył Zabawa.

– Tak – powiedział Warszawiak – widzę. Teraz jadą naprawdę. I czerwony jest – ten dla Orsaczka. I dla Partyzanta także, na nim mógłby przejechać przez piekło, nie przez zakręt I dla Dziewiątki, i dla Apostoła. Nowe, dobre samochody. Jadą. Teraz. Czołem...

Zabawa patrzył za nim, jak idzie; wysoki, ciemny i zgarbiony, jak wsiada do swego wozu i odjeżdża, rozrywając ciszę na strzępy; potem spojrzał na stojący samotnie ostatni już, swój, samochód – potrzaskany, brudny, biedny i już nie dojazdy; potem przeniósł wzrok w dolinę, skąd nadjeżdżały te nowe, lśniące, bezpieczne i wspinałe; milczał porażony ich blaskiem i blaskiem słońca, które poprzez mgły i chłody, wiatry i wirujące wciąż rosy wdarło się zwycięsko na białe niebo i oblało świat bezlitosnym blaskiem – chciał obronić się przed tym blaskiem, przysłonić oczy, lecz nie miał sił podnieść rąk – były bezwładne i ciężkie; tak ciężkie, jakby uczepiła się ich cała ogromna ziemia, ze wszystkimi swymi spokojnie szumiącymi drzewami.

## Ani wstęp, ani posłowie

*To jest okropna historia pisać wstęp lub posłowie. We wstępie autor książki usiłuje przeważnie ustawić swoich czytelników, w posłowniu zaś – usprawiedliwić się z tego łub owego. Chciałbym bardzo uniknąć i pierwszego, i drugiego – stąd ten głupi tytuł, ale ci, którym ta książka wyda się fantastycznie nieprawdziwa, niech zechcą przyjąć ode mnie małą garść informacji – co oczywiście nikogo do niczego nie zobowiązuje.*

*Nie pamiętam, kiedy to się zdarzyło. Kiedy sięgam myślą w tamten czas i znów widzę rozchłapanie drogi, śliskie zakręty, rozklekotane samochody i obdarte postacie, kiedy wydaje mi się, że słyszę wrzask silnika druzgoczący słodką ciszę gór, to jestem prawie pewien, że zaczęło się to owego dnia, kiedy wszyscy pojechali do lasu i wypadł mój „dyżur” obierania kartofli. Pamiętam dobrze, że obrałem te kartofle i ugotowałem, potem rozgotowały mi się na miazgę, gdyż zbyt długo trzymałem je na ogniu, więc już wieczorem, przy świetle naftówki, częściej trafiając nożem we własne kości niż w kartofel, obierałem po raz drugi i znów gotowałem na ogniu podsycanym pakułami i ropą; potem odlałem wodę z tych kartofli i z rozpaczą obserwowałem, jak dębieją; i słyszałem już te przekleństwa, którymi będą we mnie ciskać, i ciągle jeszcze – mimo iż kartofle znów rozsypały się w przykrą packę – wierzyłem, że wrócą. Ale nie wrócili. W środku nocy obudzili mnie ludzie z pobliskiej wsi, apotem biegiem kilometrami przez śnieg, osłaniając światło lampy dłonią; i stanąłem wreszcie nad potokiem, na którego dnie leżał samochód: nie džems, ale studebaker, pamiętam jak dziś. Za parę dni przyjechała komisja i nowi kierowcy; i znów woziliśmy drzewo na innych, tak samo złych, samochodach. Aha, zapomniałem dodać, że ci, dla których gotowałem kartofle, także leżeli na dnie owego zamrożonego potoku. Ale oni już nigdy więcej nie wozili drzewa. I me jedli kartofli. Ani niczego.*

*Teraz widzę jednak, że to nie wtedy się zaczęło. Zaczęło się to wszystko wcześniej. Zaczęło się to w mieście i od tego, że ze swojej winy rozbiłem wóz i nie mogłem nigdzie dostać pracy. Łaziłem od bazy do bazy, od warsztatu do warsztatu i wszędzie ciągnęła się za mną sława tego, który „sztachnął” wóz. Nie chciałem zmieniać zawodu; wołałbym umrzeć, niż odejść od kierownicy – ci, którzy jeżdżą lub jeździli, zrozumieją mnie – nie mogłem. Ale nie mogłem również o nic się zaczepić: byłem miody, dyspozytorzy i kierownicy transportu patrzyli na mnie z niedowierzaniem, kazali mi się dowiadywać za dzień lub za miesiąc i w końcu musiałem pryskać w góry. Tam nikt o nic nikogo nie pytał, tam wszystko było jasne; to znaczy, że na góry i na tę robotę nie ma innych amatorów. Przyjechałem nocą do miasteczka B., przespałem się w brudnym i zimnym hoteliku – a następnego dnia byłem już w górach; jechałem czystymi, jasnymi drogami i wierzyłem w to, że będę tędy jeździć wiecznie i kochać góry, ich ciszę, ich hałas, ich wściekłość i ich spokój. Jechałem długą, jasną drogą: jakąś dziwnie równą jak na leśny dukt, ale w pewnym momencie, po przejechaniu któregoś tam zakrętu, musiałem się zatrzymać – w dole leżał samochód, leżało drzewo i leżał człowiek, i ja byłem pierwszym, który to zobaczył.*

*Nie, teraz dopiero widzę, że wszystko pokręciłem. To się na pewno zaczęło owego dnia, kiedy ładowaliśmy drzewo gdzieś bardzo wysoko i w duży mróz. Tak, na pewno. Wozy stały na dukcie, a my na legarach podłączaliśmy kłody. Trzech; jeden z jednego końca, drugi z drugiego, trzeci w środku. Jeśli puści ten w środku, to ci z boku zdążą jeszcze odskoczyć. Jeśli jednak puści któryś z bocznych – wtedy właśnie puścił jeden z bocznych i oblodzony*

*kloc zmiażdżył mu kręgosłup, a stało się to tak szybko i tak zwyczajnie, że nie było w tym nic strasznego, nic wielkiego i nie bardzo rozumiem, dlaczego to tak dobrze pamiętam. Pamiętam, że staliśmy nad tym człowiekiem i nie można go było ani podnieść, ani przenieść, ani zawieźć do miasta, bo nie było czym, i wiedzieliśmy wszyscy, że to koniec; a on wiedział także i wrzeszczał, ile razy chcieli go przenieść z drogi w bok – aby wozy mogły jechać do tartaku. Wszyscy stali nad nim, wszyscy przestępowali z nogi na nogę, bo zimno było okropnie: silniki w samochodach pracowały bez przerwy, bo z zapuszczaniem tych starych wozów zawsze był kłopot i wszyscy się wściekali i dąsali, że to tak strasznie długo trwa, a wiadomo przecież, że i tak jest po wszystkim. Więc odchodzili w bok i odlewali się, i poprawiali silniki, i tupali, bez przerwy tupali, bo naprawdę był to wyjątkowo zimny dzień i wszyscy już mieli wszystkiego dość – i jeżeli pamiętam ten dzień, to chyba tylko dlatego, że odbywało się to wielkie tupanie; to tak, jakby złościli się na niego, a jednocześnie chcieli mu pomóc. A potem nagle zapanowała jakaś radość i ożywienie; i wszyscy stali się dla siebie lepsi i miłsi – kiedy już było po wszystkim i nareszcie można było założyć z powrotem czapki. Nie wiem, dlaczego nie napisałem tej akurat sceny w książce. Może dlatego, że chciałbym umrzeć sam, nie widząc nad sobą żadnej twarzy i nie słysząc żadnych słów ani niczego. Ale to było.*

*Było to wszystko w górach i na drogach, byłem i Warszawiakiem, i Zabawą, i Dziewiątką, i Wandą, i Orsaczkim, i Apostołem, i żadnym z nich. Takie jest prawo człowieka, który żeby przekazać prawdę, musi zmieniać i zmyślać fakty. I tu już powinienem skończyć, tylko jeszcze dwa zdania. Napisałem kiedyś opowiadanie, które jest hańbą mojego życia i którego tytułu za nic nie przytoczę; ale jedna ze scen tej książki była już w tym opowiadaniu. Proszę mi wybaczyć, że powtarzam ją tutaj po raz drugi, ale ten człowiek – Dziewiątka – naprawdę, choć to nie jest żadnym moim usprawiedliwieniem, zginął; i chyba tak, jak ja bym chciał zginąć. Boję się szpitala, zastrzyków, nocników i okrucieństwa lekarzy – więc proszę mi wybaczyć. Proszę mi również wybaczyć tę książkę – pękniętą i nierówną, ni to relację z własnego życia, ni to fantazję, gdzie wszystko pomieszało się ze sobą i nikt już się w tym nie rozezna; ale napisałem ją z wielkiej miłości do samochodu. Do samochodu – najpiękniejszej rzeczy, jaką wymyślił człowiek dwudziestego wieku; jedynej rzeczy, dzięki której można uciec od życia, od siebie i od innych.*

*Nie stawiam żadnej daty. Mimo wszystko nie pamiętam, kiedy i gdzie się to zaczęło; wiem również, że nie skończyło się jeszcze. Zapytajcie innych. Oni nie muszą zmyślać, a wszystko, co było, jest i będzie, przetrwa w ich słowach i w ich sercach – na tym polega zmora.*

## Nota wydawnicza

Tygodnik „Panorama” na początku roku 1957 zaczął drukować w odcinkach nowy utwór Marka Hłaski zatytułowany jeszcze wówczas „Głupcy wierzą w poranek” (diuk w numerach: 2-22/1957). Jednak do jego książkowego wydania w kraju nie doszło. Powieść ta – pod tytułem „Następny do raj” – ukazała się w jednym tomie razem z „Cmentarzami” w roku 1958 w Paryżu nakładem Instytutu literackiego. W 1981 roku tygodnik „Panorama” ponownie zaczął drukować tę powieść w odcinkach – teraz już pod tytułem „Następny do raj” – w numerach 133-50/1981. Druk został jednak przerwany przez stan wojenny (przedostatni odcinek powieści ukazał się w nr. 50/1981 z datą 13.12.1981). Ostatni odcinek wydrukowano dopiero po wznowieniu wydawania pisma w nr. 1/1982 (z dnia 07.03.1982).

Pierwsze oficjalne wydanie książkowe w kraju (w jednym tomie razem z „Ósmym dniem tygodnia” i „Cmentarzami”) ukazało się dopiero w roku 1985 (szesnaście lat po śmierci Autora) nakładem oficyny Czytelnik; w tzw. drugim obiegu „Następny do raj” ukazał się w roku 1980 w Krakowie nakładem oficyny Kos (w ramach sześciotomowej serii Marek Hłasko „Utwory wybrane”). Jeszcze w roku 1985 w tej samej szacie graficznej nakładem Czytelnika ukazało się wydanie drugie, w 1986 – trzecie, a w 1989 – czwarte. Kolejne wydania – już po upadku PRL-u – ukazywały się w latach: 1993 (w „Antologii noweli polskiej” nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej), 1994 (Da Capo), 1999 (Da Capo), 1999 (razem z tomem opowiadań „Pierwszy krok w chmurach” nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich), 2003 (Elf), 2005 (Elf), 2007 (razem z tomem opowiadań „Pierwszy krok w chmurach” nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich), 2008 (Elf).



## SPIS TREŚCI

Gdzie diabeł mówi dobranoc  
Nieboszczycy  
Drogi  
Barak  
On i ona  
Rewolwer  
Daleko jest miasto  
Wielki bluff  
Mordercy są między nami  
Wszystko w mieście  
Bohaterowie i dziewczyny  
Apostoł i Judasz  
Domy bogów  
Ohydni i śliczni  
Następny do raju  
Ani wstęp, ani posłowie  
Nota wydawnicza